

W piżamie do Europy





Katarzyna Szymańska-Borginon

Katarzyna Szymańska-Borginon

W pizamie do Europy



BOSZ

Olszanica 2003

Współpraca
Łukasz Warzecha

Redakcja
Jan Koźbiel

Redakcja techniczna
Joanna Kułakowska-Lis

Korekta
Bogusława Jędrasik

Zdjęcia
????????????? ??????????? – s. x, y, z,
????????????? ??????????? – s. a, b, c
????????? ??????????? – s. a, b, c

DTP
Maciej Haudek, BOSZ

© Wydawnictwo BOSZ
38-622 Olszanica 311
Biura w Lesku: ul. Parkowa 5, 38-600 Lesko
tel. +48 13 469 90 00, 469 90 10
tel./fax +48 13 469 61 88
e-mail: biuro@bosz.com.pl
www.bosz.com.pl

Wydanie I
Olszanica 2003

ISBN 83-87730-62-9

Druk
???, ????

Stevenowi

W pizamie do Europy

Widzę, że jest pan trochę zdziwiony. Inaczej mnie pan sobie wyobrażał? Jako korpulentną szatynkę? To pewnie dlatego, że mam dosyć niski głos. A wie pan, że ja nieraz miesiącami rozmawiam z kimś na Kopcu lub w Warszawie i też nie wiem, jak ten ktoś wygląda. Znamy się tylko przez telefon lub z anteny, a potem, gdy się przelotnie widzimy, jestem tak samo zdziwiona... Ale może mówmy sobie ty. Strasznie nie lubię tego „pan”, „pani”. Tutaj, w Brukseli, wszyscy mówimy sobie ty. Tak jest znacznie łatwiej. Ja wprost sztywnieję, gdy ktoś się do mnie zwraca „proszę pani”. Więc jestem Kasia. Spójrz, na wizytówce też mam napisane „Kasia”, a nie „Katarzyna”, bo „Katarzyny” nikt nie jest w stanie wymówić. Ale i tak najczęściej mówią „Kasza”. Wtedy tłumaczę, że gryczana jest najlepsza... Może coś zamówimy? Tutaj mają bardzo dobre piwo. Nazywa się kwak. Podają w takich dużych, dosyć dziwnych drewnianych kuflach. Trzeba uważać, jak się je pije...

A więc interesują cię kulisy mojej pracy, szczególnie podczas negocjacji? Obrona polskich interesów, tajne raporty, podsłuchane rozmowy, wywiady ze słynnymi ludźmi? Tak, tak, to wszystko było, ale na samym początku nie było praktycznie nic. I — dosłownie — nikogo. Wyobraź sobie: jest 1990 rok, młoda osóbką, która napisała w swoim życiu trzy czy cztery artykuły i wydaje jej się, że już jest dziennikarką, wyrabia sobie akredytację przy Komisji Europejskiej, po czym na pierwszym briefingu dla prasy wstaje i pyta: „Kiedy Polska wejdzie do Unii?”. Nie muszę ci mówić, że sala wybucha gromkim śmiechem. A ta osóbką, zaczerwieniona ze wstydu, siada i nic nie rozumie. Czego nie rozumie? Ano tego, że to pytanie jest zupełnie nie na

temat, że to nikogo nie obchodzi, że to tak odległa perspektywa, że prawie fikcja, że to jakiś tak odległy kraj, że prawie nierzeczywisty, wprowadzie już nie komunistyczny, ale wciąż nieznan i niepewny. Kręcisz głową z niedowierzania. Naprawdę nie przesadzam. Teraz, gdy pyta o coś dziennikarz z Albanii czy z Ukrainy, wyczuwam takie samo niezadowolenie — co on tu zawraca głowę swoimi problemami, my mamy przed sobą ważne sprawy, poszerzenie Unii Europejskiej... Uparłam się jednak. Jeździłam na unijne szczyty. Pamiętam, jak kiedyś jechałam z Ewą Haczyk. Znasz Ewę? Tak, ta sama. Teraz jest rzeczniczką Danuty Hübner, a wcześniej — Kułakowskiego, ale wtedy zaczynała jako dziennikarka. Więc jechałyśmy na szczyt do Luksemburga moim zdezelowanym fiatem, który się po drodze zepsuł. Wpadłyśmy spóźnione i zdyszane, a ja znowu z moim pytaniem o Polskę do premiera Belgii. I jeszcze raz poszło mi w pięty. Podobnie było na szczycie w Maastricht w 1991 roku, gdzie Unia przygotowywała się do przyjęcia wspólnej waluty. Moje pytania wciąż uznawano za wzięte z księżyca.

A wiesz, jak to wyglądało finansowo? Nie za bardzo? Rzeczywiście, jak dzisiejsza Albania. Siedzę sobie kiedyś w pizzerii z moim mężem Stevenem — tak, on jest Belgiem — i opowiadam mu podniecona, że od tej pory będę zarabiać dwa miliony! Włoski kelner, który nas znał, wtrącił się do rozmowy: „Dwa miliony rocznie?” — spytał z lekką zazdrością w głosie. „Nie, miesięcznie!” — odpowiedziałam dumna. Tylko że ja myślałam o złotówkach, a on o frankach belgijskich. Te dwa miliony ledwo wystarczały na opłacenie faksów wysyłanych do redakcji w Polsce. Naszych prywatnych mediów nie było stać na utrzymanie korespondenta. Na początku więc byłam w Brukseli sama, jeśli pominąć dziennikarza z Polskiej Agencji Prasowej. Na polskich dyplomatów też nie mogłam liczyć, bo byli jeszcze z tamtej epoki, tacy dziwni... Na przykład ówczesny attaché prasowy naszej ambasady, gdy się z nim spotkałam po kilku latach w Brukseli, przedstawił się jako... urzędnik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. I gdy już prawie tonęłam i myślałam o porzuceniu marzeń o dziennikarstwie, wyłowiło mnie radio RMF. Dostałam pierwszą normalną pensję. Na początku nadawałam przez telefon, a kiedy nagrałam coś fajnego, wysyłałam kasetę pocztą.

Mój pierwszy dziennikarski sukces? Aaa, to była rozmowa z Pawłem Gracwowem, ówczesnym ministrem obrony Rosji. Kiedy to było? Zaraz, zaraz, chyba w 1994 roku. W każdym razie na długo przed naszym wejściem

do NATO. Moskwa zgłaszała wówczas swój stanowczy sprzeciw, a u nas nie wolno było mówić, że chcemy wstąpić do Sojuszu z powodu obaw przed Rosją. Posłałam na konferencję prasową Graczowa w belgijskim ministerstwie obrony, podetknęłam mu mikrofon po nos. „Panie ministrze, czy z punktu widzenia bezpieczeństwa w Europie członkostwo Polski w NATO byłoby korzystne?” — zapytałam jak najostrożniej. A na to Graczow: — „A po co Polska chce do NATO?” Ja, zgodnie z prawdą, odpowiadam: „Bo obawia się Rosji i tego, co się może zdarzyć w pańskim kraju...” Graczow robi się czerwony na twarzy i tonem kagiebisty krzyczy: „Jak się pani nazywa? Proszę natychmiast podać swoje nazwisko!”. „Katarzyna Szymańska-Borginon, radio RMF” — przedstawiam się. „A więc to tak, to już wszystko wiemy! — wrzeszczy Graczow. — Proszę państwa, już wiemy, dlaczego Polska chce do NATO! Bo boi się Rosji! Polska jest przeciwko Rosji! To ja powiem prezydentowi Wałęsie, z którym się będę widzieć, że pani Katarzyna Szymańska, dziennikarka RMF-u, powiedziała, że Polska jest przeciwko Rosji i dlatego chce wejść do NATO. Zobaczymy, co na to powie prezydent Wałęsa”. Oczywiście nie pomogły moje protesty, że wcale nie powiedziałam, że Polska jest przeciwko Rosji. Graczow wstał, przerwał konferencję prasową i wyszedł. Zachodnie agencje i gazety pisały potem, jak to polska dziennikarka rozwścieczyła rosyjskiego ministra. A RMF wchodził w tym dniu na antenę krajową. Z lokalnego, krakowskiego radia stawało się ogólnopolskim. I w pierwszym ogólnokrajowym serwisie informacyjnym poszła moja rozmowa z Graczowem!

Ale widzę, że się trochę niecierpliwisz. Tak, masz rację, mamy rozmawiać o Unii... No i jak piwo? Smakuje? Tak, mocne. Ktoś mi opowiadał, że Kwach też lubi kwak, także ze względu na podobieństwo do własnego nazwiska. Gdy jest w Brukseli, przychodzi podobno właśnie do tej knajpy. Przyjemnie tu, prawda? Tak, to chyba trochę secesja... Kiedy wszystko zaczęło się zmieniać? Poczekaj, niech się zastanowię... Właściwie nie potrafię podać dokładnej daty. Gdy negocjowaliśmy układ o stowarzyszeniu Polski z Unią, nikogo to jeszcze nie interesowało. Ani w Polsce, ani w Brukseli. No cóż, tutaj byłam wciąż tylko ja i nowy korespondent PAP-u, Jacek Safuta. W pewnym momencie dla „Gazety Wyborczej” zaczęła pracować Małgosia Alterman, ale potem przeszła na drugą stronę i została rzeczniczką naszego przedstawicielstwa przy UE. Rokowania toczyły się w zaciszu gabinetów

i nikomu nie zależało, aby było inaczej. Moje informacje były więc zupełnie przypadkowe. Kiedyś dowiedziałam się, że na negocjacje stowarzyszeniowe przyjechała polska delegacja. Nikt jednak nie potrafił lub nie chciał mi powiedzieć, gdzie mogę się z nią spotkać. Pomyślałam, gdzie oni mogą być wieczorem? Na pewno poszli na Grand Place, wiesz, brukselski rynek, niedaleko stąd. Byłeś już tam? Ładny, rzeczywiście mniejszy od naszego, krakowskiego, i trochę teatralny. I wyobraź sobie, w tłumie turystów natykam się na dwóch elegancko ubranych mężczyzn mówiących po polsku. Zagaduję i okazuje się, że mam rację — to członkowie delegacji. Poszliśmy, już się domyślasz, na piwo. Jeden z nich pracuje dzisiaj w polskim przedstawicielstwie przy Radzie Europy w Strasburgu. Niedawno wspominaliśmy nasze pierwsze spotkanie. Więc kiedy sytuacja się zmieniła? No, oczywiście wiosną 1998 roku, gdy zaczęły się negocjacje członkowskie. Ale była to zmiana stopniowa. Najpierw poczułam, że pracuję dla liczących się mediów. Niby każdy wyrabia sobie własną pozycję, ale to też jest ważne. Jeszcze przed wejściem do Sojuszu Północnoatlantyckiego moje radio współorganizowało „Polskie dni w NATO” w Brukseli. Zauważyłam pierwsze oznaki podziwu na twarzach moich zagranicznych kolegów, gdy zobaczyli wozy satelitarne RMF. Potem dorobiłam się własnego studia u siebie w domu. Z wyciszoną ścianą, mikroskopijne, ale mogę z niego wchodzić na antenę na żywo. Powiem ci w zaufaniu, że gdy słyszysz mnie o siódmej lub ósmej rano, z pewnością jestem jeszcze w piżamie.

Pomału inne polskie media zaczęły przysyłać tutaj swoich dziennikarzy. Pierwszy przyjechał Jędrzej Bielecki z „Rzeczpospolitej”. Pamiętam nasze rozmowy. Myśleliśmy, że wszystko potoczy się trochę szybciej. Potem chyba przyjechał Krzys Wojna z Polskiego Radia. Ale poczekaj, przyniosłam parę zdjęć, żeby ci pokazać. O, tutaj jesteście wszyscy. To cała nasza dziennikarska paczka już pod koniec rokowań, w Kopenhadze, we wrześniu 2002 roku, na wyjeździe studyjnym... A to z komisarzem Verheugenem, w Brukseli, na kilka dni przed szczytem w Kopenhadze, w grudniu 2002 roku. Mówisz, że mamy zadowolone miny? No tak, bo wiedzieliśmy, że będzie kompromis. W kraju przed szczytem była histeria, a ja byłam spokojniejsza niż kiedykolwiek. Ten łysawy? To właśnie Jędrzej Bielecki. Szalenie bystry. Jest zawsze dwa, trzy zdania przed swoim rozmówcą. Ten starszy pan to Krzys Wojna. Starał się nas, młodych, trochę uładzić. Gdy mieliśmy trudnego

rozmówcę — na przykład kogoś, kto był na nas pogniewany i w zasadzie nie miał ochoty z nami rozmawiać — on zaczynał pytaniem: „Z czym pan przyjechał do Brukseli?”. I wszystko szło jak z płatka. To Jacek Pawlicki z „Gazety Wyborczej”, najsympatyczniejszy z nas wszystkich. Taki kochany miś. Ale lepiej uważać, bo potrafi pokazać pazury i opublikować w „Gazecie” coś, o czym nikt z nas nie miał pojęcia. Ta długowłosa to jego żona Ola. Pracowała dla BBC. Zawsze super ubrana. Tę znasz z telewizji? Tak, to Inga Rosińska z TVN24. Niestychanie wytrwała i uparta. Przyjechała raptem trzy lata temu. Zaczynała dosłownie od zera, a teraz nie ma chyba w Brukseli dziennikarza lub rzecznika, którego by nie znała. Ten w okularach to Jacek



Im bliżej końca negocjacji tym bardziej rozrastała się nasza dziennikarska paczka polskich korespondentów w Brukseli. Od lewej: Jacek Safuta PAP, Robert Sołtyk „Gazeta Wyborcza” (objął placówkę po Pawlickim, który wrócił do Warszawy), Inga Rosińska TVN24, autorka, komisarz Günter Verheugen. Z tyłu za komisarzem: Jacek Pawlicki „Gazeta Wyborcza”, Marcin Grajewski Reuters, Jean-Christophe Filori rzecznik Verheugena. Przed komisarzem: Jędrzej Bielecki „Rzeczpospolita”, Ola Pawlicka BBC, Krzysztof Wojna Polskie Radio, Aneta Bachman „Dziennik Bałtycki”.

Safuta z Polskiej Agencji Prasowej, pisuje też w „Polityce”. Myślę, że wie więcej o Unii niż niejeden z naszych urzędników. A przy tym dobre pióro, nic z typowo papowskiej nudy. Nigdy nie mogę za nim nadążyć. Porusza się szybkim krokiem, który nazywamy „agencyjnym”. Ta, to Małgosia, jego żona, też dziennikarka. A więc nasze drugie dziennikarskie małżeństwo.

Nie, bez przesady, nie tworzyliśmy rodziny. To tylko na zdjęciach tak wygląda... W końcu ze sobą konkurowaliśmy. Nasze redakcje oceniały nas często w zależności od tego, czy mieliśmy informacje wcześniej niż inni. Ale rzeczywiście tworzyliśmy grupę, która miała własne wewnętrzne reguły, a na zewnątrz stanowiła jedność. W ten sposób byliśmy silniejsi wobec różnego rodzaju nacisków i presji. Gdy zagraniczni dziennikarze widzieli nas razem, mówili: „Idzie polska mafia”.

A naciski? Były z różnych stron. Ale po co o tym mówić, to już było, minęło... Koniecznie chcesz wiedzieć? Gdy pojawiła się presja, znaczyło to, że negocjacje weszły w decydującą fazę. W końcu znaleźliśmy się w centrum zainteresowania, czego mi tak długo brakowało. Dla mnie ten okres zaczął się około 2000 roku. Pewnego ranka zadzwonił do mnie francuski dyplomata. „Co ty napisałaś? Kto ci to powiedział? Twój artykuł jest antyfrancuski!” — krzyczał. Zaskoczył mnie. Dopiero wypiałam poranną kawę, a on miał już u siebie na biurku przetłumaczony mój tekst! Nie mogłam się nadziwić, że zagraniczni dyplomaci tak dokładnie studiują to, co piszę. Chodziło o artykuł w „Życiu” o tym, że Francja zablokowała nasze negocjacje w sprawie polityki wewnętrznej i sprawiedliwości, bo nie miała zaufania do naszych celników i Straży Granicznej. W sumie nic wielkiego. Ale rozumiesz, w czym rzecz — nagle staliśmy się ważni. My, polscy dziennikarze w Brukseli. I Polska w ogóle. Zaczęto się z nami liczyć.

Innym razem to, co pisałam, nie spodobało się w Komisji Europejskiej. Zdaje się, że przytoczyłam wypowiedzi świadczące o tym, że następuje wyraźne spowolnienie w negocjacjach. Potem przez jakiś czas miałam trudności z uzyskaniem w Komisji najprostszych informacji. Spytałam jednego z urzędników, czy jestem na czarnej liście. „Nie — odpowiedział — ale na szarej”. Uśmiechasz się, ale zapewniam, że wtedy wcale nie było mi do śmiechu. Blokada informacyjna może oznaczać dziennikarską śmierć. Tylko że ze mną jest tak, że im bardziej ktoś naciska, tym bardziej ja się upieram przy swoim. A poza tym w Brukseli jest mnóstwo źródeł informacji, nawet

w samej Komisji... Oj, a nie mówiłam, że trzeba uważać? To się zdarza każdemu, kto po raz pierwszy pije kwaka. Masz coś do wytarcia? Nie, nigdy nie uprzedzam, bo wtedy nie ma zabawy. To dlatego, że tu, w kuflu, jest takie przewężenie, gdzie gromadzi się powietrze i gdy zbliżasz się do końca... To co, zamówimy jeszcze po jednym?

Tak, oczywiście, z Polski też były naciski. Poza telefonami, obrażonymi minami i kąśliwymi uwagami były sprostowania. Kiedyś ujawniłam listę ustępstw negocjacyjnych, którą nasza minister do spraw europejskich Danuta Hübner wysłała do Brukseli, zanim jeszcze o wszystkim poinformowano oficjalnie ludzi w kraju. Wtedy z Ministerstwa Spraw Zagranicznych zaczęły przychodzić sprostowania. Jedno po drugim. W sumie trzy czy cztery w tygodniu. Do tej pory nie otrzymałam żadnego, a tu nagle codziennie! Jedno dotyczyło nawet podpisu pod zdjęciem, za który zupełnie nie odpowiadam, bo jaki ja mam tu, w Brukseli, wpływ na zdjęcia i podpisy pod nimi? Zresztą pozostałe też nie dotyczyły faktów, tylko mojej ich interpretacji. Miałam dosyć. Napiszę tak, to nie spodoba się temu, napiszę inaczej, to tamtemu. I człowiek boi się cokolwiek napisać. Pokazałam te sprostowania moim zagranicznym kolegom, a oni powiedzieli, że to forma presji i nie mogę pozwolić tak się traktować. Poradzili, żebym poskarżyła się międzynarodowemu stowarzyszeniu dziennikarzy. Na szczęście nie musiałam tego robić, bo MSZ dał mi spokój... Nasi politycy bardzo powoli uczyli się, jak rozmawiać z prasą. Nie, były napięcia, ogromny stres, ale nie mogę powiedzieć, że czułam się zagrożona. Chociaż atmosfera faktycznie bywała dziwna. Jeden z kolegów, który dopiero co dołączył do naszej dziennikarskiej paczki, zaraz na wstępie wypalił: „Jestem pewny, że wszystkie wasze telefony, łącznie z komórkami, są na podsłuchu. To oczywiste w tak gorącym okresie negocjacji”. Przez kogo i w jakim celu mamy być podsłuchiwanie — nie powiedział. Przez dwa dni uważałam na to, co mówię przez telefon, ale potem dałam sobie spokój, bo wpadłabym w manię prześladowczą. A poza tym wydawało mi się nieprawdopodobne, żeby ktoś miał mnie podsłuchiwać...

Oui, c'est pour nous, deux fois la même chose. Chwytaj ostrożniej... O, teraz robisz to już po mistrzowsku. Ten dziwny drewniany kufel to podobno stąd, że to było piwo woźniców dylizansów pocztowych. Woźnica brał kufel prosto z kozła, specjalnie dla niego zawieszany przez karczmarza na przystanku. Nie musiał schodzić. A wiesz, że w Belgii jest ponad tysiąc

gatunków piwa? Tyle co serów we Francji... Ale do rzeczy. A więc sporo zainteresowania skupiało się na nas, polskich dziennikarzach. Mieliśmy coraz lepsze źródła informacji, często nawet lepsze niż zachodni dziennikarze, którzy zajmowali się poszerzeniem Unii. Nie mówiąc już o kolegach z innych krajów kandydujących. Każdy polski dziennikarz, który po nas przyjedzie do Brukseli, będzie miał łatwiej. Już teraz jesteśmy traktowani jak członkowie Unii. Ale to my przecieraliśmy szlaki. Byliśmy naprawdę trochę pionierami... I — to chyba bardzo ważne — świadkami historii... Skąd pochodziły moje informacje? Czy czasami nie za dużo chcesz wiedzieć? To największy sekret dziennikarza. Nie mogę podać żadnych nazwisk. Ale był na przykład taki unijny dyplomata... W obecności innych udawałam, że w ogóle go nie znam, żeby się nikt przypadkiem nie domyślił, że to on jest moim źródłem. Był też urzędnik, który miał do mnie takie zaufanie, że dawał mi poufne dokumenty podpisane własnym nazwiskiem, tak że musiałam je sama wymazywać. Były informacje zasłyszane w windzie między pierwszym a czwartym piętrem, z których potem wychodziły nieźle bomby. Ale najczęściej było zwyczajnej pracy, czytania dokumentów, rozmów, telefonów, wścibstwa, chodzenia po biurach znanych dyptomatów.

Masz rację, wiele burz wybucha w kraju z powodu tego, co się tutaj dzieje. I wiele spraw dopiero tu wychodzi na jaw. Ale to dlatego, że politycy mówią w Brukseli innym językiem niż w Warszawie. To zresztą dotyczy nie tylko Polaków, tak jest prawie ze wszystkimi. Tutaj polityk jest zwykle większym realistą niż u siebie. Zasiada do stołu negocyjnego z przedstawicielami kilkunastu państw, broni interesu własnego kraju, ale zdaje sobie sprawę, że ostateczny wynik musi być kompromisem. Bo to są pokojowe wojny — w gabinetach, przy stołach negocyjnych, a nie na polach bitewnych. Ale w kraju, na potrzeby opinii publicznej, taki polityk pręży muskuły i pokazuje, jaki to on jest twardy i nieustępliwy. To od unijnych negocjatorów dowiedziałam się, że wycofujemy się z ochrony ziemi pod inwestycje, podczas gdy w kraju rząd nadal udawał, że jeszcze nic się nie zmieniło w naszej negocyjnej pozycji. Cierpi na tym wizerunek Europy, bo ludzie nie lubią takiego podwójnego języka. Ale aby to zmienić, potrzeba odwagi.

Zgadzam się. To ważne, co mówisz... Eurożargon też jest winny. Te wszystkie „akcesje”, „adhezje”, „prezydencje”. Ludzie tego nie lubią. Czy ja też już tak mówię? Nie? A może tylko chcesz być miły? To nie w twoim stylu?

To dobrze, bo ten język się udziela. A w końcu jestem tutaj od ponad dziesięciu lat. Jeżeli tak zacznę mówić, przerywaj natychmiast. Ja przerywam politykom. Mówię, żeby powiedzieli to samo jeszcze raz, tylko po polsku. Kiedyś, na samym początku, ten żargon mnie całkowicie oszalał. Nic nie rozumiałam i wydawało mi się, że jestem bardzo głupia. Był czas, że przez to nie lubiłam Brukseli, Komisji i wszystkiego tutaj. Masz rację, eurożargon jest bardzo niebezpieczny, bo zniechęca i oddala. Załamałam się kiedyś, gdy nasz negocjator powiedział: „W implementacji i transpozycji *acquis communautaire* Polska odnotowała *mixed record*”. Potem zrozumiałam, że to nie ja jestem głupia. Że muszę też trochę być tłumaczem, bo na co dzień w pracy także używam setek skrótów, ponieważ tutaj wszyscy się nimi posługują — tak jest szybciej i precyzyjniej. Ale gdy słyszę naszych polityków, którzy dopiero co liznęli Unii, a już mówią tak, że nikt ich nie rozumie, gdy widzę tę euronowomowę w artykułach lub słyszę w radiu czy telewizji, to otwiera mi się szczyryk w kieszeni. Tobie też? Dobrze, że to tylko przenośnia, bo byłoby już sporo trupów. Tak, Bruksela jest trudna. Nie zawsze jest to miłość od pierwszego wejrzenia. Brukseli się uczyłam, tak jak picia piwa. Wiesz, gdy przyjechałam, nie lubiłam piwa. Zaczęłam od kriel, to takie wiśniowe, prawie jak lemoniada. Nie... lepiej teraz nie mieszać. Innym razem.

Czego się nauczyłam? Pokory, dystansu. Tego, że nie jest tak, że nam się coś należy, że oni muszą nam dać, bo historia, bo jesteśmy dużym krajem. Że, owszem, jesteśmy ważnym państwem, ale to zobowiązuje, a nie rozgrzesza. Że musimy to stale potwierdzać aktywnością, przygotowaniem. Że duży wcale nie ma łatwiej. Nie muszę ci mówić, że po tylu latach, gdy na grudniowym szczycie w Kopenhadze wszystko kręciło się wokół Polski, czułam dumę. Nareszcie! Tym razem zagraniczni dziennikarze przychodzili do mnie i wypytywali. Może nawet to byli ci sami, którzy dziesięć lat temu się ze mnie śmiali. Ale nawet w Kopenhadze dla wielu z nich negocjacje z Polską, która żądała dodatkowego miliarda euro, nie były najważniejsze. Kręcisz głową, bo nie wierzysz? Jakbyś stał kwadrans wśród brytyjskich dziennikarzy, którzy wypytyują rzecznika Tony'ego Blaira wyłącznie o Turcję i datę rozpoczęcia z nią rozmów, a żaden nie pyta o Polskę, to byś uwierzył. Właśnie wtedy zaczynasz rozumieć, że nie jesteś pępkiem świata. A nasza prasa chyba nawet nie wspomniała, że jakiś turecki problem pojawił się na szczycie. Oczywiście, masz rację, każdy interesuje się najbardziej własnym krajem. To normalne.

Ale na naszą pozycję będziemy jeszcze musieli popracować... Mówisz, że przesiąkałam już Brukselą, że widzę wiele spraw inaczej? Może i tak. Ktoś — nie będę mówić kto, jeden z polskich ministrów — powiedział mi nawet, że jestem tubą Brukseli i nie wiem, na czym polega polski interes narodowy. Przyznaję, zabołało. Ale tego samego dnia jeden z unijnych dyplomatów sugerował, że jestem prawie nacjonalistką i powiedział, że nie dostrzegam niczego poza interesem własnego kraju. Pozwól mi więc widzieć trochę inaczej, właśnie z Brukseli...

Musisz już jechać? A właśnie teraz chciałam cię spytać, jak ty to widzisz z kraju... Innym razem? Szkoda, ale rozumiem... O której masz samolot? No tak, faktycznie, musisz iść. Zostawię ci jeszcze mój e-mail: *bruksela@rmf.fm*.

Unia w pigułce

Niczym pszczoły do ula, każdego dnia w południe kilkuset korespondentów, akredytowanych przy Komisji Europejskiej, ściąga do budynku Breydel. Tam na XII piętrze mieści się biuro przewodniczącego KE Romano Prodiego, a w podziemiach — sala prasowa i bar dla dziennikarzy.



Wejście do głównej siedziby Komisji Europejskiej, Breydel. Tutaj odbywają się także codzienne briefingi dla prasy.

Gdy wchodzę do Breydela, pierwszy widok jest zawsze taki sam: kolejka do stołu, na którym kilka minut przed dwunastą wyłożone zostaną komunikaty prasowe, informujące o dzisiejszych postanowieniach Komisji. Niektórzy dziennikarze są podekscytowani; przepychają się, by dorwać komunikat kilka sekund przed innymi. Trzymają komórki przy uchu, żeby natychmiast przekazać jego treść do swojej redakcji.

Z początku myślałam, że to taka dziennikarska choroba, że moi zagraniczni koledzy walczą o tych kilka sekund po prostu z nawyku, aby być zawsze pierwszym. Dopiero Marcin Grajewski z Agencji Reutera wyjaśnił mi, że te sekundy mają realny wpływ na europejskie rynki. Na przykład wielki koncern, mając wcześniej niż inni informację o zakazie fuzji dwóch innych firm, może ją odpowiednio wykorzystać na giełdzie. Kilka sekund przewagi może się zatem przełożyć na miliony euro.

Bitwa toczy się jednak tylko między dziennikarzami agencyjnymi. Pozostali mają trochę czasu na znakomite cappuccino, serwowane po wło-



Przy barku dla dziennikarzy w Komisji Europejskiej, od lewej autorka, Jacek Safuta PAP, Jean-Christophe Filori, rzecznik komisarza Verheugena, Małgosia Alterman, rzeczniczka Polskiego Przedstawicielstwa przy UE.

sku i przez Włocha. Jego zaletą jest także cena — tańszego nie ma w całej Brukseli.

Jeszcze przed rozpoczęciem briefingu (tak w żargonie dziennikarskim nazywa się szybką konferencję prasową) korzystam z okazji, by przy barku dowiedzieć się, co jest tematem dnia i nad czym pracują koledzy z innych krajów. Nie konkurujemy ze sobą, więc często sobie pomagamy. Zagraniczni dziennikarze pytają mnie o sprawy związane z naszymi negocjacjami. Wymieniamy się nieoficjalnymi informacjami. Niekiedy, niczym spiskowcy, przekazujemy sobie z rąk do rąk poufne dokumenty.

O niemieckim stanowisku w sprawie dopłat dla rolników rozmawiam z René Höltschim, szwajcarskim dziennikarzem, pracującym dla prestiżowego, niemieckojęzycznego „Neue Zürcher Zeitung”. Hansa-Martina Tillacka ze „Sterna” pytam żartobliwie, czy Komisja nie odebrała mu jeszcze akredytacji za ujawnienie kolejnej afery korupcyjnej wśród eurokratów. Francuski dziennikarz, gdy tylko mnie zauważy, z miejsca krzyczy: „La Pologne 2010!”, co ma oznaczać, że według niego do Unii wejdziemy dopiero za osiem lat. A Hiszpan Eliseo, najsympatyczniejszy, zaprasza mnie na ognistą, całonocną imprezę

W końcu zasiadamy w utrzymanej w niebieskiej tonacji sali prasowej bez okien. Jest nas około trzystu — z całej Europy, USA, Japonii, Korei, Meksyku. Mimo że formalnie nie ma stałych miejsc, prawie każdy siada tam, gdzie zwykle. Niemcy osobno, za to Francuzi razem, najczęściej w środkowym rzędzie. My, Polacy, także obok siebie, w rzędzie po prawej stronie.

Zanim zacznie się briefing, każdy z nas nerwowo się rozgląda. Jeżeli kogoś brakuje, może to oznaczać, że w tym czasie gdzieś indziej dzieje się coś ważniejszego. W ten sposób wzajemnie się kontrolujemy.

Kiedyś wpadłam niemal w panikę, bo na południowym briefingu poza mną nie było na sali żadnego polskiego dziennikarza. Byłam pewna, że wszyscy moi koledzy poszli na jakieś niezmiernie ważne spotkanie, które ja przegapiłam. Odetchnęłam dopiero, gdy pojawił się Jacek Safuta z PAP-u. Okazało się, że wszyscy się spóźnili, bo manifestanci zablokowali wejście do Breydela.

Briefingi w Komisji przydają się przede wszystkim do uzyskania oficjalnego potwierdzenia informacji zdobytych gdzie indziej lub komentarza do wydarzeń w kraju. Gdy tylko brałam do ręki mikrofon, do mównicy od

razu podchodził rzecznik komisarza Güntera Verheugena Jean-Christophe Filori. Odpowiedzi na moje pytania z reguły kończył błagalnym: „Kasiu, przecież wiesz, że nie mogę więcej powiedzieć”. Faktycznie — najbardziej bombowych informacji czy poufnych raportów nie zdobywałam przecież na tych briefingach.

Filori jest pół-Francuzem, pół-Niemcem, ma w sobie jednak więcej południowej emocjonalności i wybuchowości (urodził się w Marsylii). Jako rzecznik Verheugena osiągnął prawdziwe mistrzostwo w uroczym odprawianiu nas z kwitkiem. Niezrażeni, zadawaliśmy jednak z Jackiem Safutą i Ingą Rosińską z TVN24 niezliczone pytania. Dlaczego Komisja zezwala na męczenie kur w Polsce dłużej niż w Unii? Czy zysk Polski netto w pierwszym roku członkostwa w wysokości 24 mln euro to nie za mało? Czy Komisji nie przeszkadza agenturalna przeszłość ministra do spraw informacji europejskiej?

Obserwując dziennikarzy zebranych w sali prasowej, często miałam wrażenie, że są żywą ilustracją narodowych stereotypów. „Europa w pigułce” — myślałam. Francuzi zawsze zadają pytania we własnym języku. Zwykle interesują ich kwestie teoretyczne, na wysokim poziomie abstrakcji. Niemcy chcą znać konkrety, domagają się liczb, procentów, dat. Hiszpan stawia pytania nieco agresywnie, ale i dowcipnie. Dziennikarz rosyjski jest śmiertelnie poważny, niczym dyplomata — poprawia rzecznika Komisji i informuje o konferencji prasowej w sprawie wiz dla obywateli Kaliningradu. Czech jakby się dopiero obudził, kilka dni po wszystkich dopytuje się, dlaczego jego kraj ma wpłacać do unijnego budżetu więcej, niż z niego dostanie. Węgier chce natomiast być najbardziej „europejski” ze wszystkich kandydatów, więc nie pyta o problemy związane z jego własnym krajem, ale o... Maltę.

Jak zachowujemy się my, Polacy? Według moich zagranicznych kolegów — nieco histerycznie, emocjonalnie i wciąż pytamy tylko o Polskę. Zarazem mamy jednak opinię najaktywniejszych i najlepiej poinformowanych ze wszystkich dziennikarzy krajów kandydujących. Niektórzy nas nie lubią, twierdząc, że jesteśmy zbyt natrętni; inni uważają, że to przejaw profesjonalizmu.

Uważałam, że nie powinniśmy zamykać się tylko we własnym gronie. A takie nastawienie panowało wśród części dziennikarzy z krajów kandydu-

jących. Często dyktowały je względy czysto praktyczne, takie jak podobny krąg zainteresowań, podobne problemy z dostępem do źródeł informacji czy porównywalny status materialny. Kilku kolegów z Czech, Węgier, Słowacji, Słowenii, a także jeden z Polski złożyło się na wynajęcie biura niedaleko głównej siedziby Komisji Europejskiej, prenumeratę najważniejszych gazet i agencji. Organizowali niekiedy wspólne spotkania z unijnymi dyplomata-
mi. Biuro to nazwali „PECOFFICE” (PECO to skrót z francuskiego, stosowa-
ny przez eurokratów, a oznaczający kraje Europy Środkowej i Wschodniej). Nie lubiłam, gdy nazywano nas „Pecosami”, bo sugerowało to jakąś inną kategorię. Odrzuciłam więc ofertę przystąpienia do tego klubu. Nie wierzy-
łam także w porozumienie dziennikarzy — pecosów. Zbyt często widziałam na twarzach moich czeskich czy węgierskich kolegów radość, gdy Polska była krytykowana przez Brukselę. Od takiego „getta” wolałam inną niefor-
malną grupę, która spotyka się na kolacjach (w bardzo dobrej restauracji!) z unijnymi komisarzami i najwyższymi rangą dyplomata-
mi. Byli wśród nas Francuzi, Włosi, Niemcy i Węgrzy. Zasadą była gwarancja całkowitej ano-
nimowości naszego gościa, a więc zobowiązanie, że nie będziemy cytowa-
ć go z nazwiska. Dyskutowaliśmy więc szczerze i nie tylko o poszerzeniu Unii Europejskiej.

Szwajcarscy dziennikarze trochę nam zazdroszczą. Czego? Że wej-
dziemy do Unii Europejskiej przed nimi, a także tego, że już niedługo
będziemy informowani od wewnątrz, tak jak inni dziennikarze krajów
członkowskich UE.

Podczas szczytu UE w Brukseli w październiku 2002 roku szwajcarski
kolega kucnął przy moim stoliku i rozmawialiśmy w tej niewygodnej dla
niego pozycji. Przechodzący obok nas niemiecki dyplomata zawołał: „O, jak
czasy się zmieniają: Szwajcaria na kolanach przed Polską!”. „Tak — odpowie-
działam — bo my będziemy współdecydować o ich członkostwie w Unii”.

— Polscy urzędnicy w Komisji Europejskiej szybko rozumieją, że jed-
nym ze sposobów wpływania na decyzje jest przeciek do prasy — mówi
René Höltschi, wysoki, szczupły Szwajcar. — Z pewnością będzie ci łatwiej.

Już teraz jest lepiej niż kilka lat temu, gdy pytania polskich dziennika-
rzy były z reguły zbywane uwagą, że są „nie na temat”.

René chciałby, aby jego kraj wreszcie zdecydował się na przystąpienie
do UE. Sondáže są jednak nieubłagane — zwolenników i przeciwników jest



Sala prasowa podczas południowego briefingu, od lewej René, Hans-Martin, Eliseo.

pół na pół. Przeciwnicy obawiają się, że Szwajcaria nie wyniesie z członkostwa korzyści ekonomicznych, za to ucierpi słynny system demokracji bezpośredniej, oparty na częstych referendach.

— I tak jesteśmy uzależnieni od Unii, często dostosowujemy nasze ustawodawstwo do unijnego, ale nie mamy nic do powiedzenia — z żalem stwierdza René.

Jego zdaniem, teraz Szwajcarię przyjęto by z otwartymi ramionami, bo jako bogaty kraj pomogłaby sfinansować poszerzenie. Jednak po wejściu obecnych kandydatów pojawią się problemy ze sprawnym podejmowaniem decyzji. Wtedy mało kto będzie chciał przyjąć niewielkie państwo o bardzo skomplikowanym systemie decyzyjnym.

René z uwagą śledzi nasze negocjacje. Jest bardzo dobrze poinformowany w kwestiach poszerzenia. Na początku lat 90. był korespondentem ekonomicznym „Neue Zürcher Zeitung” na kraje Europy Środkowej i Wschodniej. Biuro miał w Wiedniu, jednak często jeździł do Polski. Robił reportaże w Hucie Katowice, Stoczni Gdańskiej, a także w małych miejscowościach o trzydziestoprocentowym bezrobociu. Leszka Balcerowicza zna jeszcze z czasów, gdy był zwykłym profesorem.

Praca w Brukseli fascynuje René.

— Podniecające jest zwłaszcza to, że jesteśmy blisko zapadających decyzji i ludzi, którzy je podejmują — mówi.

Rzeczywiście, mieszkając w Brukseli, nierzadko znamy ministrów czy szefów państw i rządów lepiej niż dziennikarze w kraju. Wielu z nich nie musimy się nawet przedstawiać. Javier Solana, przedstawiciel UE do spraw wspólnej polityki zagranicznej, kłania mi się z daleka, bo pamięta pytania, które mu zadawałam, i wywiady, jakie z nim przeprowadziłam, gdy był jeszcze szefem NATO. A kontakty w Komisji Europejskiej są jeszcze ściślejsze.

Podobnie jest z reprezentantami polskich władz. Z wieloma byłam na nieformalnych kolacjach, podczas których dowiadywałam się najwięcej.

René zwraca jednak uwagę, że wszystkie ważne i przełomowe decyzje podzielone są na tysiące drobnych kroczków. Ich relacjonowanie powoduje, że gubi się wizję całości. Dlatego nasze doniesienia są często fragmentaryczne, a przez to — nudne.

Takich problemów nie ma Hans-Martin Tillack ze „Sterna”. On jest zawsze na tropie nowego skandalu lub skrętnie ukrywanej przez eurokratów informacji. Drobny Niemiec o nerwowych ruchach to jeden z niewielu w Brukseli dziennikarzy śledczych. Kontynuuje sposób działania zapoczątkowany w unijnej stolicy przez grupę korespondentów z Jeanem Quatremerem z „Libération” na czele, która przyczyniła się do ujawnienia korupcji w ekipie Jacquesa Santera i w 1999 roku doprowadziła do jej upadku.

Hans-Martin uważa, że dziennikarze w Brukseli są pod zbyt dużym wpływem Komisji. Większość dziennikarzy, zwłaszcza niemieckich, jest — jak twierdzi — „zbyt grzeczna”. Uważają, że należy chronić Komisję i jej urzędników, bo w ten sposób pomaga się budować zjednoczoną Europę. Hans-Martin jest natomiast przekonany, że Unii Europejskiej najlepiej się broni, obnażając jej wady, bo żeby rozwiązać problem, trzeba go najpierw dostrzec.

Sama nigdy nie doprowadziłam do końca żadnego dziennikarskiego śledztwa. Raz straciłam kilka dni na rozszyfrowywanie twardych dysków z kilkudziesięciu komputerów z dyrekcji generalnej do spraw poszerzenia, kierowanej przez Günтера Verheugena. Znajomy Belg kupił za pół darmo używane komputery z Komisji w sklepie Oxfamu, który wspomaga swoimi zyskami kraje trzeciego świata. Chciał je odsprzedać z zyskiem. Gdy włączył

jeden z nich, na ekranie pojawił się napis „Dg. enlargment” (dyrekcja do spraw poszerzenia). Od razu zadzwonił do mnie. Przez jakiś czas łudziliśmy się, że dotrzemy do tajnych informacji na temat poszerzenia. Mieliśmy około 50 komputerów, które zamiast na złom, Komisja przekazała Oxfamowi. Nasze wysiłki spełzyły jednak na niczym. Nic nie wskórali nawet znakomici technicy z radia RMF FM. Komputery starannie wyczyszczono, zanim opuściły pomieszczenia Komisji.

Zajmując się codziennie negocjacjami, nie miałam czasu ani sposobności — poza tym jednym przypadkiem — by wcielić się w rolę detektywa. Zgadzam się jednak z Hansem-Martinem, że nie należy niczego ukrywać czy wybielać, bo prawda jest zawsze lepsza.

W opinii mojego niemieckiego kolegi w kwestii poszerzenia w Niemczech istnieją dwa główne tabu: nikt nie dyskutuje o zasadności przyjęcia naraz dziesięciu krajów i nikt nie mówi o kosztach poszerzenia.

— Prawie nikt poza mną nie odważył się u nas napisać, ile poszerzenie będzie kosztowało statystycznego Niemca — twierdzi Hans-Martin.

— A więc jesteś przeciw rozszerzeniu? — pytam nieco podejrzliwie.

— Ależ skąd! — zaprzecza. — Uważam, że poszerzenie to historyczna konieczność, ale świadomie wyrazić zgodę Niemcy będą mogli dopiero wiedząc, ile ono będzie kosztować.

Hans-Martin opublikował więc w „Sternie” odpowiednie wyliczenia. Zamieścił także artykuł o defraudacji programu pomocowego PHARE na Słowacji.

— Zanim zakończyło się dochodzenie, Verheugen zdążył obwieścić publicznie, że nie przepadło ani jedno euro — opowiada. Komisarz nie chciał dopuścić krytyki jednego ze „swoich” krajów. Artykuły Tillacka były ponadto sprzeczne z lansowanym przez komisarza optymizmem. Nic więc dziwnego, że gdy Tillack spotkał kiedyś Verheugena na Rondzie Schumana, komisarz uniósł się gniewem, nakrzyczał na niego i zarzucił mu kłamstwo.

Hans-Martin nie jest ulubieńcem Komisji Europejskiej, ale to mu nie przeszkadza. Dziennikarz nie jest od tego, żeby być lubianym. Poza tym Hans-Martin wierzy, że wiele zmian na lepsze może przynieść reforma unijnych instytucji, zapoczątkowana przez Konwent Europejski.

— Europa musi być bardziej demokratyczna — opowiada. — Na przykład Komisja Europejska powinna być wybieralna. Obecnie wiele skan-

dali uchodzi jej na sucho, ponieważ w Parlamencie Europejskim nie ma prawdziwej opozycji. W Brukseli nie toczy się żadna walka polityczna, nikt się więc nie obawia, że skandal ktoś może wykorzystać. Obecne europejskie instytucje są bezkarne. Dlatego Europa powinna być federalna!

— Jeżeli jesteś federalistą, to musisz być pesymistą co do przyszłości Unii Europejskiej po jej poszerzeniu o Polskę i inne kraje — gasi go Arnaud Leparmentier, korespondent „Le Monde”.

Rozmowa z Arnaud jest zawsze jak zimny prysznic, nieraz jednak potrzebny dla zachowania równowagi i zdrowego rozsądku, zwłaszcza w końcowej fazie rokowań.

Arnaud był korespondentem „Le Monde” w Berlinie i z tamtych czasów zna Hansa-Martina. Od września 2001 roku jest szefem europejskiego biura „Le Monde” w Brukseli. Choć pracuje dla jednej z najważniejszych gazet w Europie, chodzi w dżinsach i powyciąganej kurtce. Jeden z moich polskich kolegów wziął go kiedyś za dziennikarza z... Albanii. Arnaud



Arnaud rozmawia w kuluarach Komisji z Peterem Schoofem, rzecznikiem przedstawicielstwa Niemiec przy UE.

do korespondencji z Brukseli wprowadził luźniejszy, przystępniejszy styl. Wcześniej dominował koturnowy, zawili język, oparty na eurożargonie.

Arnaud lubi prowokować. Wiele szumu zrobił jego artykuł wydrukowany na czołówce „Le Monde”, zatytułowany „Kto odważy się zablokować poszerzenie Unii Europejskiej?”. Była to ukryta krytyka francuskiej dyplomacji, niechętniej poszerzeniu, ale niemającej odwagi otwarcie mu się przeciwstawić.

Arnaud nie ukrywa swoich poglądów. Jego zdaniem przyjęcie do Unii Polski i dziewięciu innych krajów kandydujących zepsuje europejską maszynę i sprawi, że Unia stanie się niezdolna do sprawnego funkcjonowania. Uważa, że krajom z byłego bloku wschodniego trzeba było pomóc raczej czymś na kształt Planu Marshalla.

— Ale nie należało zapraszać was do rodziny — mówi bez owijania w bawełnę.

— Dlaczego? — pytam przez zaciśnięte gardło.

— Inny etap rozwoju ekonomicznego, znacznie niższy niż w Hiszpanii, gdy przyjmowaliśmy ją do Unii, inna mentalność — wylicza. — Zrozum, Unia jest jak rodzina, w której czuję się jak u siebie. Jak będziemy mogli dalej zacieśniać integrację w ochronie środowiska, skoro nie macie na to pieniędzy? Jak sobie wyobrażasz wspólną politykę spraw wewnętrznych i sprawiedliwości? Ja nie chcę na przykład automatycznej ekstradycji do Polski! Nie mam zaufania do waszego sądownictwa! — unosi się. — Co my, Francuzi, zyskamy na poszerzeniu? — pyta. — Niemcy, wiadomo: poszerzenie strefy wpływów, większy rynek zbytu oraz odkupienie za winy z czasów II wojny światowej.

Pytam, czy obawia się, że Francja straci na znaczeniu. Arnaud nie odpowiada wprost.

— Obawiam się, że będziecie słuchać wyłącznie Stanów Zjednoczonych. Albo jak mam wytłumaczyć moim rodakom, że trzy małe kraje bałtyckie, które do niedawna stanowiły praktycznie jedność, będą miały w sumie trzech komisarzy, a Francja jednego?

Arnaud uważa, że poszerzenie zepsuje „jego” Unię.

— To był nasz pomysł, nasza francusko-niemiecka zabawka, zbudowana razem z krajami Beneluksu. Teraz mam poczucie, że zaczynamy ją psuć — twierdzi.

Francuscy koledzy najsurowiej oceniają moją pracę dziennikarską. Ich zdaniem jestem prawie nacjonalistką.

— Interesuje cię tylko twój własny kraj, wciąż pytasz tylko o sprawy związane z Polską — wypomina Arnaud.

Właściwie zgadza się z nim Hiszpan, Eliseo Oliveras, pracujący dla hiszpańskiego dziennika „El Periodico”. Eliseo jest akredytowany przy Komisji Europejskiej od listopada 1995 roku i chciałby tu zostać jak długo się da. Powrót do kraju, nawet na wyższe stanowisko, oznacza zawężenie horyzontu. Znamy się prawie od pierwszego dnia jego pobytu w Belgii. Podczas wojny w Kosowie dzień w dzień, nieraz do nocy, przesiadywaliśmy w Kwaterze Głównej NATO.

Eliseo twierdzi, że faktycznie zbyt nachalnie reprezentujemy narodowe stanowisko Polski. Postanawiam się odciąć.

— Wiesz, co mówią o nas Niemcy i Francuzi? — pytam. — Krytykują nas za to, że zachowujemy się dokładnie jak Hiszpanie.

— No już dobrze — odpowiada Eliseo pojednawczo. — Nie wiem, jacy my byliśmy podczas negocjacji z Unią, bo wtedy nie było mnie jeszcze w Brukseli.

„El Periodico” to czwarty co do wielkości hiszpański dziennik. Gazeta ma codziennie dwa identyczne wydania: po hiszpańsku i katalońsku. Eliseo mówi o sobie jako o „bardzo przekonanym Europejczyku”.

— To najpiękniejszy polityczny projekt — nie waha się używać wielkich słów. — Nigdy w historii Europy nie było tak długiego okresu bez wojny. Nigdy ludzie nie osiągnęli tak wysokiego standardu życia.

Eliseo podkreśla, że wbrew temu, co się powszechnie sądzi, Hiszpanie popierają poszerzenie bardziej niż Niemcy. Mimo to w maju 2001 roku Madryt zablokował negocjacje z Polską i innymi kandydatami w sprawie przepływu siły roboczej, czyli dostępu do unijnych rynków pracy. Hiszpan wyjaśnia, że ceny za poszerzenie nie powinni płacić głównie najbiedniejsi spośród obecnych piętnastu członków UE.

— Blokowaliśmy, aby zapobiec wyłączeniu naszych ubogich regionów z unijnej pomocy. Za sprawą przystąpienia uboższych krajów te regiony stałyby się statystycznie bogatsze i straciłyby możliwość ubiegania się o pomoc — wyjaśnia. (Zamożność danego regionu jest wyliczana w odniesieniu do unijnej średniej). I od razu dodaje, że dokładnie tak samo rok później

Niemcy blokowały negocjacje w sprawie dopłat dla rolników, przed wyborami do Bundestagu we wrześniu 2002 roku. Dziwi się, że w polskich mediach reakcja na niemiecką blokadę w rolnictwie była łagodniejsza niż na hiszpańską blokadę w pracy.

Często mówimy sobie ostre słowa. Ale to nigdy nie przeszkadzało nam być przyjaciółmi. Brukselscy korespondenci żyli w poszerzonej Unii na długo przed formalnym przystąpieniem Polski i pozostałych krajów kandydujących. Na codziennych briefingach oraz całkiem prywatnie przekonywaliśmy się, co oznaczają tolerancja czy solidarność. Świetnie rozumieliśmy, że czeka nas wiele problemów. Cóż, nieraz trzeba coś stracić, by coś zyskać.

Trudne początki

Zakrapiane negocjacje

W rezydencji ambasadora Jana Truszczyńskiego panowała biesiadna atmosfera. Podawano mocne trunki. Niektórzy z naszych negocjatorów zdążyli nawet ich nieco nadużyć. Nastął już jednak wieczór i po całodziennym stresie wielu chciało się odprężyć.

Był koniec lutego 1998 roku. Za miesiąc mieliśmy rozpocząć oficjalne rokowania z Unią Europejską. Do Brukseli zjechali wszyscy ci, którzy przez najbliższych kilka lat mieli prowadzić negocjacje w poszczególnych działach. Większość spośród tych około trzydziestu osób była tu pierwszy raz. Zostali zaproszeni „na szkolenia”, aby spotkać swoich partnerów ze strony Komisji Europejskiej, zorientować się w rozmiarach czekającej ich pracy i zapoznać się ze sposobem prowadzenia rozmów.

Kolega z „Rzeczpospolitej”, Jędrzej Bielecki, wypatrzył swojego wujka, który nadzorował rozmowy w dziale badania naukowe i nauka. Z tej znajomości nie mieliśmy, niestety, większej korzyści, gdyż był to najłatwiejszy rozdział negocjacji i pierwszy, który Polska zamknęła.

Na koktajlu u ambasadora znaleźli się jednak i ci, którzy odpowiadali za sprawy najważniejsze i najdrażliwsze. Dla nas, brukselskich korespondentów, była to niesłychana gratka. Po raz pierwszy mieliśmy okazję porozmawiać ze świeżo upieczonymi negocjatorami.

W salonie było głośno, poprosiliśmy więc ambasadora, aby pozwolił nam przeprowadzać wywiady w swoim gabinecie. Spośród zebranych wyłuskiwaliśmy pojedyncze osoby. Na pierwszy ogień poszła wiceminister pracy Irena Boruta, której przypadała najtrudniejsza działka, obejmująca prawo Polaków do zatrudnienia w krajach Unii. Rząd już zapowiedział oficjalnie, że w negocjacjach będzie obstawał za możliwością dostępu do unijnych rynków pracy od pierwszego dnia naszego członkostwa w UE. Niemcy i Austria z kolei dały do zrozumienia, że zażądają nawet dziesięcioletnich restrykcji. Powiedział mi to wprost niemiecki ambasador przy UE, Dietrich van Kyaw, mocno politycznie związany z kanclerzem Helmutem Kohlem.

Rozmowa z minister Borutą szybko przekształciła się w przesłuchanie, jak wspomina jeden z kolegów dziennikarzy, który trzymał się raczej z boku. Według niego podzieliliśmy się z Jędrzejem Bieleckim rolami, choć było to z naszej strony zupełnie nieświadome. Jędrzej odgrywał dobrego, a ja złego gliniarza.

Jędrzej (przechylając przymilnie głowę): — A więc, pani minister, jest szansa na kompromis w sprawie pracy? Będziemy musieli się przecież zgodzić na pewne restrykcje?

Boruta: — Za wcześniej, by o tym mówić, bo nie przeprowadziliśmy jeszcze analiz i symulacji...

Ja (surowym tonem): — A więc pani minister jest nieprzygotowana?

Boruta: — Powiedziano nam, że dla Niemców jest nie do przyjęcia przyznanie nam od razu swobody w dostępie pracy, że mogą nie ratyfikować naszego członkostwa...

Jędrzej: — A więc, tak realnie, na jaki okres ograniczenia moglibyśmy się zgodzić?

Boruta: — No, nie mogę jeszcze powiedzieć...

Ja: — To znaczy, że pani nie wie?

Boruta: — No, zgodzimy się na pięć lat, jeżeli oni zażądają dziesięciu.

Mniej więcej w ten sposób wiceminister Boruta ujawniła nam swoją dopiero co opracowaną strategię. Zanim zaczęliśmy negocjacje, stało się jasne, że ostatecznie zgodzimy się na kilkuletnie restrykcje. Minister mówiła wtedy prawdę, ale dopiero w grudniu 2001 roku zaakceptowaliśmy okres przejściowy w tej dziedzinie. W niektórych krajach UE Polacy nie będą mo-

gli bez przeszkód podejmować pracy przez dwa do siedmiu lat od naszego przystąpienia do Unii.

Wiceminister przyznała, że rządowi zależy na swobodzie pracy za granicą, bo „spodziewany jest znaczny wzrost bezrobocia po przystąpieniu do UE, związany z koniecznością restrukturyzacji hutnictwa, górnictwa i rolnictwa”. Powiedziała nam także, że w zamian za zgodę na ograniczenia nie uda się nam nic uzyskać. Tymczasem wielu polityków twierdziło wówczas, że w zamian Unia przyjmie nasze żądania, by ograniczyć zakup polskiej ziemi przez cudzoziemców. Dominowało przekonanie, że rokowania będą prowadzone na zasadzie „coś za coś”.

Nazajutrz w „Życiu” i „Rzeczpospolitej” ukazały się artykuły mój i Jędrzeja. „To nie głupota polityczna, to zbrodnia!” — komentował wypowiedzi Boruty na łamach „Życia” Ryszard Czarnecki, szef Urzędu Komitetu Integracji Europejskiej. Pani minister podobno poszła składać dymisję, jednak premier Jerzy Buzek jej ten zamiar wyperswadował.

Inni odpytywani przez nas tamtego wieczora negocjatorzy nie okazali się rezolutniejsi. Odpowiedzialny za rokowania w transporcie wiceminister Krzysztof Tchórzewski (zdrowo już zresztą podchmielony) także ujawnił, jaka jest nasza pozycja wyjściowa w tej dziedzinie, a co naprawdę jesteśmy w stanie zaakceptować. Przyznał więc, że początkowo zgłosimy pięć, ale ostatecznie zgodzimy się na trzy lata ochrony LOT-u przed unijną konkurencją. Nazajutrz, gdy wytrzeźwiał i przeczytał pierwszy tekst z serii „przesłuchań” w gabinecie ambasadora, zadzwonił do mnie i błagał: „Proszę tego nie publikować”. Może bym i uległa, ale nieopatrnie dodał: „Ja się pani odwdzięczę”.

Jeden z negocjatorów w ogóle nie mógł z nami rozmawiać, bo — jak szczerze wyznał — nie zna jeszcze unijnego ustawodawstwa w swoim obszarze. „Wyciągnąłem dopiero z Internetu jedną europejską ustawę” — powiedział.

Gdy tamtego lutowego wieczoru nasi urzędnicy opuszczali rezydencję ambasadora i wsiadali — niczym szkolna wycieczka — do autobusu, z niepokojem zastanawiałam się, jak sobie poradzą w rokowaniach ze szczywanymi unijnymi lisami.

Gołe baby w ambasadzie

Weszłam do budynku naszego przedstawicielstwa przy UE. Obszerny hol przedstawiał niezwykłą scenę. Marmurowa posadzka zawalona była arkuszami papieru, szkicami kobiecych biustów i tubkami farb. Starszy mężczyzna malował coś energicznie na kłęczkach. — To mistrz Franciszek Starowieyski — szepnął mi ktoś.

Dostrzegłam wyłaniające się spod pędzla pulchne kształty dwóch nagich kobiet. Od kilku dni polscy dyplomaci mówili wyłącznie o tym. Obraz miał być olbrzymi — 3,4 na 4 metry — i miał zająć centralne miejsce na ścianie w głównym holu. Początkowo planowano, że otwarcie polskiego przedstawicielstwa przy UE zbiegnie się z rozpoczęciem negocjacji członkowskich, jednak prace budowlane opóźniły się. Także mistrz Franciszek powinien zabrać się do pracy trochę wcześniej. Gdy w ostatniej chwili przedstawił MSZ-owi swoje szkice, oglądający je urzędnik zawołał przestraszony: „Miała być symbolika europejska, a są dwie gołe baby!”.

Było już jednak za późno na zmiany. Obraz trzeba było namalować, i to szybko. Pozwolono więc mistrzowi przystąpić do dzieła. Artysta miał zresztą poparcie ambasadora Truszczyńskiego — autora pomysłu, aby to właśnie Starowieyski upiększył przedstawicielstwo swoim dziełem.

Patrząc na powstający obraz, bez trudu domyślam się, że siedząca na mechanicznym byku naga kobieta to Europa, a druga nagość, z aureolą nad głową, to personifikacja Polski. W lewym dolnym rogu dostrzegam zresztą łaciński tytuł: *Polonia divina rapta per Europa profana* („Boska Polska porwana przez pogańską Europę”). Artysta chętnie wyjaśnia mi symbolikę swojego dzieła:

— Europa jest totalnie pogańska, świecka i barbarzyńska. Na przykład euro uważam za totalne barbarzyństwo językowe.

— Czy więc warto wchodzić do takiej barbarzyńskiej Europy? — pytam.

— Jak najbardziej! — odpowiada mistrz. — Ale musimy stawiać nasze warunki, gdyż my ofiarowujemy Europie naszą dziewiczość.

— Jakie warunki powinniśmy stawiać? — drązę.

— Musimy zażądać, aby był obowiązek całowania pań w rękę i puszczenia ich przodem we drzwiach, bo te półdzikie kobiety w Europie obrażają się, gdy się je całuje w rękę.

— Czy w ten sposób mamy wzbogacić i uświęcić Europę?

— Tak, proszę pani. Oni żądają, abyśmy dostosowali się do ich norm, więc i my musimy egzekwować pewne normy. To właśnie forma decyduje o wszystkim.



Obraz Franciszka Starowieyskiego wisi w głównym holu polskiego Przedstawicielstwa przy UE w Brukseli.

Jeden z polskich negocjatorów żartował potem, że faktycznie będzie zabiegał o wprowadzenie do europejskiego ustawodawstwa obowiązku całowania pań w dłoń. Mniej poczucia humoru mieli urzędnicy z MSZ. Przestraszeni śmiałością i polityczną niepoprawnością dzieła, zastanawiali się, jak wytłumaczyć unijnym gościom jego znaczenie. W końcu, tuż przed uroczystym otwarciem przedstawicielstwa, złamali się i kazali zamalować

część tytułu, pozostawiając tylko napis „Boska Polska”. Mistrz Franciszek był wprawdzie wzburzony, jednak powiedział mi:

— Najważniejsze, że ostała się Polska.

Był to pierwszy kompromis z Brukselą. Znamienny, bo — wbrew pastiszowi mitologicznej sceny z obrazu mistrza Franciszka — nikt nikogo przecież nie porywał i do niczego nie zmuszał. Polska samodzielnie podejmowała decyzję o rozpoczęciu negocjacji z Unią Europejską. Polacy zaś zaakceptują lub odrzucą ich wynik w referendum.

W dniu oficjalnego otwarcia negocjacji, 31 marca 1998 roku, Bronisław Geremek przypomniał w swoim przemówieniu, że integracja z Unią to suwerenna decyzja naszego kraju, która ma doprowadzić do „ostatecznego zakończenia narzuconego wbrew woli narodów podziału kontynentu oraz przynajmniej częściowego nadrobienia strat poniesionych w wyniku następstw Jałty”. Nieczęsto potem mówiono o tej historycznej perspektywie.

Zanurzona w szczegółach codziennego przebiegu rozmów, nierzadko sama traciłam z oczu ten szerszy wymiar. Z drugiej jednak strony to



Oficjalne rozpoczęcie negocjacji w sprawie członkostwa w Unii. Posiedzenie szefów dyplomacji UE i krajów kandydujących. 30–31 marca 1998 roku.

te drobiazgi, zwłaszcza w pierwszej fazie, decydowały o postępach całych rokowań. Jose-Maria Gil-Robles, ówczesny przewodniczący Parlamentu Europejskiego, ostrzegał mnie:

— Musi pani pamiętać, że negocjacje członkowskie są jak wspólne budowanie rakiety kosmicznej. Każda, najdrobniejsza nawet część musi pasować i nie można niczego nadwerężyć, bo chodzi o to, by maszyna mogła wystartować i działać przez długie lata.

Zaczelśmy więc budować tę wspólną raketę. Obie strony łączył cel, czyli przystąpienie Polski do Unii Europejskiej, a ponieważ w tym skomplikowanym organizmie wszystko musiało grać, więc nie chodziło o osłabienie, lecz o wzmocnienie Polski. Zupełnie inaczej niż w klasycznych rozmowach handlowych, gdzie partnera można puścić w skarpetkach, nie dbając nawet o to, czy w ogóle przeżyje.

W chwilach zwątpienia — gdy zadawałam sobie pytanie, jak „oni” mogą nas tak traktować i czy zdają sobie sprawę ze skutków takiego postępowania — przypominałam sobie tę zasadę. Gdyby u nas nastąpiła zapaść, przestałaby funkcjonować cała rakietka. A tego nikt nie chce.

Części rakiety trzeba dopasować. Dlatego w dniu rozpoczęcia negocjacji musieliśmy — jak każdy kraj starający się o członkostwo w UE — wyrazić wolę przyjęcia całego unijnego ustawodawstwa ze wszystkimi wynikającymi z niego standardami. W imieniu Polski taką deklarację złożył minister Bronisław Geremek. Ponieważ jednak wdrożenie norm UE wiąże się z nakładami finansowymi lub przeprowadzeniem zmian w kwestiach szczególnie drażliwych społecznie, kraje kandydujące mogą się starać o przedłużony czas na dostosowywanie się, czyli o okresy przejściowe. Nasz minister wspominał, że będziemy o nie zabiegać w takich dziedzinach, jak ochrona środowiska, energia, transport czy zakup ziemi przez cudzoziemców. Przedstawiliśmy nasze stanowisko wyjściowe: oczekujemy takich samych praw i obowiązków w rolnictwie (była to pierwsza zapowiedź, że chcemy pełnych dopłat dla rolników) oraz swobody podejmowania pracy przez naszych obywateli w krajach UE z pierwszym dniem członkostwa. Przyjęliśmy również zasadę, że nie będzie stałych wyjątków od unijnych reguł. Zatem ci, którzy ludzili się, że będzie można np. trwale zakazać cudzoziemcom kupowania polskiej ziemi, od początku rozmów wiedzieli, że nie ma takiej możliwości.

Zasady negocjacji były więc jasne: wcześniej czy później będziemy musieli wszystko zaakceptować, choć wdrożenie niektórych rozwiązań będziemy mogli lub musieli trochę opóźnić. Zналиśmy więc zasady konstrukcji rakiety, ale wciąż nie wiedzieliśmy, kiedy zostanie odpalona.

Informacje pod nadzorem

Siedziałam razem z innymi polskimi dziennikarzami w pachnącej świeżością i farbą sali konferencyjnej naszego nowego przedstawicielstwa przy Unii Europejskiej i nie mogłam uwierzyć własnym uszom.

— Chcecie szkodzić sprawie polskiej?! — grzmiał nasz główny negocjator Jan Kułakowski. Okazało się, że to nie brak profesjonalizmu naszych urzędników, ale dziennikarze są winni pierwszym wpadkom polskiej ekipy.

— Zamierzacie szukać samych sprzeczności?! — wtórował ambasador Jan Truszczyński.

Obaj panowie zapowiedzieli nową strategię informacyjną, która miała obowiązywać przez cały okres negocjacji. „Koncentracja”, „kontrola” i „ujednoczenie” — te słowa kluczowe powtarzały się najczęściej. Ogłoszono więc „kontrolę nad ekspertami”, którzy nie będą mogli się już z nami spotykać. Chodziło o to, by nie informowali nas „na własną rękę”. Teraz mieli się wypowiadać jedynie „pod kontrolą”. Informacje o negocjacjach miały być nam przekazywane raz w tygodniu przez ambasadora i jego rzecznika, który dopiero miał zostać powołany. Kiedy? Tego nikt nie wiedział. Na nasze nieśmiałe protesty, że to próba odcięcia nas od źródeł miarodajnych wiadomości, Kułakowski odpowiedział:

— Nie będziecie odcięci, ale eksperci będą mieli instrukcje, żeby odciąć się od was.

Powiało chłodem i nieufnością. Wychodząc, otrzymaliśmy od sympatycznej urzędniczki listę z numerami telefonów do pracowników nowych biur w przedstawicielstwie (między innymi z bezpośrednim telefonem do ambasadora). Lecz gdy byliśmy już za drzwiami, dopadł nas „pan inżynier”, a więc po prostu ochroniarz, i próbował nam odebrać listę jako „supertajną”. Pistoletu jednak nie wyjął, więc listy nie oddaliśmy i do dzisiaj wiszą w moim

miniaturowym brukselskim studiu radia RMF FM, bo ludzie się zmieniają, a telefony wciąż są te same.

„Negocjacje pod nadzorem” — zatytułowałam wówczas mój artykuł, wydrukowany na pierwszej stronie „Życia”, przeciwstawiając obsesyjną skrytość polskich urzędników powszechnie znanej otwartości Skandynawów.



Siedziba polskiego przedstawicielstwa przy UE w Brukseli mieści się w prestiżowej dzielnicy przy avenue de Tervuren 282–284. Budynek zaprojektował Ludwik Konior.

Początki były więc trudne — i dla negocjatorów, i dla dziennikarzy. Po kilku miesiącach, gdy rzeczniczką polskiego przedstawicielstwa została Małgorzata Alterman, była korespondentka „Gazety Wyborczej”, polityka informacyjna znacznie się poprawiła. Coraz częściej można było rozmawiać z Kułakowskim lub Truszczyńskim przy wyłączonym mikrofonie, a więc szczerze i otwarcie. Ekspertcy spotykali się z nami nadal — chociaż rzeczywiście niekiedy po kryjomu — a informacje dostawaliśmy jednak o wiele częściej niż raz w tygodniu. Pod sam koniec negocjacji wróciła fala ograni-

czeń. Coraz częściej zamiast konferencji prasowych główny negocjator Jan Truszczyński wygłaszał deklarację bez możliwości zadawania pytań.

Przed oficjalnym rozpoczęciem rokowań wszyscy byli spięci. I urzędnicy, i korespondenci stali przed wielką niewiadomą. Jak będą wyglądać negocjacje? Jaka będzie rola Komisji Europejskiej? Przedstawicielstwa RP? Dziennikarzy?

Po „przesłuchaniach” w gabinecie ambasadora między negocjatorami a dziennikarzami brakowało zaufania, a po słynnej historii z „brudnym mlekiem” zabrakło go również między negocjatorami a Komisją Europejską.

Czy tak musi być? Postanowiłam znaleźć odpowiedź na to pytanie. Na początku 1998 roku odszukałam negocjatorów, którzy wprowadzali do Unii Hiszpanię, Portugalię, Finlandię. Ambasador Finlandii przy UE Antti Satuli prowadził wcześniej rozmowy o przystąpieniu w imieniu Helsinek. Przemilił starszy pan przyjął mnie u siebie w gabinecie.

— Czekasz droga dłuższa niż ta, którą myśmymy przeszli — powiedział na przywitanie. To był banał, jednak już drugie stwierdzenie mnie zaskoczyło: — Komisja Europejska będzie waszym sprzymierzeńcem.

— Jak to możliwe? — spytałam zdziwiona, gdyż nie wyczuwałam w Komisji zbyt wielkiej przychylności.

— Komisja zaangażowała się politycznie w proces poszerzenia — wyjaśniał Fin. — Fiasko negocjacji byłoby jej porażką, dlatego będzie was wspierać.

I opowiedział mi, jak kiedyś w trakcie rokowań członkowskich wyszedł z sali z zamiarem zerwania obrad, a wtedy jeden z urzędników Komisji podsunął mu na kartce „magiczną formułkę”, która zadowoliła państwa Unii i odblokowała negocjacje.

W Parlamencie Europejskim spotkałam się z Luisem Moranem, deputowanym do Parlamentu Europejskiego, a wcześniej przez siedem lat hiszpańskim negocjatorem z Unią. Na stole leżało „Boże igrzysko” Normana Davisa. Moran radził, aby nawiązywać bezpośrednie kontakty w unijnych stolicach i tam prowadzić lobbing. Hiszpanie mieli przykre doświadczenia z urzędnikiem Komisji, który zamiast reprezentować ponadnarodowe stanowisko, był de facto rzecznikiem interesów Francji. Ta zaś blokowała członkostwo Hiszpanii w obawie przed konkurencją dla własnych rolników.

Wszyscy moi rozmówcy zalecali zgodnie, aby w Brukseli mówić „jednym głosem”. — Najgorsze są sytuacje, gdy w Brukseli minister rolnictwa mówi co innego niż minister finansów — twierdził Moran. Satuli ostrzegął, że osiemdziesiąt procent negocjacji odbywa się faktycznie wewnątrz kraju, a tylko dwadzieścia procent w Brukseli.

To było dla mnie wówczas niejasne. Kto ma z kim negocjować w kraju? W ciągu paru następnych lat dostrzegłam jednak wiele przykładów źle poprowadzonych lub w ogóle zarzuconych owych „negocjacji wewnętrznych”. Lepiej poprowadzone negocjacje z lobby budowlanym ułatwiłyby nam rozmowy w sprawie podatku VAT w budownictwie. Skuteczniejsze negocjacje z lobby farmaceutycznym usprawniłyby pertraktacje w sprawie leków.

A trzaskanie drzwiami? Dyplomatyczne wybiegi i podstępny? Te elementy tradycyjnych rokowań moi rozmówcy wymieniali na samym końcu, bo dopiero na finiszu negocjacji członkowskich zaczyna się tak zwany maraton — faza najbardziej dramatyczna i wyczerpująca.

— Unia lubi napięcie tych końcowych, nocnych rozmów — mówił z przekąsem Moran. — Tutaj można już stosować klasyczne chwyt.

— Często bierze się na zmęczenie — wspomina Victor Martines, negocjator portugalski. Właśnie podczas tego ostatniego etapu Satuli wyszedł, trzaskając drzwiami.

— Było w tym trochę teatru, moja złość była kontrolowana, wiedziałem, że wrócę — opowiadał mi Fin.

Czy polski negocjator będzie też trząsał drzwiami?

— O, na pewno! — twierdzili zgodnie moi rozmówcy.

W końcu Finowie negocjowali bez przerwy przez dwie doby. Zamknięci z urzędnikami Komisji Europejskiej w budynku Rady Ministrów UE, nie wychodzili nawet, aby się ogolić. Jedli na miejscu, spali po dwie godziny. Równolegle w innych pomieszczeniach negocjowali Szwedzi, Austriacy i Norwegowie. Podobnie finiszowali Hiszpanie. A jak będzie wyglądał finał polskich negocjacji?

Tajemnicze telefony

Od kilku dni mój dziennikarski instynkt mówił mi, że w sprawie programu pomocowego PHARE coś wisi w powietrzu. Pewnego majowego popołudnia 1998 roku razem z Jackiem Safutą, brukselskim korespondentem PAP-u, spotkałam się z komisarzem Hansem van den Broekiem, odpowiedzialnym za poszerzenie UE w Komisji Europejskiej Jacquesa Santera. Choć komisarz uczestniczył akurat w jakiejś konferencji w sprawie Mongolii czy Tadżykistanu, bez wahania podetknęłam mu pod nos mikrofon i spytałam wprost:

— Co z polskim PHARE-em?

— Musimy obciąć wam trzydzieści cztery miliony euro, bo projekty były źle przygotowane — odparł sucho Holender.



Komisarz Hans van den Broek przykleja nalepkę PHARE na ciężarówkę, która wyruszy w drogę na Wschód. PHARE, to pierwszy unijny program wsparcia dla Europy Środkowej, z którego Polska korzystała w latach 1990–2003.

To był grom z jasnego nieba. Byliśmy pierwszymi dziennikarzami, którzy zdobyli tę informację. Ja nadałam ją w RMF FM, Jacek w PAP-ie. Dopiero trzy godziny później rzeczniczka komisarza, Lousewies van der Laan, wydała komunikat prasowy w tej sprawie.

Wiadomość o stracie pieniędzy wywołała w Warszawie trzęsienie ziemi. Zaskoczony premier Buzek odwołał w ciągu kilkunastu minut wiceministra w Urzędzie Komitetu Integracji Europejskiej Stanisława Zawadzkiego, odpowiadającego za opracowywanie projektów. Przyszłość szefa UKIE Ryszarda Czarneckiego także stanęła pod znakiem zapytania. Rozkręciła się kampania wzajemnych oskarżeń. MSZ zarzucało Urzędowi, że nie przekazywał ostrzeżeń z Komisji Europejskiej; UKIE obarczał odpowiedzialnością MSZ i polską misję w Brukseli. Premier powołał specjalną komisję dla zbadania sprawy i znalezienia winnych. Spór podsyciła dodatkowo walka o wpływy między partnerami w koalicji rządzącej — Akcją Wyborczą Solidarność i Unią Wolności.

Nic dziwnego, że odbywające się kilka dni później otwarcie nowej siedziby naszego przedstawicielstwa przy UE w Brukseli przebiegało w ponurym nastroju. Bronisław Geremek przecinał biało-czerwoną wstęgę wspólnie z Hansem van den Broekiem. Dla mnie tamten dzień był smutny także z całym osobistych powodów — umierał mój kot, szarobury dachowiec, zwany przeze mnie po prostu Kotkiem. Ktoś go otruł. Kto? Nie wiedziałam. Jeszcze godzina, dwie. Niecierpliwiłam się. Czy zdążę do domu?

Tymczasem kolejne przemówienia ciągnęły się w gęstej atmosferze. Komisarz usiłował ją nieco rozładować. Najwyraźniej nie szokowały go nagie postaci na obrazie Franciszka Starowieyskiego. Na wieść o tym, że tytuł dzieła zmieniono z „Boska Polska porwana przez pogańską Europę” na „Boska Polska”, van den Broek próbował nawet żartować:

— Obecny tytuł jest jednak lepszy od poprzedniego, bo tamten nawiązywał chyba do obciążenia pomocy z PHARE...

Kilka osób zaśmiało się z grzeczności. Było jasne, że dzieli nas przepaść niezrozumienia i nieufności. Van den Broeka, pochodzącego z niedużego kraju, irytowała uboższa, duża Polska, która zapowiadała twarde negocje i uważała, że należy jej się specjalne traktowanie. Nie miał więc skrupułów przed wywlekaniem naszych braków i niedociągnięć. A tych nie brakowało. W listopadzie 1997 roku Komisja zablokowała eksport polskiego mleka,



*Wspólne śniadanie szefa polskiej dyplomacji Bronisława Geremka i szefa UKIE Ryszarda Czarneckiego (pierwszy od lewej) z komisarzem Hansem van den Broekiem (drugi od prawej).
27 listopada 1997 roku.*

gdyż unijna inspekcja wykazała, że zawiera wykraczającą poza unijne normy ilość bakterii i ciał somatycznych. A teraz obcięła nam pieniądze, bo projekty PHARE były źle przygotowane.

Polscy dyplomaci nieoficjalnie twierdzili, że komisarz jest arogancki i z wyższością traktuje kraje kandydujące. Także rzeczniczka van den Broeka dawała nam, dziennikarzom, odczuć swój brak sympatii dla Polski. Nie zdziwiłam się, gdy po odejściu z Komisji, już jako deputowana do Parlamentu Europejskiego z ramienia lewicowo-liberalnej partii D66, na łamach „Financial Timesa” kilkakrotnie forsowała tezę, że Unię można poszerzyć bez naszego kraju. Także pod koniec 2002 roku, gdy nasze członkostwo w UE było zagrożone z powodu kryzysu rządowego w Holandii, van der Laan wodziła prym wśród antypolskich polityków. Lousewies miała wielkie ambicje polityczne — w wywiadzie dla dwutygodnika „Unia & Polska” wyznała kiedyś, że zamierza zostać przewodniczącą Komisji Europejskiej. Te aspiracje prawdopodobnie nie pozostały bez wpływu na przebieg „afery telefonicznej”.

Z ekipą van den Broeka pracowało się więc dość ciężko. Nie brakowało za to emocji i dziennikarskich sensacji. Trzy tygodnie po historii z PHARE holenderski dziennikarz Hans de Vreij z publicznej, międzynarodowej rozgłośni Radio Netherlands Newline, dopadł mnie na codziennym briefingu w Komisji Europejskiej.

— Słuchaj — szeptał mi do ucha wyraźnie podekscytowany. — Dowiedziałem się, że jeden z polskich ministrów zgodził się z decyzją Komisji Europejskiej o pozbawieniu was części funduszy pomocowych. Zadzwoił nawet do Brukseli, żeby pogratulować i powiedzieć, że taki polczyk otrzeźwi polski rząd.

De Vreij był poważnym dziennikarzem publicznego radia. Nie miałam powodu wątpić w jego słowa. Jeszcze tego samego dnia przesłał mi napisaną przez siebie depezę. Informację o sprawie nadał już wcześniej na antenie swojej rozgłośni. Zgodził się też na wypowiedź dla RMF-u. „Holenderskie radio w korespondencji Hansa de Vreij podało, że jeden z polskich ministrów zatelefonował do Brukseli z gratulacjami za odebranie Polsce pieniędzy z PHARE” — usłyszeli nasi słuchacze.

Reakcja w kraju była bardzo gwałtowna. W komentarzach pojawiło się nawet słowo „zdrada”. Premier Buzek zapowiedział, że jeżeli doniesienia okażą się prawdziwe i będą dowody, to takiego ministra zdymisjonuje. Dlaczego?

— Gdyby taki fakt miał miejsce, świadczyłoby to o nielojalności wobec rządu i o występowaniu przeciwko interesom państwa — wyjaśniał rzecznik rządu Jarosław Sellin. Kto telefonował? — zastanawiano się. Jeden z członków gabinetu zaproponował podobno, aby sprawdzić billingi ministrów. Każdy telefon do Brukseli stawał się więc podejrzany.

Kilka dni później zadzwonił do mnie ówczesny zastępca naczelnego „Życia” Tomek Wróblewski. Powiedział, że w jednym z artykułów w holenderskiej prasie miało paść nazwisko nieszczęsnego ministra. Poprosił, żebym to sprawdziła. Znalazłam. Był to tekst Bena van der Velde, brukselskiego korespondenta ekonomicznego dziennika „NRC Handelsblad”, zatytułowany „Poszerzenie UE potrwa dłużej, niż się spodziewano”. Niektórzy zastanawiali się potem, skąd znam niderlandzki, język Holendrów. Odpowiedź była prosta — zatrudniłam do pracy mojego męża, Flamanda, dla którego był to także język ojczysty.

Stronę z artykułem z „NRC Handelsblad” „Życie” opublikowało na czołowiec, z moim (i mojego męża) tłumaczeniem pod spodem. Zdanie, które wyzwoliło nawałnicę, brzmiało: „Bezpośrednio po decyzji van den Broeka o niewypłaceniu 74,8 mln NLG [chodziło o 34 mln euro] polski minister finansów Leszek Balcerowicz poinformował [po niderlandzku „meldde”, a więc także: „zameldował”] Brukselę, że krytyka była słuszna”.

Wicepremier Balcerowicz ostro dementował, twierdząc, że to kłamstwo. Natomiast Ben długo nie mógł mi darować, że zacytowałam jego tekst, bo przez kilka dni setki polskich dziennikarzy dzwoniły do niego, pytając, skąd miał informacje.

W dniu, gdy bomba wybuchła, rzeczniczka van den Broeka najpierw twierdziła, że nie wie, czy ktoś z polskiego rządu telefonował do Brukseli, a potem, na briefingu w południe, oznajmiła, że „nie było żadnego telefonu”. Przy różnych okazjach chwaliła się później, że tym dementi „uratowała polski rząd od rozpadu”. Tymczasem, jak słusznie zauważył w jednym z tekstów



Komisarz Hans van den Broek chciał dać Polsce nauczkę na przyszłość.

mój kolega Jędrzej Bielecki, korespondent „Rzeczpospolitej”, „rzeczniczka, van den Broek i większość urzędników dyrekcji generalnej zajmującej się stosunkami z Europą Wschodnią to Holendrzy. Dlatego niektórzy podejrzewają, że prasa holenderska otrzymuje wiadomości przede wszystkim z tego źródła”.

Jaką rolę odegrała w tym wszystkim van der Laan? Nie miałam stu-procentowej pewności, ale po zastanowieniu widziałam tylko jedno wytłumaczenie: ujawniając holenderskim dziennikarzom informację o telefonie z Warszawy, otoczenie komisarza van den Broeka szukało dodatkowego usprawiedliwienia dla decyzji o pozbawieniu nas części pomocy i chciało pokazać, że ma ona zwolenników także w Polsce.

Decyzja van den Broeka miała być ponadto przestrożą na przyszłość i przypomnieniem, że to od porządnego przygotowania projektów i wniosków o przyznanie unijnej pomocy będzie zależało, czy po wejściu do UE dostaniemy przeznaczone dla nas miliardy euro. Jednak cztery lata temu to przesłanie było mało zrozumiałe. W dodatku stosunki i komunikacja między Brukselą a Warszawą pozostawiały wtedy wiele do życzenia. Brakowało wzajemnego zaufania, podejrzliwości było za to w nadmiarze. Zaczął to zmieniać dopiero następca van den Broeka, Niemiec Günter Verheugen. W pierwszych dniach urzędowania był podobno zszokowany paternalistyczną wymową niektórych, znalezionych na biurku, dokumentów na temat kandydatów.

Verheugen postanowił być w przeciwieństwie do van den Broeka partnerem — nie wychowawcą. Wolał marchewkę od kija.

Nie tylko prezerwatywa

Czy dostosujemy się także do europejskiej normy prezerwatywy? — Tym pytaniem wprawiłam w zakłopotanie męskie grono naszych negocjatorów, odpowiedzialnych za kwestię „swobodnego przepływu towarów”.

Był koniec 1998 roku. Od kwietnia trwał pierwszy etap negocjacji, czyli tzw. screening. Premier Jerzy Buzek ogłosił nawet konkurs na znalezienie polskiego odpowiednika tego terminu, ale nigdy nie dowiedziałam

się, czy wyłoniono zwycięzcę. I tak kolejne słowo z eurożargonu weszło do naszego słownika.

Screening oznaczał „przeгляд prawa”, czyli sprawdzanie zgodności polskich uregulowań z unijnym. W ten sposób wyodrębniliśmy problemy negocjacyjne, a więc te dziedziny, w których, zdaniem naszych negocjatorów, dostosowanie od pierwszego dnia w UE będzie zbyt trudne. Następnym krokiem było przygotowanie naszych stanowisk negocjacyjnych w poszczególnych dziedzinach prawa wspólnotowego. W stanowiskach deklarowaliśmy albo że bez przeszkód przyjmujemy unijne prawodawstwo z dniem wejścia do UE, albo że poprosimy o okres przejściowy na dostosowanie. Unijne prawo liczyło już wtedy ponad osiemdziesiąt tysięcy stron. Była to więc dosyć żmudna praca. Moje pytanie o prezerwatywy było całkowicie uzasadnione, bo dział „swobodny przepływ towarów” obejmował także kwestię normalizacji różnych produktów.

— Nie — odpowiedział mi jeden z członków delegacji. — Nie dostosujemy rozmiaru naszych prezerwatyw, bo w ogóle nie ma takiej normy. To jeden z euromitów.

— Może to norma szczelności? — spekulował z kolei Krzysztof Trepczyński, radca w naszym przedstawicielstwie przy UE. — Ale przecież nie, jednak rozmiaru — myślał głośno.

— Prezerwatywa musi być przede wszystkim skuteczna. Najlepiej sprawdzić w użyciu — zaczął wyjaśniać szef delegacji, wiceminister gospodarki Andrzej Kaczurba. Po czym spojrzął na trzymany przez mnie mikrofon radia RMF i zaniepokoił się: — Pani to nagrywa? — Ale zaraz z całą powagą ciągnął dalej: — Jest to problem bezpieczeństwa i należy go rozpatrywać w kategoriach skutku, a nie technicznej specyfikacji.

Panowie negocjatorzy ustalili w końcu, że jeżeli taka norma rzeczywiście jest, to Polska ją przyjmie i dostosuje się z dniem wejścia do Unii. Pozostało mi tylko sprawdzić, czy przedmiot kontrowersji faktycznie istnieje. Udałam się więc do siedziby Europejskiego Komitetu Normalizacji (CEN), gdzie, w liczbie tysiąca rocznie, tworzone są owe słynne europejskie normy.

Gdy spytałam rzecznika CEN Stuarda Sansona o prezerwatywy, ten zaczął na mnie krzyczeć:

— Przez takich jak pani utrwała się fałszywe wyobrażenie, że Unia chce wprowadzić normy na wszystko! Czy pani na przykład wie, że obecnie normy są dobrowolne?

Nie wiedziałam. Tymczasem Sanson wyjaśniał, że coraz częściej rezygnuje się z norm ściśle określających, jak dana rzecz ma być zbudowana, na rzecz norm opisujących pożądaną skutek. Chodzi więc np. o to, aby dany produkt był bezpieczny, a jak producent to osiągnie, to już jego sprawa. A w ogóle celem europejskich norm jest ułatwienie handlu na jednolitym rynku — tłumaczył rzecznik, wyraźnie dumny z tego, że zmusił mnie do wysłuchania swojego wykładu.

Ponieważ nieco się już uspokoił, ponowiłam nieśmiało pytanie o prezerwatywę.

— Na początku na rynku prezerwatyw był chaos — zaczął z namaszczaniem. — Każdy z krajów UE miał inną normę długości czy średnicy. Prezerwatywy produkowane w Wielkiej Brytanii były na przykład nieco dłuższe niż we Włoszech. Różne były także testy na wytrzymałość — w jednym kraju prezerwatywy miały wytrzymać pięć, w innym sześć litrów wody. Te, które spełniały normy w jednym kraju, nie były dopuszczane na rynek w innym. Wybuchła wojna między producentami. Wreszcie to oni sami wymusili stworzenie normy, a Komisja Europejska zaproponowała tylko dyrektywę o bezpieczeństwie artykułów medycznych.

— Ile centymetrów ma europejska prezerwatywa? — odważyłam się zapytać. Sanson jednak obudził się z transu i ponownie wpadł w złość. Nie poznałam więc dokładnych parametrów (Dopiero później — i z mniej pewnego źródła — dowiedziałam się, że europejska prezerwatywa ma minimum 17 centymetrów długości i 5 centymetrów średnicy). Przekonałam się za to, że europejskie normy nie są tak głupie i bezsensowne, jak się często uważa. Jeżeli to nie Komisja Europejska naciska na ich tworzenie, ale sami producenci ułatwiają sobie w ten sposób życie, to przecież ich prawo — myślałam, wychodząc z CEN-u.

Innym razem gnębiłam Piotra Nowinę-Konopkę, wiceministra w Urzędzie Komitetu Integracji Europejskiej.

— Czy po wejściu Polski do UE w każdym miasteczku i wiosce trzeba będzie zapewnić imigrantom z Danii naukę duńskiego, a imigrantom z Grecji — greckiego? — pytałam. (Nowina-Konopka odpowiadał za roko-

wania w obszarze „edukacja”, czyli za jedną z trzydziestu dziedzin, na które dla potrzeb negocjacji podzielono europejskie prawo).

Trzymałam w ręku unijną dyrektywę (czyli akt prawny UE) z 1977 roku, z której wynikało, że każde państwo Unii musi zapewnić dzieciom pracujących w nim imigrantów z innych krajów UE naukę w ich ojczystym języku. Próbowałam dociec, czy jest to już dla nas problem negocjacyjny. Wystawiłam na poważną próbę cierpliwości obecnego rektora Kolegium Europejskiego w Natolinie.

— Istnieje granica zdrowego rozsądku — irytował się minister Nowina-Konopka. — Unijne dyrektywy mają to do siebie, że pozostawiają państwom członkowskim pewną swobodę co do sposobu ich wcielania w życie.

Mniej więcej w tym samym czasie naszej paczce polskich korespondentów w Brukseli udało się przedrzeć przez bramki i strażników w budynku Komisji zwanym Centrum Borchet. Chcieliśmy dotrzeć do naszej delegacji, negocjującej tam kwestie związane z nauką i badaniami naukowymi. Za tę dziedzinę odpowiadał Jan Krzysztof Frąckowiak, wujek korespondenta „Rzeczpospolitej”, Jędrzeja Bieleckiego. Zamierzaliśmy dowiedzieć się, czy będziemy musieli także współfinansować badania nad eutanazją.

Była pora lunchu. Wujka Jędrzeja, wiceministra w Komitecie Badań Naukowych, dopadliśmy w stołówce nad talerzem z niedojedzonym stekiem i frytkami. Kompletnie zaskoczonego naszą obecnością, zaczęliśmy odpytywać z zasad unijnej etyki.

— Nikt nas do niczego nie będzie zmuszał — uspokajał Frąckowiak. — Takich badań zresztą się nie prowadzi.

Ten okres, czyli przełom 1998 i 1999 roku, to był czas, w którym najwięcej się nauczyłam. Poznałam sporą część unijnego ustawodawstwa. Zadawałam wiele pytań — przyznaję, nie zawsze mądrych. Pytania stawiali jednak także unijnym partnerom nasi negocjatorzy. „Trzeba pytać, by uniknąć zaskoczenia po wejściu do Unii” mówiła wówczas Françoise Gaudenzi, negocjatorka polskiego członkostwa z ramienia Komisji Europejskiej, zachęcając do zadawania pytań, nawet tych z pozoru najgłupszych.

Były oczywiście także pytania o normy w ekologii, ochronę ziemi, o pracę Polaków w Unii, o specjalne strefy ekonomiczne i o rolnictwo. Powoli Warszawa zaczęła dostrzegać, co będzie przedmiotem faktycznych negocja-

cji. Mimo że już wówczas jak na dłoni było widać jaki ogrom pracy legislacyjnej czeka polski Sejm, dostosowanie naszego ustawodawstwa do unijnego nie ruszyło jeszcze pełną parą. Wciąż brakowało wielu ustaw, między innymi z dziedzin ochrony środowiska, weterynarii, polityki konkurencji (w sprawie zasad udzielania pomocy publicznej przedsiębiorstwom). Także samo „dostosowanie” rozumiano dosyć płytko. Sama zdziwiłam się kiedyś, gdy Gaudenzi ostro tłumaczyła mi, że nie wystarczy, aby ustawa weterynaryjna istniała na papierze — musi być także wcielona w życie. Dopiero wtedy można mówić o prawdziwym dostosowaniu. Zaczynałam rozumieć, że przyjęcie unijnego ustawodawstwa to nie jakieś kosmetyczne zabiegi, lecz zasadnicza przebudowa struktury gospodarczej, finansowej, prawnej i administracyjnej naszego państwa. Przejęcie unijnego dorobku prawnego, nieraz bolesne i kosztowne, oznaczało modernizację Polski. Przyspieszało także nasze członkostwo w UE. Zrozumiał to dopiero Jacek Saryusz-Wolski, nowy szef



Wiele spraw ruszyło z miejsca odkąd szefem UKIE został Jacek Saryusz-Wolski. Od lewej Saryusz-Wolski podpisuje z komisarzem ds. rolnictwa Franzem Fischlerem umowę o wsparciu dla polskiej wsi. 25 stycznia 2001 roku.

UKIE w rządzie Jerzego Buzka. Razem z Tadeuszem Mazowieckim utworzył w czerwcu 2000 roku w Sejmie Wielką Komisję Prawa Europejskiego, dzieląc ustawy na priorytetowe, czyli europejskie, i te, które mogą przechodzić normalną, dłuższą ścieżkę legislacyjną.

Czas nauki i wzajemnego osvajania się w okresie screeningu zaczął się jednak niebezpiecznie wydłużać. Nasza dyplomacja wymogła wtedy na państwach Unii, żebyśmy mogli rozpocząć właściwe rozmowy, nim jeszcze zakończyliśmy przegląd prawa, czyli już w listopadzie 1998 roku. Zabięgał o to szczególnie u przewodniczących wówczas UE Austriaków główny negocjator Jan Kułakowski. Jako pierwsi spośród kandydatów przedstawiliśmy stanowiska negocjacyjne w siedmiu dziedzinach, rozpoczynając w ten sposób prawdziwe rokowania.

Jeszcze w listopadzie zakończyliśmy negocjacje w trzech najłatwiejszych obszarach (edukacja, nauka, małe i średnie przedsiębiorstwa). Liczyliśmy jednak, że zamknjemy dwa razy więcej rozdziałów. Kułakowski zaczął się niecierpliwić. Skrytykował publicznie Unię za „liturgiczne” prowadzenie negocjacji. Chodziło mu o to, że Piętnastka zadawała często po kilka razy te same pytania, a sesje negocjacyjne polegały na wymianie dokumentów, a nie na wzajemnym przekonywaniu się do swoich racji. Tego typu frustracja nie opuściła naszych negocjatorów prawie do samego końca. Rokowania z UE były bardzo sztywne i niezwykle sformalizowane. Jednak tylko w ten sposób mogły toczyć się negocjacje piętnastu krajów, które za każdym razem musiały najpierw uzgadniać we własnym gronie wspólne stanowisko, by negocjować z dziesięcioma kandydatami.

Screening skończył się ostatecznie w lipcu 1999 roku. Odnosiliśmy wrażenie, że zaczęła się gra na zwłokę. Najpierw mówiono, że z konkretami, czyli z uzgodnieniami w sprawie okresów przejściowych, trzeba zaczekać do wyborów w Niemczech. Potem nowy kanclerz, Gerhard Schröder, ostudził nasze zapały, zapowiadając „nowy realizm” w sprawie poszerzenia. Miał to być kontrast z niespełnionymi — i raczej niemożliwymi do spełnienia — obietnicami jego poprzednika, Helmuta Kohla — na przykład tą, że wejdziemy do UE już w 2000 roku. Tymczasem Unia przygotowywała się do trudnych rozmów wewnętrznych w sprawie budżetu na lata 2000–2006 i reformy Wspólnej Polityki Rolnej. Dopiero co rozpoczęte negocjacje z kandydatami wytracały dynamikę.

Dentysta pani komisarz

Ostateczny koniec Komisji Europejskiej Jacquesa Santera nastąpił w dniu, gdy na maszt w Kwaterze Głównej NATO wciągnięto pierwszy raz polską flagę. Na tę uroczystość 15 marca 1999 roku do stolicy Belgii przyjechali wspomóc mnie koledzy z RMF-u. Relacjonowaliśmy głównie nasz sukces. Polska przeżywała dzień chwały, Bruksela — dzień niesławy.

— Wszystko zaczęło się we wrześniu 1998 roku od artykułiku w popularnej, ale niezbyt dużej belgijskiej gazecie „La Dernière Heure” (co, nomen omen, znaczy „ostatnia godzina”) — opowiada główny sprawca zamieszania, dziennikarz „Libération”, Jean Quatremer. Dziennik napisał, że komisarz do spraw badań naukowych, była premier Francji Edith Cresson, zatrudniła u siebie w charakterze konsultanta naukowego do spraw walki z AIDS, za pośrednictwem podejrzaney o korupcję firmy Perry-Lux, Francuza René



Komisarz Edith Cresson nie chciała się przyznać do błędów ujawnionych przez prasę i doprowadziła do upadku ekipę Jacquesa Santera.

Berthelota. Cresson wysłała do francuskiej agencji prasowej AFP ostre dementi.

— Ta gwałtowna reakcja obudziła we mnie podejrzenia — wspomina Quatremer.

Dziennikarskie śledztwo wykazało, że intuicja go nie zawiodła. Ta sprawa to był potencjalny dynamit. Quatremer odkrył, że Berthelot jest dentystą z wykształcenia, nigdy nie napisał żadnego raportu o AIDS, a poza tym jest kochankiem pani komisarz. Podobno pełnił także rolę jej osobistego wróżbity, co jest szczególnie ciekawe, gdyż socjalistka Cresson znana była ze swoich postępowych poglądów.

Wraz z Jeanem dochodzenie w sprawie nieprawidłowości w Komisji zaczęło prowadzić kilku innych brukselskich korespondentów, między innymi z niemieckiego „Focusa” i belgijskiego „Le Soir”. Spotykali się w tajemnicy z informatorami, wymieniali się kontaktami, wiadomościami, informacjami i co kilkanaście dni ujawniali kolejne rewelacje. Równolegle w Parlamencie Europejskim niemiecka deputowana z Partii Zielonych, członkini komisji budżetowej Edith Müller, rozpoczęła śledztwo w sprawie defraudacji pieniędzy przeznaczonych na pomoc humanitarną dla Bośni. Pieniądze z brukselskiej kasy na tego typu cele przechodzą przez biuro Komisji Europejskiej zwane ECHO, zatrudniające kilkuset urzędników. Ta ofensywa dziennikarzy i deputowanych miała na celu wymuszenie na Komisji większej otwartości, decentralizacji, odbiurokratyzowania i rezygnacji z politycznych kryteriów przy obsadzaniu urzędniczych stanowisk. Większość polskich i europejskich mediów nie była jednak zainteresowana narastającym kryzysem zaufania do Komisji, toteż wiadomości o nadużyciach ekipy Santera pojawiły się w nich po raz pierwszy dopiero... w dniu dymisji przewodniczącego i jego ludzi.

Tymczasem mnie sprawa pasjonowała od początku — nie tylko ze względu na jej sensacyjny posmak. Czułam też, że to jedyna droga, aby w Komisji coś drgnęło, aby stała się mniej arogancka, zamknięta i zadufana. Miałam już dosyć protekcjonalnego stylu bycia Hansa van den Broeka i jego chorobliwie ambitnej, rozpolitykowanej i przemądrzałej rzeczniczki. Raz nawet pomyślałam, że Bruksela niewiele różni się od Moskwy czy Warszawy z czasów komunistycznych. Było to wtedy, gdy włoski dziennikarz Alberto, myśląc, że zrobi mi przyjemność, zaprowadził mnie do specjalnego sklepu „za żółtymi firankami”, wyłącznie dla eurokratów. W sklepie oferowano to-

wary po niższych cenach — tak jak w PRL w podobnych sklepach dla wyższych urzędników partyjnych. Zrobiło mi się wówczas nieswojo, bo nie tak wyobrażałam sobie demokratyczną Europę.

Gdy wybuchła afera z Cresson i jej bardzo osobistym dentystą, wciąż panowało przekonanie, że Komisję Europejską krytykują tylko eurosceptycy. Ja jednak wiedziałam, że dziennikarze tacy jak Jean Quatremer z lewicowej „Libération” to przekonani zwolennicy Unii Europejskiej, a nawet silnej Komisji.

— Tylko zdolna do samooczyszczenia Komisja nie będzie wam, krajom postkomunistycznym, przypominać Moskwy — mówił mi wówczas Hartwig Natz z „Focusa”. — Robimy to także dla was.

Miał rację: po odejściu Santera ekipa Romano Prodiego podjęła próbę wewnętrznych reform. Pół roku po zmianie zamknięto sklepy „za żółtymi firankami”.

Polscy dyplomaci odradzali jednak zajmowanie się „wewnętrznymi sprawami Komisji”. Dlaczego? Miało to podobno robić złe wrażenie w kraju podczas negocjacji, a poza tym mogło nie spodobać się w Brukseli. „Nie można krytykować Komisji, jeżeli nie jest się w środku” — powiedział mi kiedyś polski dyplomata, krytykując moje doniesienia o potknięciach ekipy Santera. Staralam się jednak unikać takiej hipokryzji. Umówiłam się na spotkanie z Edith Müller. Było listopadowe popołudnie. Deputowana przyjęła mnie miłym „dzień dobry” po polsku. Powiedziała, że poza walką z defraudowaniem unijnych pieniędzy zabiega również o to, by Parlament organizował także kursy języka polskiego dla deputowanych na równi z językami krajów Piętnastki. Eurodeputowani mogą korzystać z darmowych lekcji, które zazwyczaj są na bardzo wysokim poziomie.

— Niedługo polski będzie przecież jednym z oficjalnych języków Unii — mówiła. — Dlatego już warto się uczyć.

— Zarzuca się pani, że toczy pani walkę o wyrwanie jak największej władzy Komisji Europejskiej na rzecz Parlamentu. Czy o to chodzi? — spytałam. Tak najczęściej tłumaczono napięcie trwające między Komisją a członkami PE, którzy stanęli murem za Edith Müller. Deputowana wcale nie przeczyła, że Parlament chce mieć więcej do powiedzenia. „Na tym polega demokratyzacja unijnych struktur” — wyjaśniała. Europejscy parlamentarzyści grozili, że jeżeli Komisja nie ujawni wszystkich nieprawidłowości,

odmówią skwitowania jej budżetu za 1996 rok. Była to jedyna forma presji, jaką dysponował wtedy Parlament. „Jesteśmy jeszcze słabym, ale nie pozbawionym środków nacisku gwarantem demokratycznej kontroli europejskich instytucji” — opisywała Müller rywalizację między niewybraną Komisją, a „reprezentującym społeczeństwo” Parlamentem Europejskim, wyłanianym w powszechnych wyborach.

Decentralizacja, przekazanie państwom kandydującym większej odpowiedzialności za wybór projektów realizowanych dzięki unijnej pomocy, większa przejrzystość prac Komisji Europejskiej, jawność większości dokumentów — wiele z postulatów Edith Müller zaczęła spełniać Komisja pod przewodnictwem Prodiego. Jednak jeszcze w 1998 roku sprawy wyglądały inaczej. Naciskano na dziennikarzy prowadzących dochodzenie. Cresson wystąpiła do sądu przeciwko Quatremerowi i jego gazecie z oskarżeniem o zniesławienie.

— Szef gabinetu Cresson powiedział mi, że są sposoby na takich jak ja — mówi Quatremer.



Wizyta premiera Jerzego Buzka u Jacquesa Santera wypadła w trudnym dla przewodniczącego Komisji okresie. 15 października 1998 roku.

W obronie jego i innych korespondentów stanęło Międzynarodowe Stowarzyszenie Dziennikarzy (API). „Nigdy w historii Komisji Europejskiej nie próbowano tak zastraszać dziennikarzy” — oświadczył kiedyś na briefingu jego szef. Prawie każde spotkanie brukselskich urzędników z prasą odbywało się w bardzo napiętej atmosferze. Komisja czuła się osaczona i przez Parlament Europejski, i przez nas, dziennikarzy. W takich okolicznościach w ciągu ostatniego pół roku przedłużającej się agonii ekipy Santera poszerzenie Unii zeszło na dalszy plan.

Końcówka była żenująca. W styczniu 1999 roku podczas konferencji prasowej przewodniczący Komisji sprawiał wrażenie, jakby nad niczym już nie panował — a najmniej nad sobą. Czerwony ze zdenerwowania, udzielał absurdalnych odpowiedzi. Szedł w zaparte, broniąc skompromitowanej Cresson. Dziennikarze zaczęli podejrzewać Santera o nepotyzm. Przewodniczący, pytany o pozycję swojej żony w zarządzie firmy, która wynajmuje Komisji Europejskiej nieruchomości w Luksemburgu, przedstawił listę własnych posiadłości. „Nie wiem, czy moja żona prowadzi podwójne życie, ale nic mi nie wiadomo, żeby miała udziały w firmie działającej na rynku nieruchomości” — twierdził. Gdy dziennikarze dopytywali się o unijne dotacje dla fińskiej firmy, w której pracuje żona komisarza do spraw budżetu oraz personelu i administracji Fina, Erkki Liikanena, Santer wysilił się na dowcip: „Nie znam wszystkich żon moich komisarzy!”

Nie do śmiechu było samemu Liikanenowi, który, usłyszawszy pytanie w swoim biurze dzięki transmisji wewnętrznej telewizji, wbiegł do sali prasowej i dopadł do mikrofonu. „Pochodzę z kraju, gdzie panuje równouprawnienie mężczyzn i kobiet i nie muszę odpowiadać w imieniu mojej żony. Proszę zadzwonić po wyjaśnienia bezpośrednio do niej!” — wykrzykiwał. I podał wszystkim numer komórki pani Liikanen.

Santer zapowiedział, że jeżeli Parlament Europejski odmówi udzielenia mu absolutorium, poda się do dymisji, a z nim ustąpią inni komisarze.

15 marca w siedzibie głównej NATO odbywała się ceremonia wciągania na maszt polskiej flagi. Mój kolega z RMF-u, Grześ Jasiński (obecnie korespondent w Waszyngtonie) przyjechał niebiesko-żółtym wozem satelitarnym, który budził zachwyty moich zagranicznych kolegów dziennikarzy. Po oficjalnym przyjęciu naszego kraju do Sojuszu ta natowska ceremonia była już dla mnie tylko kolejną „oficjałką”. Nie mogłam jednak zostawić kole-

gów, by śledzić dramatyczny finał Komisji Santera. Znam go więc tylko z relacji innych dziennikarzy. Nikt z polskich korespondentów nie był wówczas w Parlamencie Europejskim. Jedni uznali, że Komisja utrzyma się, inni, tak jak ja, nie mogli „rozdwoić się”. Tymczasem raport niezależnych ekspertów okazał się prawdziwą bombą. Eksperci potwierdzili wiele oskarżeń wysuwanych przez prasę. Zarzucili Komisji utratę kontroli nad podległą jej administracją, tolerowanie kumoterstwa i niegospodarności. Potwierdzili zwłaszcza oskarżenia wysuwane przez dziennikarzy przeciwko pani Cresson. W głosowaniu Komisja Santera nie miałaby szans. Bardziej honorowym wyjściem było więc podanie się do dymisji. To był koniec pewnej epoki. Nowa ekipa musiała rozpocząć walkę o odzyskanie wiarygodności.

Komisja Romano Prodiego obejmowała ster we wrześniu 1999 roku. Cieszyłam się podwójnie. Po pierwsze, udało mi się zadać pytanie nowemu przewodniczącemu na jego pierwszym spotkaniu z prasą. Po drugie, pojawiła się nadzieja na przyśpieszenie negocjacji. Prodi zaskoczył dziennikarzy, przydzielając ostatecznie tekę komisarza do spraw poszerzenia Niemcowi, Günterowi Verheugenowi. Spodziewaliśmy się czego innego. Z przecieków wynikało bowiem, że to stanowisko dostanie były gubernator Hongkongu, Brytyjczyk Chris Patten. Wolałam oczywiście, aby zajmował się nami Niemiec, gdyż spośród wszystkich krajów UE to właśnie Niemcy najenergiczniej wspierały poszerzenie. Nie przeszkodziło mi to jednak zadać pytania o możliwą stronniczość niemieckiego komisarza podczas rokowań w sprawie pracy Polaków w krajach Unii czy zakupie ziemi przez cudzoziemców. Wówczas Prodi, zapewniając o kompetencjach Verheugena, po raz pierwszy powiedział też, że poszerzenie Unii Europejskiej będzie priorytetem jego kadencji. To była naprawdę dobra wiadomość.

Dzielnica europejska

Wokół Ronda Schumana

Piątek, godzina osiemnasta. Z Justusa Lipsiusa, budynku Rady UE, wychodzi kilkadziesiąt osób. Elegancko ubrani mężczyźni i kobiety ciągną niewielkie walizeczki na kółkach, które można zabrać ze sobą do kabiny samolotu, bez nadawania na bagaż. Szybkim krokiem zbliżają się do podjeżdżających jedna za drugą taksówek. Za kilkanaście minut znajdą się na lotnisku w Zaventem, a za godzinę, dwie — w Rzymie, Madrycie lub Berlinie. To eurokraci, unijni urzędnicy, którzy po tygodniu pracy w Brukseli wracają na weekend do rodzin i przyjaciół. Podobna scena rozgrywa się o tej samej porze pod innymi gmachami Unii. Dzielnica europejska w Brukseli pustoszeje. Ruch wokół Ronda imienia Roberta Schumana — jednego z ojców założycieli europejskich wspólnot i ministra spraw zagranicznych Francji — słabnie.

Rondo to punkt centralny tej dzielnicy. Nie da się go ominąć w drodze do budynków Breydel, Charlemagne czy Justus Lipsius. Dosłownie dwa kroki stąd do Berlaymont, który po latach remontu stanie się wkrótce ponownie główną siedzibą Komisji Europejskiej. Niedaleko jest również do dzielnicy Leopolda, gdzie wznosi się gmach Parlamentu Europejskiego, zwany „kaprysem bogów”.

W dzielnicy europejskiej kilka milionów metrów kwadratowych zajmują biura — głównie instytucji unijnych, ale nie tylko. Swoje siedziby mają



Dzielnicę europejską przecina rue de la Loi, po lewej Berlaymont, po prawej Justus Lipsius, ulicę zamyka Rondo Schumana.

tutaj także przedstawicielstwa regionów przy UE — na przykład Bawarii czy Laponii (to ostatnie odwiedzane przez dziennikarzy szczególnie często w okresie świąt Bożego Narodzenia) — lobbyści i przeróżne organizacje europejskie, jak stowarzyszenie producentów stali EUROFER czy Komitet Episkopatów Unii Europejskiej COMECE. Nic dziwnego, że w weekend wszystko tu zamiera. W sobotę większość okolicznych sklepów i restauracji jest nieczynna, za to bez problemu można zaparkować samochód czy wreszcie bez obaw wsiąść na rower.

Kto pozostaje w dzielnicy europejskiej? Przede wszystkim rodowici brukselczycy, których w tej części miasta jest jednak mało i coraz mniej. Gdy ponad trzydzieści lat temu rozpoczęto budowę gmachów UE, miejscowych było w tej części miasta dwadzieścia pięć tysięcy. Obecnie, po wywłaszczeniu i wyburzeniu setek kamienic, pozostało jedynie dziewięćuset.

W belgijskiej prasie często można przeczytać, że brukselczycy żywią niechęć lub wręcz nienawiść do eurokratów i zmian, jakie sprowadzili na tę część miasta. Mieszkałam w dzielnicy europejskiej kilka lat, lecz nie czułam wrogości. Oczywiście, pewne zadry pozostały. Mój sąsiad nie mógł na przykład przeboleć, że w 1968 roku wywłaszczono jednego z najlepszych w okolicy cukierników. Zupełnie zresztą niepotrzebnie, bo jego dom stał pusty do 2002 roku. Belgowie jednak raczej nie ucierpieli finansowo. Za swoje kamienice, w miejsce których stawiano europejskie gmachy, dostawali całkiem przyzwoite pieniądze. Byli i tacy właściciele, którzy wręcz liczyli, że Komisja Europejska wykupi ich domy.

Mój dobry przyjaciel Jaak van Waeg, którego rodzina „od zawsze” mieszka przy skwerze Marie-Louise (obecnie na tyłach Charlemagne), zachował miłe wspomnienia z czasu, gdy powstawała dzielnica europejska.



Budowa siedziby Komisji Europejskiej — Berlaymont, rok 1964. Od tego momentu jedna z brukselskich dzielnic zaczęła zmieniać swój charakter.

Jako chłopiec chodził patrzeć, jak kopano gigantyczny dół pod budowę Berlaymont. Fascynowały go zwłaszcza setki czechosłowackich niebieskich ciężarówek Tatra, wywożących ziemię. Do dzisiaj zastanawia się, dlaczego do budowy głównego gmachu EWG zakupiono samochody z kraju RWPG. Ma nawet własną teorię: „Z pewnością maczało w tym palce KGB” — powiada.

Trudno jednak mówić o integracji obu światów — tego brukselskiego i eurokratycznego. Eurokraci często mówią po francusku, ale prawie nigdy po niderlandzku (a rdzenna ludność tej dzielnicy to właśnie Flamandowie). Rzadko czytają belgijską prasę i zdarza się, że latami mieszkając w Brukseli, nie znają nazwisk członków belgijskiego rządu czy skomplikowanego federalnego ustroju

państwa. Eurokraci trzymają się razem, bo łączą ich zainteresowania, praca i podobny status socjalny. Dzieci posyłają do szkół europejskich, a nie belgijskich. Chodzą do irlandzkich pubów (jest ich kilka w dzielnicy europejskiej), których Belg, dumny ze swojego rodzimego piwa — a ponadto na ogół dość oszczędny — raczej nie odwiedzi. „Mieszkam tutaj już kilka lat, a nie znam jeszcze ani jednego Belga” — wyznała mi kiedyś znajoma z Komisji.

Belgowie z dzielnicy europejskiej nie mają tego wszystkiego za złe unijnym urzędnikom, są bowiem bardzo pragmatyczni. Jaak van Waeg wynajmuje Hiszpanom pracującym w Komisji Europejskiej jedno z kilku mieszkań, których jest właścicielem. Większość urzędników woli jednak mieszkać poza miastem, gdzie mogą wynająć obszerny dom z ogrodem. W dzielnicy europejskiej mieszkają ci, którzy cenią sobie bliskość miejsca pracy. Za 170 m kw. Hiszpanie płacą Jaakowi 1100 euro.

— Żaden Belg nie dałby tyle — mówi Jaak. — Wolałby dojeżdżać, niż przeplacać.

Jaak chętniej wynajmuje więc cudzoziemcowi niż Belgowi.

— Eurokraci nie znają miejscowych cen, porównują je z cenami u siebie, a ponadto bardzo dobrze zarabiają — wyjaśnia.

Podobnie myślą właściciel sklepu mięsnego i piekarz. Sam fakt, że na szyldach umieścili nazwy „eurorzeźnik” i „europiekarz” oznacza, że ceny będą tam wyższe niż gdzie indziej. Brukselczycy wiedzą, że trzynaście procent PKB miasto zawdzięcza właśnie temu, że stało się stolicą Europy.

Samo to nie przyciągnęłoby jednak turystów. Bruksela jest atrakcyjna ze względu na swój klimat i charakter, który objawia się poza dzielnicą unijną. „Z przyjemnością spaceruję po Grand-Place [główny rynek starego miasta — K.S.], czego nie mogę powiedzieć o spacerach w dzielnicy europejskiej” — stwierdził kiedyś przewodniczący Komisji Europejskiej Romano Prodi. Brukseli wciąż jednak brakuje atrakcyjnego wizerunku, który pogodziłby jej europejski charakter z pierwotnym mieszczańskim obliczem. Nad zmianą tego stanu rzeczy zamierzają pracować zarówno Komisja Europejska, jak i rząd belgijski. Wspólnie powołały nawet specjalną grupę artystów, antropologów, socjologów i urbanistów, którzy mają wymyślić nową koncepcję stolicy Europy.

Tymczasem prace budowlane nie ustają. Wraz z poszerzeniem UE planuje się dalszą rozbudowę eurodzielnicy. Między innymi budynek



Grand-Place ze swoimi kamieniczkami flamandzkich rzemieślników pozostaje największą atrakcją turystyczną Brukseli, chociaż miasto zwraca się coraz bardziej w stronę dzielnicy europejskiej.

Parlamentu Europejskiego ma zostać powiększony w stronę secesyjnego dworca (potrzebna jest nowa sala plenarna, która pomieści po rozszerzeniu UE 732 eurodeputowanych). Konieczne jest także miejsce spotkań dla szefów państw i rządów, gdyż od 2004 roku unijne szczyty będą się odbywać w Brukseli, a nie, jak dotychczas, w krajach sprawujących półroczne przewodnictwo. Władze belgijskiej stolicy obiecują, że będą bardziej dbać o to, by architektura europejskich gmachów wtapiała się w tkankę miasta. Wydają ostatnio coraz mniej zezwoleń na budowę biur, promują renowację mieszkań i kamienic, zakładają parki i klomby oraz — mimo protestów automobilistów — budują coraz więcej ścieżek rowerowych.

Gdy Polacy zasilą szeregi eurokratów, na pewno będzie im się tutaj spacerować przyjemniej niż kilka lat wcześniej przewodniczącemu Prodiemu. Ale Bruksela nieprędko stanie się metropolią. Zresztą — może to i dobrze. Mając bowiem wszystkie cechy międzynarodowej stolicy i dużego miasta, zachowa zarazem swój ludzki, prowincjonalny i po flamandzku flegmatyczny charakter.

Randka pod Justusem

„Polacy wybudowali Europę” — te słowa znajomego architekta przypominają mi się, gdy spoglądam na okazały budynek z różowego piaskowca, siedzibę Rady Ministrów UE. Jest on dziełem czterech polskich architektów, w tym mojego znajomego Ludwika Koniora.



Polski architekt Ludwik Konior, w tyle zaprojektowana przez niego siedziba Rady UE.

Zdaniem brukselczyków budowla jest za ciężka, zbyt przysadzista i przypomina mauzoleum. Ja się już jednak przyzwyczaiałam, a nawet ją polubiłam. Może dzięki jej patronowi, Justusowi Lipsiusowi, którego popiersie stoi w centralnym holu. Ten holenderski humanista z XVI wieku stał się sławny w Polsce po tym, jak „Gazeta Wyborcza” podała kiedyś, że... spotkał się z nim nasz główny negocjator.

Justus jest świetnym punktem orientacyjnym. Przy jego popiersiu wiele razy umawiałam się z unijnymi dyplomatami, zwłaszcza z tymi, których nie znałam jeszcze z widzenia. Codziennie, szczególnie w porze lunchu,

wokół Justusa krąży kilkanaście osób, które także wyznaczyły sobie rendez-vous w tym miejscu. Przypomina mi to moje randki „pod Adasiem” na krakowskim Rynku Głównym.

Gdy do Rady Ministrów przybywa polski lub unijny minister, wjeżdża na wewnętrzny dziedziniec i przechodzi do budynku specjalnym wejściem dla VIP-ów. Nikt z zewnątrz go nie widzi. Rada Ministrów bowiem to najbardziej niedostępna i najlepiej chroniona ze wszystkich europejskich instytucji. Tutaj odbywają się negocjacje członkowskie i posiedzenia Rady UE, czyli unijnych ministrów i ambasadorów. Mieści się tu sztab przyszłych europejskich sił szybkiego reagowania, a także sekretariat przewodniczącego Konwentu Europejskiego, Valery’ego Giscarda d’Estaing. W sumie w budynku pracuje około dwa i pół tysiąca urzędników.

W związku z poszerzeniem UE Justus jest przebudowywany i powiększany.

— Gdy rozpoczynaliśmy budowę, przewidywaliśmy sale z kabinami dla tłumaczy dla dwunastu delegacji, a gdy kończyliśmy w 1995 roku, przybyły już trzy nowe kraje — wspomina Konior. Teraz dojdzie dziesięć kolejnych.

— Kabin dla tłumaczy trzeba będzie chyba wybudować w dwóch kondygnacjach — zastanawia się architekt.

Publiczne wejście do budynku Rady znajduje się od strony ulicy. Najpierw odgradza je olbrzymia, przesuwana na szynach krata, a potem dziedziniec. W październiku 2002 roku dobudowano jeszcze jedno ogrodzenie, które ma chronić przed wdarciem się demonstrantów, którzy coraz częściej manifestują przed siedzibą Rady swoje niezadowolenie z powodu tej



Popiersie Justusa Lipsiusa wita wchodzących do siedziby Rady UE.



Manifestacja pacyfistów przed siedzibą Rady UE.

lub innej decyzji unijnych ministrów. Na dziedziniec zazwyczaj każdy może wejść, ale stojący tam strażnicy skutecznie onieśmielają chętnych. Okno żadnego z biur nie wychodzi na ulicę — wszystkie znajdują się od strony wewnętrznego dziedzińca. Te, które widać, to najwyżej okna toalet.

— Takie były wymogi bezpieczeństwa — tłumaczy to niezwykle rozwiązanie Konior i przypomina, że projekt architektoniczny Justusa Lipsiusa przygotowywany był w czasach, gdy Europę terroryzowały Czerwone Brygady.

— Terroryci straszyli, że będą strzelać z bazooki do europejskich instytucji — opowiada.

Ale jeżeli nawet ktoś podłożyłby sto kilo dynamitu pod jedną z belek, na których wspiera się cała konstrukcja, to budowla się nie zawali — zapewnia Konior z dumą.

Niedostępność budynku Rady UE odzwierciedla charakter tej instytucji. W Unii Europejskiej funkcję ustawodawczą spełnia właśnie Rada (działając na podstawie propozycji przedkładanych przez Komisję Europejską i we współpracy z Parlamentem Europejskim).

W państwach członkowskich organ ustawodawczy debatuje zwykle publicznie. W Unii jest inaczej — większość debat w Radzie UE odbywa się za zamkniętymi drzwiami. Oczywiście dziennikarze są potem informowani o ich przebiegu. Coraz częściej dyskusje ministrów retransmituje się dla dziennikarzy i publiczności. Rada UE trochę się więc otwiera, jednak wciąż otacza ją nimb tajności i skrytości.

Rada to miejsce, gdzie ścierają się interesy poszczególnych państw członkowskich Unii. W Justusie Lipsiusie odbywały się wszystkie nasze sesje negocjacyjne, bo to właśnie rządy krajów UE odgrywają najważniejszą rolę w procesie poszerzenia, nie zaś — jak się powszechnie sądzi — Komisja Europejska.

Komisja, po konsultacjach ze stroną polską, przesyła wstępną propozycję stanowiska negocjacyjnego Unii w danej dziedzinie (np. transporcie czy rolnictwie) grupie do spraw poszerzenia. Ta grupa to dyplomaci z piętnastu ambasad państw członkowskich, zwanych stałymi przedstawicielstwami przy UE. Komisja w swojej propozycji stara się uwzględnić nasze interesy, ale musi się jednocześnie liczyć z opinią unijnych stolic.

To Komisja zaleca zakończenie negocjacji lub ich kontynuowanie. Dyplomaci z grupy zaostrzają, łagodzą lub akceptują jej propozycje. Podczas naszych negocjacji członkowskich na tym etapie po raz pierwszy ujawniały się interesy poszczególnych stolic. Francuska dyplomatka starała się na przykład uzyskać jak najmocniejsze gwarancje, że polska straż graniczna i celnicy zarabiają wystarczająco dobrze, by nie ulegać pokusie korupcji. Domagała się również zapewnień o bezpieczeństwie naszej żywności i dostatecznej ochronie przed „chorobą szalonych krów”. Przedstawiciel Holandii dopominał się, aby unijni farmerzy mogli bez ograniczeń kupować ziemię w Polsce. Niemka chciała, by w imię unijnej solidarności restrykcje na pracę obywateli nowych państw członkowskich stosowały wszystkie kraje Unii, a nie tylko Niemcy i Austria.

Dyplomata kraju przewodniczącego Unii (przewodnictwo trwa pół roku) po otrzymaniu propozycji z Komisji konsultował się z Warszawą. Od dyplomatycznych umiejętności przewodniczącego Rady UE zależało często tempo osiągania kompromisów, a te były niezbędnym warunkiem posuwania się negocjacji naprzód.

Podczas belgijskiego przewodnictwa spotkania grupy prowadził Filip Becke, który przez sześć miesięcy musiał — jak każdy przewodniczący Rady — godzić interesy piętnastu państw Unii z interesami kandydatów, starając się przy tym zapomnieć o interesie narodowym własnego kraju. Becke wyznał mi kiedyś: „Połowa moich telefonów to telefony do Warszawy”. Miał oczy podkrążone z przemęczenia i trzymał w ręce komórkę.

Dyplomaci z krajów członkowskich co najmniej dwa razy w tygodniu przyjeżdżali do Justusa Lipsiusa. Spotykali się we wtorki i piątki, a w gorących okresach nawet codziennie. Spotkania były poufne, nie organizowano potem żadnych konferencji prasowych. Teoretycznie dyplomatom z grupy do spraw poszerzenia nie wolno było nawet rozmawiać z dziennikarzami. Pod koniec negocjacji znałam jednak prawie wszystkich, a każdy z nich dziwił się, skąd mam tak dobre informacje.

Podczas pożegnalnego koktajlu, wydanej w połowie 2001 roku przez przemilego przedstawiciela Austrii Michaela Schwarzingera (został mianowany ambasadorem na Litwie), byłam — wraz z brytyjskim dziennikarzem z tygodnika „The European Voice” — jedyną zaproszoną zagraniczną dziennikarką. Dlatego inni dyplomaci uznali, że to właśnie Schwarzinger był wówczas naszym głównym źródłem informacji.

Jednak żaden członek grupy do spraw poszerzenia nie mógł być dla mnie źródłem jedynym i wystarczającym. Rozmawiając ze mną, każdy z nich przedstawiał bowiem problem z pozycji własnego kraju. Dopiero suma wiadomości uzyskanych od jak największej liczby osób dawała pojęcie o możliwym stanowisku całej Unii.

Wśród dyptomatów tej grupy duszą towarzystwa był bezsprzecznie Hiszpan, najspokojniejszy natomiast był Grek, który ożywiał się podobno tylko podczas dyskusji na temat Cypru. Przedstawiciel Hiszpanii, Javier Catalina, to człowiek bardzo inteligentny, odcytany, dowcipny, ale i przebiegły. Często próbował przedstawiać swój kraj jako rzecznika poszerzenia Unii, a Niemcy jako ten, który je hamuje, nie chcąc sięgać do portfela i zamykając dostęp do rynku pracy. Byłam kilka razy świadkiem hiszpańsko-niemieckich spięć. Madryt, który najwięcej korzystał z unijnych dotacji, uważał, że Berlin powinien płacić, płacić i jeszcze raz płacić. Dlaczego? Bo i tak najbardziej wzbogaci się na poszerzeniu na wschód, tak jak wcześniej zarobił na inwestycjach w Hiszpanii. Niemcy oczywiście odrzucały rolę dojrzałej krowy.

Moje stosunki z Cataliną pogorszyły się, gdy wykryłam, że to na jego wniosek dyplomaci z grupy do spraw poszerzenia — oczywiście po konsultacjach ze swoimi rządami — zdecydowali o objęciu restrykcjami na pracę także naszych naukowców, których Komisja Europejska proponowała z tych ograniczeń wyłączyć. Tymczasem oficjalnie Hiszpania walczyła o nasz jak najszerszy i najszybszy dostęp do unijnego rynku pracy. Hiszpan tłumaczył potem, że zrobił to w naszym interesie, chcąc uchronić nas przed drenażem mózgow.

Hiszpanów strasznie irytowało, gdy przytaczałam niemieckie argumenty, że wyrażenie przez nas zgody na ograniczenia w dostępie do rynku pracy przyspieszy negocjacje lub że odłożenie debaty o dopłatach dla rolników na czas po wyborach do Bundestagu w 2002 roku umożliwi uzyskanie lepszych warunków. Uważali, że Polacy naiwnie sądzą, iż Berlin reprezentuje ich interesy.

— Niech pani straci wreszcie dziewictwo z Niemcami! — zawołał kiedyś pewien hiszpański dyplomata. — Niech pani przejrzy na oczy! Niemcy rozumieją tylko język siły!

Javier Catalina miał dystans wobec samego siebie. Podobno zaczął kiedyś spotkanie grupy od stwierdzenia: „Polscy dziennikarze wciąż do mnie dzwonią i pytają, kiedy Hiszpania zajmie stanowisko w sprawie dostępu do rynku pracy. Muszę to więc dzisiaj zrobić, by spełnić ich pragnienie”.

Wszyscy oczywiście wiedzieli, że pod pozorem obrony interesów naszych pracowników Hiszpania chce utrzymać dofinansowanie dla swoich ubogich regionów na obecnym poziomie i aby ten cel osiągnąć, gotowa jest nawet zablokować negocjacje. Madryt już w maju 2000 roku dał do zrozumienia, że zgodzi się na restrykcje w sprawie pracy (na których bardzo zależało Berlinowi), jeżeli Niemcy zapewnią, że po rozszerzeniu UE nie zmniejszą się dotacje dla jej ubogich regionów. Uzależniła więc postęp w rokowaniach w sprawie pracy od kompromisu w zupełnie innym dziale negocjacji. Takie postępowanie nie było niczym niezwykłym.

Po zakończeniu dyskusji w grupie do spraw poszerzenia dokument negocjacyjny przesyłano na wyższy szczebel, do Komitetu Stałych Przedstawicieli, znanego pod francuskim skrótem COREPER. Tworzą go ambasadorzy państw członkowskich UE. Po rozszerzeniu zasiądzie tam

również nasz ambasador. COREPER obraduje zazwyczaj we środy i przygotowuje decyzje ministrów państw Unii. Jeżeli kompromis został osiągnięty wcześniej w grupie, ambasadorowie w ogóle nie dyskutują na dany temat. Jeżeli natomiast jakieś kwestie pozostają otwarte — próbują dojść do porozumienia. Ponieważ zaś w negocjacjach członkowskich decyzje podejmowane są jednogłośnie, za każdym razem konieczna jest zgoda wszystkich krajów Unii.

Ambasadorowie przy UE to najwyżsi rangą unijni przedstawiciele, z którymi dziennikarz w Brukseli może mieć codzienny kontakt. Przez pierwsze dwa lata negocjacji członkowskich ambasadorowie nie bardzo orientowali się, o co w nich w ogóle chodzi. Były one dla nich zbyt techniczne. W tamtym okresie dotyczyły poza tym dość łatwych spraw, które z powodzeniem rozwiązywali dyplomaci niższego szczebla.

Od początku o kontakty z dziennikarzami z krajów kandydujących najbardziej dbał ambasador Finlandii Antti Satuli. Zapraszał nas do swojej rezydencji, pięknej willi w ekskluzywnej dzielnicy Tervuren. To u niego na koktajlu po raz pierwszy usłyszeliśmy, że rozważa się rozszerzenie Unii nie 1 stycznia, ale dopiero 1 czerwca 2004 roku.

Ambasadorowie na poważnie włączyli się w proces negocjacyjny dopiero wtedy, gdy trzeba było wypracować kompromis w drażliwej sprawie restrykcji na pracę. Wówczas przedstawiciel Niemiec, Wilhelm Schönfelder, chcąc przekonać pozostałych do swojego stanowiska, powołał się na własne doświadczenia. Opowiadał, że gdy w swoim domu w Niemczech chciał wybudować wjazd do garażu, rozmawiał najpierw z firmą niemiecką. Ta podała mu tak astronomiczną cenę, że zrezygnował. Ktoś polecił mu firmę polską, cztery razy tańszą.

— Wybrałem oczywiście Polaków — opowiadał ambasador — ale dla firmy niemieckiej oznacza to wcześniej czy później plajtę. Dlatego — wyjaśniał — konieczny jest okres przejściowy na pracę dla Polaków.

— Dlatego, że Polacy są lepsi i bardziej konkurencyjni od niemieckich firm? — ironizowali inni członkowie COREPER-u.

Jeśli ambasadorom nie uda się wypracować porozumienia, nierozstrzygnięta sprawa przekazywana jest na jeszcze wyższy szczebel — ministrów spraw zagranicznych. Tak właśnie było w wypadku ograniczeń na pracę czy dopłat dla naszych rolników.

Także rundy negocjacyjne z kandydatami odbywały się na dwóch poziomach: ambasadorów (Polskę reprezentował wówczas główny negocjator, najpierw Jan Kułakowski, potem Jan Truszczyński) i szefów dyplomacji (Bronisław Geremek, Władysław Bartoszewski, na koniec Włodzimierz Cimoszewicz). Prowadziliśmy też oczywiście cały czas nieformalne rozmowy na różnych szczeblach, także tych najwyższych. Tak było podczas szczytu UE w Barcelonie, gdzie rozmowa premiera Millera z premierem Holandii i kanclerzem Niemiec doprowadziła do przełomu w negocjacjach w sprawie ochrony ziemi przed zakupem przez cudzoziemców.

Do sesji negocjacyjnych z kandydatami Piętnastka była zawsze solidnie przygotowana i prezentowała jednolite stanowisko. Państwa członkowskie nigdy nie targowały się ze sobą na oczach naszych negocjatorów. Wypowiedzi przewodniczącego Rady UE, a nawet przedstawiciela Komisji, były wcześniej zatwierdzane. Raz udało mi się dowiedzieć, co następnego dnia podczas sesji negocjacyjnej powie naszemu ministrowi spraw zagranicznych komisarz Günter Verheugen. Nie były tu potrzebne wróżbiarskie umiejętności. Po prostu — konspekt jego wypowiedzi uzgodnili wcześniej unijni ambasadorowie, a ja zdobyłam dokument, którego Verheugen musiał się trzymać.

Przez pierwsze cztery lata rundy negocjacyjne — ku zdziwieniu i rozczarowaniu wielu osób w kraju — trwały tylko około trzydziestu minut. Nie ma w tym jednak nic dziwnego, ponieważ w zasadzie polegały jedynie na wymianie uzgodnionych wcześniej dokumentów. Podczas kolejnych rund Polska oficjalnie akceptowała warunki członkostwa w poszczególnych dziedzinach, wynegocjowane przedtem w rozmowach z Komisją, przewodniczącym Rady UE i unijnymi stolicami. W ten sposób zamykaliśmy jeden po drugim rozdziały rokowań.

Przebieg sesji był zatem dość sformalizowany. Zwykle wiadomo było z góry, czy negocjacje w danym dziale zostaną podczas sesji zakończone, czy nie. Bardziej emocjonujące były natomiast zwoływane potem konferencje prasowe. W krzyżowym ogniu naszych pytań wychodziło na jaw wiele zaskakujących spraw. W ten sposób słuchacze RMF-u dowiedzieli się na przykład, że rząd Leszka Millera planuje tylko trzyletnie ograniczenia w zakupie ziemi dla rolników indywidualnych z krajów członkowskich. Nie miał o tym pojęcia nawet współkoalicjant w gabinecie Millera — PSL. Stronnictwo

interweniowało, by uzyskać dla Polski lepsze warunki, dopiero po podaniu tej wiadomości przez brukselskich korespondentów. Wiceminister Danuta Hübner zapytana, dlaczego rząd wcześniej o tym nie informował, wyjaśniła:

— Bo nikt o to nie pytał. Tutaj (w Brukseli) pytają, więc odpowiadamy.

Te słowa mocno rozdrażniły dziennikarzy w kraju, bo w efekcie to ich pani minister obarczyła winą za niedostatki polityki informacyjnej rządu.

Niewiele osób wie o tym, że Justusa zaprojektowali polscy architekci. Na razie pracuje tam tylko jedna polska dyplomatka (i jedyna z krajów kandydujących): młoda dziewczyna, Agnieszka Bartol, która z Urzędu Komitetu Integracji Europejskiej przeszła do sekretariatu przewodniczącego Konwentu Europejskiego Giscarda d'Estaing. Jakby na potwierdzenie złej opinii o niedostępności Justusa, trudniej było mi spotkać się z nią niż z niejednym ministrem, komisarzem czy premierem. W końcu pierwsze słowa mogłyśmy wymienić po francusku... w obecności rzecznika Konwentu.



Budynek Rady UE. Tutaj odbywać się będą posiedzenia 25 ministrów UE, w tym również przedstawicieli z Warszawy.

W samej Radzie UE nasi dyplomaci zasiądą dopiero po przystąpieniu Polski do Unii (po podpisaniu traktatu będą tylko obserwatorami). Wówczas podczas głosowania będziemy dysponowali dwudziestoma siedmioma głosami — taką samą liczbą jak Hiszpania, na co w końcu zgodzono się po burzliwych i dramatycznych obradach w Nicei w grudniu 2000 roku. Właśnie w Radzie polscy dyplomaci będą prowadzić zakulisowe gry, wchodzić w układy z jednymi krajami, by wymóc coś na innych, i zgadzać się na kompromisy na zasadzie „ja ustąpię w tym, a ty poprzecz mnie w tamtym” — wszystko w imię naszych interesów. Gra będzie nieraz brutalna, ale przyświecać jej będzie nowy dla naszej dyplomacji cel: dobro Unii Europejskiej. Brzmi to paradoksalnie, ale tak będzie. Jednym z wyznaczników naszego interesu narodowego stanie się bowiem interes całej Unii.

Azbestowy symbol Europy

Berlaymont, gmach Komisji Europejskiej, najszlachetniejszy z unijnych budynków, miał być symbolem idei europejskiej. Przez pierwsze dwadzieścia lat swojego istnienia był na prawie każdej pocztówce wysyłanej z Brukseli. Jednak w ciągu ostatniej dekady stał się raczej synonimem skandali i złego zarządzania — wszystkiego tego, co nazbyt często kojarzy się z eurokracją.

Dziś kończy się remont Berlaymont — czteroskrzydłowy, oszklony gmach ukazuje swoje nowe oblicze. Tutaj, jeżeli remont zakończy się zgodnie z planem, wprowadzi się pierwszy polski komisarz i, na początek, kilkudziesięciu urzędników z naszego kraju. Tu będzie obradować Komisja Europejska w składzie poszerzonym o przedstawicieli nowo przyjętych państw.

Berlaymont przeszedł drogę taką samą jak instytucja, której jest siedzibą — od chwały, poprzez skandal i upadek, do odbudowy. Powstawał w latach 1963–69 według planów belgijskiego architekta Georges’a De Vestela. Cztery trzynastopiętrowe skrzydła De Vestel oparł na stalowych wspornikach. Na owe czasy był to budynek bardzo nowoczesny i reprezentował „styl międzynarodowy”, czyli mógł powstać gdziekolwiek na naszym kontynencie, bo nie zawierał żadnych odwołań do narodowych tradycji. Był — jak to określił mój znajomy architekt Ludwik Konior, autor wielu brukselskich projektów — czystą architekturą. Odpowiadał idei ponadnardo-

wej Komisji Europejskiej, która powinna być niezależna od rządów krajów członkowskich i reprezentować interes całej Unii, a nie poszczególnych państw. Komisja jest bowiem jedyną w swoim rodzaju instytucją, nadającą Unii Europejskiej charakter wspólnotowy, a nie międzyrządowy — inaczej, niż to jest w takich organizacjach, jak ONZ, OBWE czy NATO.



Berlaymont nocą.

Jednak już na początku lat 90. Berlaymont nie robił wrażenia nawet na przybyszach ze Wschodu. Rozczarował także mnie, ówczesną studentkę, która w 1990 roku, podczas pierwszego pobytu w Brukseli, na własne oczy oglądała siedzibę EWG. Tutaj, w dosyć obskurnym barku dla dziennikarzy, poznałam mojego późniejszego bardzo dobrego kolegę i długoletniego korespondenta PAP-u w Brukseli, Jacka Safutę. Siedząc na rozchwianych krzesłach, wypiliśmy pierwszą wspólną herbatę.

Wystarczyły zatem pretekst mniej poważny niż wykrycie tkwiącego w ścianach i sufitach rakotwórczego azbestu, by trzy tysiące urzędników skwapliwie opuściło ten przestarzały symbol zjednoczonej Europy. W 1991

roku, po alarmujących doniesieniach prasowych, zarządzono błyskawiczną ewakuację Berlaymont. Urzędnicy zajęli kilkanaście mniejszych budynków, porozrzucanych po całej Brukseli. Główną siedzibą Komisji stał się Breydel, nijaki gmach niedaleko Ronda Schumana.

Dla Berlaymont zaczął się okres niesławy. Kilkunastu urzędników wytoczyło Komisji Europejskiej proces, oskarżając ją o wywołanie azbestozy i raka. Berlaymont pobił wszelkie rekordy kosztów i czasu trwania remontu. Po blisko dziesięciu latach od pierwszych szacunków okazuje się, że koszt renowacji został przekroczony dziesięciokrotnie! Belgijska prasa pisała ostatnio, że ostateczny rachunek wyniesie około 1,3 mld euro.

Z rozpoczęciem remontu długo zwlekano, a gdy wreszcie zabrano się do niego w 1996 roku (czyli w rok po upływie pierwszego przewidywanego terminu zakończenia), okazało się, że podczas robót stężenie azbestu w okolicy mocno przekroczyło dopuszczalne normy. Nie pomogło nawet opatulenie budynku specjalną tkaniną. Protestowali ekolodzy. Byłam zadowolona, że jeszcze przed początkiem remontu Berlaymont przeprowadziliśmy się z mężem do peryferyjnej, zielonej dzielnicy Kraainem (od jej nazwy przyjął pseudonim „Katarzyna van Kraainem”, czyli Katarzyna z Kraainem, pod którym pisałam w „Życiu”). Wcześniej mieszkaliśmy dwieście metrów od budynku Komisji. Miało to swoje zalety — przede wszystkim było blisko na codzienne briefingi dla prasy — jednak w Kraainem jest zdecydowanie przyjemniej niż we wciąż jeszcze martwej, betonowej dzielnicy europejskiej.



Breydel, obecnie główna siedziba Komisji Europejskiej. Budynek zawdzięcza swoją nazwę flamandzkiemu rzeźnikowi, Janowi Breydelowi, przywódcy powstania przeciwko Francji w 1302 roku.

Skandali z Berlaymont było wiele — procesowały się firmy budowlane, a Komisja Europejska, odpowiedzialna za remont, spierała się z rządem belgijskim, odpowiedzialnym za oczyszczenie gmachu z azbestu.

Opuściwszy Berlaymont, unijni komisarze przenieśli się do Breydela. Dopiero Romano Prodi porozmieszczał ich w siedzibach podlegających im pionów unijnej administracji. Chciał, by byli bliżej swoich urzędów, a nie siedzieli wszyscy w jednym miejscu, jak w wieży z kości słoniowej. Komisarz Franz Fischler zainstalował się więc w budynku dyrekcji generalnej odpowiedzialnej za rolnictwo przy ulicy La loi, Günter Verheugen — w świeżo wyremontowanym budynku Charlemagne, nazwanym tak od imienia Karola Wielkiego (poprzednio była tam siedziba Rady UE). Tylko środowe posiedzenia całego kolegium dwudziestu komisarzy i przewodniczącego odbywają się nadal w Breydelu.

Opasany niebieskim szkłem Charlemagne niesłychanie odmłodził. Ekipa Verheugena pracuje na czwartym piętrze.



W Charlemagne, szklanej wieży w której odbija się błękit nieba urzęduje Verheugen i jego ekipa.

Najczęściej zaglądałam tam nie po to, aby rozmawiać z komisarzem czy jego dyrektorem generalnym Eneko Landaburu, ale by wypić kawę z Petrą Erler. Kawa serwowana przez sekretarkę była oczywiście tylko pretekstem do nieoficjalnej rozmowy na temat polsko-unijnych negocjacji.

Petra Erler to szara eminencja Verheugena do spraw Polski, członkini jego gabinetu i jedna z najbardziej zaufanych osób. Jest nieznaną szerszej publiczności. Czasem nawet polscy dyplomaci i ministrowie odkrywali jej istnienie dopiero po dłuższym czasie. Jednak bez jej wiedzy nie zapadały w Komisji żadne ważniejsze decyzje dotyczące naszego kraju.

Z szarością Petra Erler nie ma w rzeczywistości wiele wspólnego. Przeciwnie — ta prawie pięćdziesięcioletnia kobieta ubiera się zawsze w hippisowski styl. Nosi długie, jedwabiste, kolorowe suknie, haftowane dżinsowe bluzy, a jej rozpuszczone czarne, włosy nadają całej postaci wyraz nieco kontestacyjny. W każdym razie wyróżnia się swoim ubiorem wśród eurokratek, które wolą klasyczne kostiumy.

Petra Erler jest Niemką ze Wschodu, co często podkreślała na początku naszej znajomości. Chciała zaznaczyć, że coś nas łączy, że jesteśmy bardziej emocjonalni, wrażliwsi, że rozumie nas, Polaków, lepiej niż „ci z Zachodu”. Szczególnie interesujące były jej wspomnienia z czasów, gdy jako sekretarz stanu w ostatnim, już demokratycznym rządzie NRD, negocjowała z Komisją Europejską warunki integracji europejskiej. Oczywiście, jako socjalistka umniejszała rolę kanclerza Helmuta Kohla i zawsze starała się tłumaczyć SPD z jej niechęci do zjednoczenia Niemiec. Twierdziła, że wynegocjowała z Brukselą lepsze warunki unijnej pomocy dla nowych niemieckich landów, niż chciał Kohl.

Moja znajomość z Petrą miała wzloty i upadki. Czasami przychodziłam na kawę bardzo często, a czasem — dość rzadko. Różniła nas ocena podejścia prasy do negocjacji. Erler uważała, że powinnam przekazywać tylko pozytywne aspekty naszej integracji z Unią — ja byłam przekonana, że nie można niczego ukrywać. Sądziłam, że trzeba pisać i mówić także o trudnościach i kosztach oraz o prawdziwym stanie naszych przygotowań. Petra była natomiast optymistką aż do przesady. Gdy byliśmy bezapelacyjnie w ogonie pod względem liczby zamkniętych działów negocjacji twierdziła, że „liczba zamkniętych rozdziałów teraz się nie liczy”. „A kiedy zacznie się

liczyć? — pytałam przez pierwsze lata negocjacji. — Bo przecież, aby wejść do Unii, musimy je w końcu wszystkie zamknąć”. „Dopiero pod koniec rokowań” — przekonywała Erler. Do czołówki dołączyliśmy faktycznie ledwo pół roku przed finiszem negocjacji.

To Petra Erler wraz z komisarzem Verheugenem stopniowo zmieniała wizerunek Polski w Brukseli — z ciągnącego się na szarym końcu lesera na kraj, który odnalazł swoje miejsce wśród faworytów. Pozytywnym podejściem do problemów z naszym krajem starała się zarazić nie tylko mnie, ale i dziennikarzy z innych państw, zwłaszcza z Niemiec. Z jedną tylko różnicą: niemieckim dziennikarzom opowiadała dowcipy o Polakach.

— Polak, Niemiec ze Wschodu i Niemiec z Zachodu spotkali w lesie wróżkę — mówiła jednemu z moich przyjaciół. — Spełnię każda waszą prośbę — powiedziała wróżka. — Ja chcę — zaczął Polak — aby każdy mój rodak dostał nowego mercedesa.

Wróżka spełniła jego życzenie.

— Ja — mówił Niemiec ze Wschodu — chcę aby mur berliński został odbudowany, ale dwa razy wyższy i grubszy.

Stało się według jego życzenia.

— A czego ty pragniesz? — spytała wróżka Niemca z Zachodu. Ten rozejrzał się i zobaczył, że każdy Polak ma już swojego mercedesa, a mur został odbudowany.

— No to — powiada — poproszę butelkę szampana.

Podczas negocjacji w sprawie dopłat dla rolników furorę wśród niemieckich dziennikarzy zrobił dowcip Petry o polskim chłopie, który ma opowiadać niemieckiej telewizji o swojej pracy. Ponieważ za często przyznaje się, że pije wódkę, redaktor prosi, by zamiast „piję wódkę” mówić: „czytam książkę”. W końcu okazuje się, że polski rolnik jest niesłychanie odcytany, a nawet zagłada do Jana, „bo on drukuje książki”.

Erler opowiadała te dowcipy prawdopodobnie po to, aby pokazać, że zdaje sobie sprawę z tego, że nie wszystko w Polsce jest doskonałe, ale optymizm jest potrzebny, by doprowadzić rozszerzenie Unii szczęśliwie do końca.

Pewnego razu przywitała mnie nie zwyczajnie, filiżanką kawy, ale zamiast tego otworzyła butelkę szampana. Byłam zażenowana. Wiedziałam, czemu zawdzięczam to szczególne traktowanie. Tydzień wcześniej Erler

przekonała mnie, że czas skończyć ciągnące się od roku rozmowy w sprawie wzajemnej liberalizacji handlu rolnego (tzw. podwójne zero, czyli zero dopłat do eksportu ze strony UE i zero cła po naszej stronie). Polska była ostatnim kandydatem, z którym Bruksela nie podpisała porozumienia w tej sprawie. Nazajutrz, powołując się na „wysokiego urzędnika Komisji”, napisałam, że przeciąganie negocjacji niekorzystnie odbije się na toczących się równoległe rozmowach w sprawie członkostwa. „Ministerstwo rolnictwa blokuje nasze członkostwo” — brzmiał tytuł. Rzeczniczka naszego przedstawicielstwa przy UE krytykowała mnie publicznie, mówiąc, że „takie artykuły służą wyłącznie interesom Komisji”. Jeszcze tego samego dnia nastąpił przełom. Okazało się, że kompromis był jednak możliwy.

Bywały też dni, gdy sekretarka mówiła, że „Frau Erler” nie ma czasu i całymi tygodniami trudno było się z nią skontaktować. Zdarzało się to zwykle wówczas, gdy Petra była niezadowolona z którejś z moich korespondencji. Na przykład gdy w październiku 2000 roku napisałam, że Verheugen ciągle zmienia zdanie na temat daty rozszerzenia Unii, lub gdy w lipcu 2002 roku oskarżyłam go w „Newsweeku”, że naciąga fakty, by za wszelką cenę ułatwić poszerzenie.

Pewnego razu porównałam Verheugena do Don Kichota, no i okazało się, że stosując takie chwytły krasomówcze, trzeba bardzo uważać na kontekst kulturowy. Otoczenie komisarza poczuło się dotknięte do żywego, bo dla Niemców Don Kichot to postać zdecydowanie negatywna, po prostu głupek, który nie radzi sobie w życiu. Dopiero ktoś w przedstawicielstwie Komisji Europejskiej w Warszawie wyjaśnił, że w Polsce Don Kichot to bohater pozytywny i romantyczny, więc wcale nie oceniałam komisarza źle.

Sam Verheugen podczas wizyty w Polsce w 2002 roku wyznał, że woli być nazywany „członkiem Komisji Europejskiej” niż „komisarzem”, ponieważ Niemcy słowo *Kommissar* kojarzą głównie z niezbyt wysokiej rangi oficerem policji i w rozmowach z mniej zorientowanymi osobami zdarzają się nieporozumienia.

Verheugen i jego gabinet mieli w Komisji Europejskiej mocną pozycję. Jej przewodniczący Romano Prodi uważał Niemca za jednego z lepszych komisarzy, a inni zwykle nie wtrącali się do negocjacji. „Zostawiamy to Günterowi, bo rozszerzenie to jego specjalność” — powiedział mi kiedyś jeden z członków Komisji podczas nieformalnej kolacji.



Przewodniczący Komisji Europejskiej Romano Prodi (drugi od lewej) pozostawił Verheugenowi w sprawach rozszerzenia UE „wolną rękę”.

Tak więc kolegium komisarzy wypowiadało się w sprawie negocjacji tylko wtedy, gdy nie udało się osiągnąć kompromisu na niższym szczeblu, w konsultacjach między gabinetami poszczególnych członków Komisji. W takich wypadkach Verheugen radził sobie doskonale. Na przykład zgodę na objęcie kandydatów siedmioletnimi restrykcjami na pracę przeprowadził w atmosferze niemalże zamachu stanu, przez zaskoczenie i przesunięcie terminu debaty. Grecka komisarz do spraw polityki socjalnej, Anna Diamantopoulou, mimo wcześniejszych zapowiedzi, że będzie walczyć o swobodę podejmowania przez nas pracy w krajach UE, nie miała okazji odezwać się choćby słowem. Zwłaszcza że w czasie, gdy trwały obrady, dolatywała akurat samolotem do Aten...

Twarde rozmowy przeprowadził Verheugen z Holendrem Fritsem Bolkesteinem, komisarzem odpowiedzialnym za funkcjonowanie jednolitego rynku. Mimo jego oporu wywalczył dla kandydatów dłuższy czas na do-

stosowanie się do wysokości unijnej akcyzy na papierosy i dłuższą ochronę ziemi przed sprzedażą cudzoziemcom.

W takich sytuacjach Niemiec zawsze mógł liczyć na Prodiego. Zazwyczaj jednak nie dochodziło w Komisji do sporów na tak wysokim szczeblu. Propozycja stanowiska negocjacyjnego UE przygotowywana była przez niższych urzędników odpowiednich dyrekcji generalnych. Na tym etapie Komisja zaczynała konsultować się z Warszawą.

Nie zawsze także między Komisją i Radą UE sprawy układały się gładko. Na samym początku negocjacji zorientowałam się, że te instytucje rywalizują ze sobą. Komisja chciała jak najbardziej rozszerzyć swoje uprawnienia, dające jej prawo inicjatywy. Denerwowało to często państwa członkowskie, które faktycznie podejmowały decyzje w negocjacjach. Dyplomata portugalski, który podczas prezydentury jego kraju przewodniczył grupie do spraw poszerzenia w Radzie UE, poskarżył mi się kiedyś, że Komisja spóźnia się z przesyłaniem propozycji stanowisk negocjacyjnych. Hamowało to postęp w rokowaniach. Gdy zapytałam o to na briefingu w Komisji, usłyszałam, że winę za opóźnienia ponoszą... kandydaci, bo zwlekają z odpowiadaniem na pytania Brukseli.

Taka zabawa w kotka i myszkę zdarzała się często. Dyplomaci państw członkowskich wielokrotnie podkreślali, że negocjacji nie prowadzi Komisja, ale państwa członkowskie. Komisarz Günter Verheugen denerwował szczególnie Francuzów. „To nie on jest ministrem spraw zagranicznych!” — mówił mi kiedyś poirytowany francuski dyplomata. Verheugena nie znosił zwłaszcza szef francuskiej dyplomacji w rządzie Lionela Jospina, Hubert Vedrine, sam niezbyt przychylny poszerzeniu. „Skoro i tak mamy przyjąć kraje nieprzygotowane [w domyśle Polskę — K.S.], to dlaczego nie przyjąć także Rumunii i Bułgarii?” — pytał kiedyś Verheugena podczas posiedzenia ministrów UE, wywołując konsternację w otoczeniu komisarza.

Pamiętam moje zaskoczenie, gdy zorientowałam się, jaką niechęcią darzy Verheugen niemieckiego ambasadora przy UE, Wilhelma Schönfeldera. Na koktajlu w brukselskiej, bibliotece Solvay'u tuż przed szczytem Unii w szwedzkim Göteborgu, spytałam Verheugena, czemu Berlin jest tak wstrzeźliwy w kwestii wyznaczenia daty zakończenia rokowań. Komisarz wycodził przez zaciśnięte zęby:

— Niemiecki ambasador nie jest reprezentatywny dla rządu Schrödera! To ja byłem członkiem tego rządu i wiem, jakie jest jego stanowisko. Może pani powiedzieć niemieckiemu ambasadorowi, że w Göteborgu data zostanie wyznaczona!

Ten wybuch wskazywał na więcej niż tylko zwyczajną różnicę zdań. Tym bardziej że w moim pytaniu nie wspomniałam nawet o niemieckim ambasadorze, którego ledwo znałam.

Tarcia zdarzały się także w samej Komisji. Pod koniec rokowań rola dyirekcji do spraw poszerzenia wzrosła ze względu na coraz bliższy termin zakończenia negocjacji, wyznaczony na koniec 2002 roku. Na postępie najbardziej zależało urzędnikom właśnie tej dyirekcji. Przyspieszenie budziło jednak niezadowolenie urzędników innych pionów, którzy skarżyli się na upolitycznienie negocjacji i podporządkowywanie jakości i solidności tempu rozmów. Uważali, że dyirekcja do spraw poszerzenia lekceważy ich pracę, łągodząc ich krytyczne uwagi i patrząc przez palce na niedociągnięcia kandydatów, byle tylko szybko zamykać kolejne rozdziały.

W czerwcu 2002 roku komisarz Verheugen zapowiedział zakończenie rozmów z Polską w trudnej dziedzinie polityki wewnętrznej i wymiaru sprawiedliwości. Urzędnicy dyirekcji odpowiedzialnej za te kwestie, podlegającej Portugalczykowi Antonio Vitorino, mówili mi wtedy, że zostali zmuszeni do zamknięcia negocjacji specjalnymi instrukcjami z gabinetu Verheugena. Ich zdaniem Polska zamykała ten dział na kredyt, bo gwarancje szczelności naszej granicy wschodniej wciąż były niewystarczające.

Głósów niechętnych polityce ekipy Verheugena było w Komisji od początku 2002 roku coraz więcej. Mało kto jednak pisał i mówił o tych wewnętrznych napięciach. „To wszystko przeciwnicy poszerzenia Unii! — wybuchnął kiedyś w rozmowie ze mną rzecznik Verheugena, Jean-Christophe Filori. — Ty nawet nie wiesz, jak niepopularne jest poszerzenie w Komisji!” — krzyczał. Jego wybuch był zrozumiały: zaczynał się wyścig z czasem. Oficjalnie wciąż obowiązywał kalendarz poszerzenia ze szczytu UE w Göteborgu, przewidujący zakończenie negocjacji w grudniu 2002 i przyjęcie nowych państw w roku 2004. Tymczasem w lipcu 2002 kolegium komisarzy dyskutowało o możliwości opóźnienia poszerzenia. Mówiło się o lipcu 2004 lub nawet styczniu 2005 roku.

Gdy finisz rokowań był bliski, przez przypadek zauważyłam, że Berlaymont, który wpisał się już w brukselski pejzaż jako bezużyteczny kikut, jest jak nowy. Znikło opakowanie i rusztowania. Przede mną stał lśniący świeżością budynek z podwójnymi szklanymi ścianami o fascynującej konstrukcji. Belgijska prasa nagle dostrzegła ekologiczne walory gmachu. Berlaymont będzie miał własną oczyszczalnię ścieków. Komputer będzie rozjaśniać lub przyciemniać szyby, w zależności od natężenia światła. Toalety będą spłukiwane... deszczówką. „Nawet ekolodzy mogą z czystym sumieniem robić siusiu” — pisał „Le Soir”.

Ludwikowi Koniorowi nie podoba się jednak nowa skóra Berlaymont. Uważa, że budynek zatracił swoją jednorodność.

— W tym projekcie połączono pomysły na dziesięć różnych budowli — mówi. — Ale to nie są pomysły nowe, tylko podpatrzone gdzie indziej.

Zdaniem mojego znajomego odnowiony Berlaymont jest mniej wyrazisty. Czy taka będzie też nowa Komisja, w skład której wejdzie polski komisarz — eklektyczna, niejednorodna, chaotyczna? Pomysłów na reformę tej instytucji nie brakuje. Unijni przywódcy postanowili w grudniu 2000 roku na szczycie w Nicei, że od 2005 roku każdy kraj będzie miał po jednym komisarzu (do tej pory duże państwa, takie jak Francja czy Niemcy, miały dwóch, a małe, jak Belgia czy Luksemburg — po jednym). Polska będzie miała jednego komisarza od pierwszego dnia członkostwa w UE, czyli od 1 maja 2004 roku. Romano Prodi chce natomiast wprowadzić hierarchię wśród do tej pory równych sobie członków Komisji, by po rozszerzeniu UE uniknąć paraliżu zbyt licznej egzekutywy. Duże kraje Unii dążą do wzmocnienia Rady Unii kosztem Komisji, małe państwa — na odwrót. Konwent Europejski debatuje z kolei nad tym, czy przewodniczący Komisji powinien być wybierany przez Parlament Europejski. W ten sposób Komisja miałaby solidniejszą demokratyczną legitymizację — argumentują zwolennicy tej idei. Tak, ale stałaby się też podatniejsza na polityczne wpływy dominujących w Parlamencie ugrupowań — kontratakują przeciwnicy.

W jednym zgadzam się z moim znajomym architektem: stary i nowy Berlaymont to praktycznie całkiem inne budowle, choć oparte na tym samym szkielecie. I zapewne tak samo będzie ze starą i nową Komisją Europejską. Co nie znaczy, że ta nowa będzie gorsza i mniej skuteczna.

Kaprys bogów

Gdy spogląda się na zdjęcie z lotu ptaka brukselskiej dzielnicy europejskiej zrobione w 1988 roku, od razu widać, że centralną budowlą jest Berlaymont, siedziba Komisji Europejskiej. Zdjęcie wykonane dziesięć lat później ukazuje już nowy, owalny gmach Parlamentu Europejskiego z jego szklaną kopułą, wyraźnie dominujący nad siedzibami innych unijnych instytucji.

W ostatnich latach rola Parlamentu znacznie wzrosła — zwłaszcza po tym, jak eurodeputowani zmusili do dymisji ekipę Jacquesa Santera. Parlament walczył o poszerzenie uprawnień od początku swego istnienia. Powstał w 1958 roku jako mające niewiele do powiedzenia ciało doradcze, w którym zasiadali delegowani członkowie narodowych parlamentów państw członkowskich. Z czasem eurodeputowani zaczęli być wybierani w wyborach bezpośrednich, a Parlament Europejski stał się symbolem demokratycznej kontroli instytucji Unii Europejskiej. To obecnie jedyny organ UE mający pełną demokratyczną legitymację, bo wybierany — od 1979 r. — w wyborach bezpośrednich. Do niedawna eurodeputowani uchodzili za polityków drugorzędnych, takich, którzy nie mieli większych szans na zrobienie prawdziwej kariery u siebie w kraju. Wraz ze wzrostem znaczenia Parlamentu Europejskiego i to powoli się zmienia.

Olbrzymi gmach Parlamentu, oddany do użytku w 1999 roku, nazywany jest w Brukseli „kaprysem bogów”. Sądzi się na ogół, że nazwa ta przyłgnęła do budynku ze względu na wysoki koszt budowy i luksusy, jakimi otoczyli się deputowani. W ich biurach zainstalowano na przykład łazienki z prysznicami, a także rozkładane sofy, na których mogą się zdrzemnąć po męczących podróżach między własnym okręgiem wyborczym, Strasburgiem a Brukselą (część sesji plenarnych odbywa się w Brukseli, a część w Strasburgu). Tymczasem Parlament odziedziczył swoje miano po... francuskim serze Caprises des dieux, pakowanym w owalne tekturowe pudełka. Jedząc ten niezły, chociaż niezbyt wyszukany ser pleśniowy, zastanawiam się, czy porównanie budynku PE do pudełka po nim przyszło komuś do głowy właśnie w takiej sytuacji.



„Kaprys bogów” to nieoficjalna nazwa siedziby Parlamentu Europejskiego. Oficjalnie budynek ten nosi imię belgijskiego premiera Paul-Henri Spaaka, który zredagował tekst Traktatu Rzymskiego z 1957 roku.

Parlament Europejski staje się nieraz „kaprysem bogów” w opinii państw członkowskich UE czy Komisji. Rada UE musi zasięgać jego opinii przed podjęciem niektórych decyzji. Komisja Europejska również musi się z nim konsultować, odpowiadać na pytania, składać wyjaśnienia, liczyć się z jego zdaniem podczas zatwierdzania budżetu. Poszczególni komisarze dobrze pamiętają eurodeputowanym trudne pytania, którymi zostali zasypani, nim Parlament zaakceptował skład nowej Komisji Romano Prodięgo. Takie przesłuchanie czeka także pierwszego polskiego komisarza. Po obaleniu ekipy Jacquesa Santera deputowani poczuli się mocniejsi. Do tej pory czysto teoretyczna możliwość zdymisjonowania europejskiej egzekutywy stała się realną bronią, umożliwiającą Parlamentowi zdobywanie coraz większych wpływów. Komisja Romano Prodięgo o wiele bardziej liczy się z opinią PE niż poprzednicy. Komisarz Günter Verheugen, przedstawiając

doroczny raport na temat postępu kandydatów do Unii, zawsze referował go w pierwszej kolejności eurodeputowanym. Dopiero potem wracał do siedziby Komisji, gdzie spotykał się z prasą. Chciał w ten sposób zapobiec oskarżeniom, że deputowani dowiadują się o jej decyzjach z mediów.

Parlament Europejski nie ma uprawnień ustawodawczych, jakie w państwach członkowskich posiadają parlamenty narodowe, jednak wyraźnie aspiruje do roli reprezentanta społeczeństw Unii. Po przystąpieniu naszego kraju do UE polscy deputowani zajmą w Parlamencie pięćdziesiąt cztery miejsca. W 2000 roku na szczycie w Nicei przyznano nam wprawdzie pięćdziesiąt miejsc, ale w 2002 dodano jeszcze cztery, bo rozdzielono miejsca Rumunów i Bułgarów, którzy do UE wejdą najwcześniej w 2007 roku. Jako obserwatorzy, nasi parlamentarzyści będą mogli uczestniczyć w pracach PE od razu po podpisaniu traktatu członkowskiego. Polacy nie zasiądą razem, ale wstąpią do istniejących już ponadnarodowych frakcji politycznych.

W połowie listopada 2002 roku odbyła się w Parlamencie Europejskim w Strasburgu próba generalna przed poszerzeniem UE. Parlament zaprosił na swój koszt prawie dwustu deputowanych z krajów kandydujących (także z Rumunii, Bułgarii i Turcji), włączył ich nawet w prace grup politycznych i pozwolił przemawiać na sesji plenarnej. Z Polski zaproszono pięćdziesięciu posłów i senatorów. Nasi deputowani podzielili przyznane miejsca proporcjonalnie, według mandatów w Sejmie. W pierwszych wyborach do PE (czerwiec 2004), w których będziemy uczestniczyć, wyborcy będą wybierać swoich przedstawicieli w wyborach bezpośrednich, zgodnie z ordynacją, która zostanie przyjęta przez Sejm.

Podczas posiedzenia tzw. Komisji Wspólnej (polskich posłów i eurodeputowanych) 4 listopada w Brukseli dowiedziałam się, w której z ponadnarodowych frakcji politycznych zasiądzie każda z polskich partii. Politycy z PSL, PiS i Platformy Obywatelskiej zgłosili się do Europejskiej Partii Ludowej (europejska chadecja), a z SLD — do Partii Europejskich Socjalistów. Przystąpienie każdej nowej partii z krajów kandydujących zwiększa znaczenie poszczególnych frakcji w PE po rozszerzeniu Unii. Dlatego niektórzy europejscy politycy kąśliwie komentowali polskie wybory, zarzucając im często koniunkturalny charakter. Lider europejskich liberałów, Graham Watson, ironizował podczas lunchu, w którym uczestniczyłam, że Platforma wybrała chadeków zamiast liberałów, „bo fundacja Adenauera

proponuje lepsze warunki finansowe”. Marek Kotlinowski z LPR, pytany przeze mnie do jakiej europejskiej frakcji jest mu najbliższej, wymigiwał się: „Będziemy rozważać”. A gdzie, dopytywałam się, wobec tego zasiądziecie za dwa tygodnie w Starsburgu? „Nigdzie, bo się tam nie wybieramy” — odparł poseł. Dlaczego? „Bo zostaliśmy wybrani, aby pracować w Sejmie, a nie Europarlamencie”.

Tak więc do Starsburga poleciało tylko czterdziestu siedmiu zamiast pięćdziesięciu polskich deputowanych. Zagadką pozostawało, do jakiej frakcji przystąpi szef Samoobrony, Andrzej Lepper, który jak najbardziej do Starsburga się wybierał. W kuluarach mówiło się, że żadna z europejskich grup go nie chce.

Dla polskich parlamentarzystów to próbne posiedzenie rozpoczęło się nie najlepiej. Najpierw krążyli nad stolicą Alzacji z powodu mgły, potem nie mogli wylądować, bo inny samolot zderzył się z dwiema sarnami i na kilka godzin zamknięto lotnisko. Nazajutrz nawiązał do tego wydarzenia w swoim przemówieniu Janusz Wojciechowski z PSL: „Polska delegacja krążyła nad lotniskiem w Strasburgu, nie dostała pozwolenia na lądowanie, mimo że dobrze wystartowaliśmy z Warszawy. Wylądowaliśmy w Bazylei, poza Unią. Oby to nie był znak, obyśmy za długo w tej mgle nie krążyli, bo może nam zabraknąć paliwa...”.

Ja dotarłam na miejsce samochodem, w nocy 19 listopada, bez większych trudności, choć też we mgle. Rzecznik Parlamentu Michel Plumlay powitał mnie informacją o tym, że podobno Lepper umówił się na lunch z Jean-Marie Le Penem, francuskim ekstremistą prawicowym, szefem Frontu Narodowego. Skąd te doniesienia? Bo ostatecznie Lepper zapisał się do grupy „niezrzeszonych” i siedzi obok Le Pena — opowiadał Plumlay. Francuscy dziennikarze także byli podekscytowani. O Leppera pytało mnie jeszcze kilku innych zagranicznych dziennikarzy. Wszyscy spodziewali się jakiegoś incydentu.

Przemówienia unijnych polityków nie przyniosły żadnych rewelacji; było w nich dużo o historycznej chwili i wyciąganiu ostatniej cegły z Muru Berlińskiego, ale mało konkretów i mało o wspólnej wizji przyszłości. Ciekawiej mówili nasi deputowani, chociaż oni z kolei sprawiali wrażenie, jakby próbowali jeszcze wpłynąć na ostateczny wynik negocjacji. Od ich zakończenia dzieliły nas zaledwie dwadzieścia trzy dni.



*Pierwsza sesja Parlamentu Europejskiego w poszerzonym składzie o deputowanych z Polski i innych krajów kandydujących. W pierwszym rzędzie od lewej komisarz Günter Verheugen, duński minister ds. europejskich Bertel Haarder, premier Danii Anders Fogh Rasmussen, przewodniczący Parlamentu Europejskiego Pat Cox, przewodniczący KE Romano Prodi.
19 listopada 2002 r.*

Lepper nie zrobił ostatecznie skandalu, nie mówił, że jest przeciwnikiem wejścia Polski do Unii, strasząc natomiast Piętnastkę niewstąpieniem Polski do jej szeregów, bezwiednie pomagał naszym negocjatorom. Odniosłam wrażenie, że groźba przegranego referendum to coraz mocniejszy argument w walce o lepsze warunki finansowe członkostwa.

Wydawało się, że polscy parlamentarzyści zdali egzamin. Zaprezentowali różne stanowiska, ale ton był podobny: domagali się większej solidarności. Dla niektórych był to oczywiście debiut na europejskich salonach. Ci gubili się na korytarzach przepastnego budynku, najchętniej więc trzymali się we własnym, polskim gronie. „To gmaszysko przeraża. Ciężko jest tutaj się znaleźć” — wyznał mi wiceprezes PSL, Eugeniusz Kłopotek. Wyraźnie najlepiej z wszystkich czuł się tutaj były premier Józef Oleksy. Przechadzał się uśmiechnięty od ucha do ucha i gawędził w kulu-

arach. Wystawiłabym już naszym deputowanym piątkę, gdyby nie końcowa konferencja prasowa dla polskich mediów.

Była godzina szesnasta. Posłowie wracali z obiadu, który składał się z tradycyjnych dań krajów kandydujących. Od niektórych czuć było alkohol. Na podwyższeniu, za pulpitem usiadło dziewięciu deputowanych, którzy kilka godzin wcześniej wygłosili przemówienia na sesji plenarnej. W pewnym momencie posłowie i urzędnicy zaczęli kłócić się na oczach dziennikarzy.

Andrzej Lepper: — Pan prezydent chyba ustawą wprowadzi Polaków do Unii. Jeszcze nie wszystko jest przesądzone, referendum jeszcze nie było.

Tadeusz Iwiński, doradca premiera Millera do spraw zagranicznych: Niech się pan uczy! Gdyby pan znał konstytucję, to by pan wiedział, że prezydent nie może w tej sprawie zdecydować sam.

Małgosia Alterman, rzeczniczka przedstawicielstwa Polski przy UE w Brukseli: — Proszę o ostatecznie już pytanie.

Konrad Niklewicz z „Gazety Wyborczej” do Leppera: — Jak pan ocenia fakt, że żadne z ugrupowań PE nie chciało przyjąć pańskiej partii?

Lepper: — Nie bądźcie tak naiwni, że Lepper zabiegał i prosił kogoś. Przyjechaliśmy tutaj w celu rozeznania. Mamy spotkanie z panem Bonde, zdaje się z Danii, to jest ta frakcja na rzecz narodów...

Jeden z urzędników poprawia Leppera: — Różnorodności narodów!

Lepper: Jak?

— Urzędnik (tym razem wykrzykuje): — Różnorodności narodów!

Lepper: — Nawet nazwy nie znam, bo nie zabiegałem o to. (Iwiński dogaduje Lepperowi, ale nie słyhać bo nie włączył mikrofonu). No i z czego pan się śmieje, panie Iwiński? Nie znam, bo nie chcę znać. Chcę wiedzieć, do czego mam wstępować, a nie tak pochopnie. Natomiast my, jako Samoobrona, nie będziemy na pewno niezrzeszeni.

To fragment konferencji prasowej. Co było dalej, nie wiem, bo wyszłam. Inni dziennikarze także nie wytrzymali.

Józef Oleksy tłumaczył mi później:

— Podczas tego spotkania wszyscy wiedzieli, że nie ma zagranicznych dziennikarzy, na ogół samoograniczamy się, gdy nas obserwują z zewnątrz. A tutaj wszyscy wiedzieli, że są w swoim gronie, więc nie wahali się przed niepotrzebnymi starciami.

A więc możemy zachowywać się po chamsku, a gdy nas obserwuje Zachód, to się pilnujemy? Wracałam do Brukseli zniesmaczona poziomem naszej klasy politycznej. I wcale nie zgorszył mnie tylko Lepper.

Następnego dnia Parlament Europejski (już w swoim tradycyjnym składzie) przegłosował raport zalecający przyjęcie do Unii dziesięciu krajów na początku 2004 roku. W części dotyczącej Polski, przygotowanej przez Jasia Gawrońskiego, włoskiego europarlamentarzystę polskiego pochodzenia, wyrażono „zaniepokojenie z powodu przypadków zachowania [polityków] niezgodnego z zasadami kultury parlamentarnej, co może podkopywać prestiż parlamentu”. Oczywiście chodziło przede wszystkim o takie zachowania, jak wygwizdanie komisarza Fichlera czy blokowanie mównicy w Sejmie. Ja jednak sądzę, że uwagę tę można odnieść do wielu innych wydarzeń...

Parlament Europejski nie uczestniczył bezpośrednio w negocjacjach, starał się jednak trzymać rękę na pulsie. On właśnie wysunął propozycję poszerzenia UE w 2004 roku, aby nowe kraje członkowskie mogły uczestniczyć w najbliższych eurowyborach, planowanych na czerwiec tego roku. Dopiero potem o 2004 roku wspomniał w Warszawie premier Wielkiej Brytanii, Tony Blair.

Parlament co roku sporządzał raport na temat przygotowań każdego kraju kandydującego do UE. Były to raporty w pewnym sensie konkurencyjne wobec tych pisanych w Komisji Europejskiej, mających oczywiście o wiele większą wagę. Raporty Komisji owocowały konkretnymi propozycjami negocjacyjnymi (np. przyjęcia do UE w pierwszej kolejności dziesięciu krajów, a dopiero później Rumunii i Bułgarii). Raporty Parlamentu tworzyły raczej atmosferę wokół kandydata i zwykle zapomniano o nich dzień po publikacji. Miały jednak tę przewagę, że deputowani mogli sobie w nich pozwolić na wiele więcej niż Komisja. Wypowiadali się na przykład na temat tych aspektów życia politycznego czy społecznego w Polsce, które nie podlegają ustawodawstwu europejskiemu (Komisja Europejska nie może zabierać głosu w takich kwestiach), ale mają swoje znaczenie w przypadku kraju ubiegającego się o członkostwo w UE. Tak było, gdy eurodeputowani skrytykowali projekt ustawy o mediach, forsonowany przez rząd Leszka Millera. Mimo że prawo europejskie nie określa zasad koncentracji środków masowego przekazu, w raporcie z 2002 roku znalazło się wyraźne poparcie dla mediów prywatnych i ostrzeżenie

wobec polskich posłów przed przyjęciem ustawy, która może ograniczyć wolność słowa w Polsce.

Parlament starał się zawsze wyprzedzić Komisję, toteż zatwierdzał swoje raporty na kilka tygodni przed publikacją sprawozdań komisarza Verheugena. Sprawozdawcą do spraw członkostwa Polski w Komisji Spraw Zagranicznych PE i autorem dorocznych raportów został pod koniec 2000 roku Jaś Gawroński, deputowany z ramienia prawicowej partii Silvio Berlusconi Forza Italia. Polscy dyplomaci cieszyli się z tego wyboru. Gawroński, znany na brukselskich salonach, miał polskie pochodzenie, mówił po polsku, znał nasz kraj i miał w nim przyjaciół.

Mimo to sporządzenie pierwszego raportu nie przyszło mu łatwo. Skontaktowała się ze mną jego asystentka — młoda, ładna Włoszka — która powiedziała, że „pisze Gawrońskiemu raport” i prosi mnie o pomoc. Z pytań, które mi zadawała, wywnioskowałam, że jej znajomość naszego kraju i sytuacji negocjacyjnej jest delikatnie mówiąc niewielka, jeśli nie wprost zerowa. Gawroński sprawiał w tym czasie wrażenie o wiele bardziej zainteresowanego polityką włoską niż sytuacją w Polsce. Może liczył, że wróci wraz z Berlusconim do rządu? Kiedyś, w 1994 roku, był już jego rzecznikiem prasowym.

Dawało o sobie znać jego słabe wyczucie stosunków panujących w naszym kraju. W swoim raporcie chciał na przykład mocno poprze reprivatyzację. Opowiedział się za oddaniem Polakom i Żydom mienia zagrabionego najpierw przez nazistowskie Niemcy, a potem przez komunistów. Tymczasem sama Komisja Europejska była w tych kwestiach bardzo ostrożna. Komisarz Verheugen powiedział kiedyś grupie Żydów polskiego pochodzenia, którzy przyjechali z USA, by wymusić na Parlamencie działania na rzecz oddania im przez Polskę niegdysiejszej własności, że „prawo europejskie nie reguluje kwestii własnościowych w krajach członkowskich”. Bruksela bała się otworzyć tę puszkę Pandory. Tymczasem Gawroński, poproszony o uzasadnienie swojego stanowiska, wyznał aż nazbyt szczerze, że jest zainteresowany osobiście — chciałby, aby jego rodzinie zwrócono posiadłości w naszym kraju.

Gawroński uchodził jednak za dobrego dyplomateę. Potrafił lawirować między sprzecznymi interesami eurodeputowanych a rozsądną oceną przygotowania naszego kraju do członkostwa w Unii. Miał swoją taktykę.

— Dlaczego propozycje pańskich raportów są zawsze raczej krytyczne wobec Polski? — zapytałam go kiedyś.

— Żeby inni deputowani nie próbowali wprowadzić jeszcze ostrzejszej krytyki w swoich poprawkach — odpowiedział.

Miał rację. W ten właśnie sposób przypadła na przykład poprawka szwedzkiej deputowanej, zarzucającej rządowi Leszka Millera, że poprzez projekt ustawy o mediach chce wręcz prześladować wolną prasę. Jednemu z brytyjskich deputowanych nie udało się przeforsować krytyki politycznych nominacji w polskiej dyplomacji, kierowanej przez Włodzimierza Cimoszewicza. Pozostał jedynie apel o niezależność i profesjonalizm służby cywilnej.

Możliwe, że te dyplomatyczne umiejętności Gawroński odziedziczył. Jego ojcem był Jan Gawroński, od 1931 roku poseł RP w Wiedniu. Matka, Luciana Frassati, pochodziła z rodziny bliskiej Watykanowi i zaprzyjaźnionej między innymi z Agnelli, właścicielami Fiata. Matka Jasia jako Włoszka bywała w okupowanej Warszawie, pełniła nawet rolę nieformalnego kuriera londyńskiego rządu. To ona w grudniu 1939 roku wywiozła z Polski (jako swoją służącą) żonę generała Władysława Sikorskiego, Helenę.

Gawroński wychował się we Włoszech, ale w 1958 roku został korespondentem dziennika „Giorno” w Warszawie. Potem pracował dla telewizji RAI. Należy do tych dziennikarzy, dla których praca w zawodzie jest pomostem do kariery politycznej i którzy nie mają problemu z „przejściem na drugą stronę”. Czuje się zresztą świetnie w obu rolach. Ułatwiają mu to włoskie koneksje rodzinne, ogłada towarzyska oraz arystokratyczny sposób bycia i mówienia. Mnie jednak prześladowuje podejrzenie, że to atrakcyjne opakowanie kryje czasami zwyczajne dyletanctwo.

Gawrońskiego poznałam w połowie lat 90., gdy — już jako eurodeputowany — chodził w glorii pierwszego dziennikarza, który przeprowadził wywiad z Janem Pawłem II. Zafascynowało mnie — wówczas jeszcze początkującą dziennikarkę — jego opowiadanie o tym spotkaniu. Ledwie wrócił do domu, zadowolony z rozmowy, zadzwoniono z Watykanu: „Ojciec Święty prosi, aby nie publikował pan tej rozmowy”.

— I nie opublikował pan? — pytałam, zastanawiając się, co sama zrobiłabym w takiej sytuacji.

— Oczywiście, że nie — odparł Gawroński. — Liczyłem, że kiedyś Ojciec Święty znowu zgodzi się na rozmowę.

I tak się stało w 1993 roku. Tym wywiadem Gawroński szczycił się jeszcze osiem lat później. Gdy jako świeżo mianowany sprawozdawca do spraw Polski zaprosił całą grupę naszych korespondentów w Brukseli na lunch, w pakiecie prasowym, który nam rozdał, znalazła się kopia rozmowy z papieżem.

Uderzyła mnie zawarta w niej polemika Ojca Świętego z niewłaściwym rozumieniem pojęcia „wejścia do Europy”. „Rzecz jasna, nie jestem przeciwny tzw. wejściu Polski do Europy — mówił Ojciec Święty. — Ale nie zgadzam się, aby z tego dążenia czynić coś w rodzaju fetysza, fałszywego fetysza”.

— Słowa papieża są wciąż aktualne — wyjaśniał Gawroński. — Europa nie jest celem samym w sobie.

Rola Gawrońskiego wzrosła w związku z debatą poprzedzającą wydanie przez Parlament opinii w sprawie traktatu o naszym przystąpieniu do Unii.

— Negatywna opinia mogłaby oznaczać przełożenie poszerzenia — mówi Gawroński.

Po przyjęciu traktatu przez Parlament Europejski, zostanie on podpisany przez Polskę i kraje Piętnastki, a następnie przesłany do ratyfikacji parlamentom narodowym krajów UE i kandydatów.

Gawroński staje się w naszym kraju postacią coraz lepiej znaną. W RMF FM nikt mnie już nie poprawia, gdy mówię „Jaś”, a nie „Jan”. Dziennikarze w Polsce wiedzą, że w takiej właśnie formie, może nieco zabawnej dla słuchaczy, jego imię zostało wpisane do paszportu i metryki urodzenia.

— Zawsze tak na mnie mówiono w domu i dopiero gdy przyjechałem pierwszy raz do Polski, dowiedziałem się, że to zdrobnienie — opowiada deputowany.

Gawroński stanie się przewodnikiem naszych parlamentarzystów, którzy już niedługo będą bywalcami sesji oraz posiedzeń w komisjach, zarówno w Brukseli, jak i Strasburgu. Od kwietnia 2003 roku zasiadać będą jako — obserwatorzy, a po wejściu Polski do UE i po wyborach do PE już jako deputowani z pełnią praw.

Ludwik Konior uważa, że brukselski budynek Parlamentu to jedyny prawdziwy symbol Europy wśród wszystkich gmachów europejskich instytucji.

— Jest europejski, bo nie jest amerykański — mówi. Wyraźnie irytują go amerykańskie wpływy we współczesnej architekturze. — Parlament Europejski wyrasta z miasta niczym duży bulwar — zachwala. — Czuje się związek z miastem, ze zwykłym mieszkańcem.

Budynki Parlamentu rzeczywiście z daleka bardziej przypominają domy mieszkalne niż bezduszne biurowce. Taki jest też charakter Parlamentu — bardziej otwarty niż innych instytucji. Odwiedzają go wycieczki szkolne i turystyczne, a w czasie sesji plenarnych właściwie każdy może przysłuchiwać się obradom.

Mundial czy Unia

Od ponad dwóch lat belgijski rząd głowi się, gdzie w stolicy znaleźć miejsce dla Rady Europejskiej, czyli gdzie będą się odbywać regularne szczyty unijnych przywódców. Czy w Heysel, odległym centrum kongresowym? Czy może raczej w dzielnicy europejskiej? Ostatnio przeważa ta druga koncepcja.

Do tej pory spotkania przywódców państw Unii organizował u siebie kraj w danym półroczu przewodniczący w UE. Decyzję o przeniesieniu posiedzeń Rady Europejskiej na stałe do Brukseli podjęli przywódcy Piętnastki na szczycie w Nicei w 2000 roku. Belgowie wzięli sobie ten problem na głowę właściwie na własne życzenie. Taka była podobno ich cena za zgodę na przyznanie Holandii jednego głosu więcej w radzie ministrów poszerzonej Unii. Dotąd, od pięćdziesięciu lat, czyli od początku istnienia Wspólnoty, oba kraje miały tyle samo głosów, choć Holandia jest większa od Belgii. Takie mechanizmy przetargowe są w Unii sprawą normalną.

Unijni przywódcy uznali także, że wizja szczytów organizowanych przed kraje nowo przyjęte do Unii jest niezbyt zachęcająca. Tłumaczyli, że byłoby to zbyt duże obciążenie finansowe i organizacyjne na przykład dla malutkiej Estonii.

Pomysł organizowania szczytów w Brukseli nie bardzo mi się spodobał, podobnie jak wielu moim kolegom dziennikarzom. Gdy wyjeżdżałam do Nicei, Lizbony, Sewilli czy Barcelony, moi najbliżsi z reguły życzyli mi miłego pobytu, tak jakbym jechała na urlop. Szczytom do urlopu oczywiście wiele brakowało — czekało nas zwykle kilkanaście godzin pracy dziennie w klimatyzowanej hali bez okien, mimo to pod koniec dnia zawsze można było przejść się ulicami któregoś z unijnych miast. Bardzo miłe wspominałam na przykład helsiński spacer z Krzysiem Wojną, brukselskim korespondentem Polskiego Radia, w grudniowy wieczór 1999 roku, zakończony kolacją z renifera. Helsinek nie udało mi się zresztą zobaczyć w świetle dziennym — rano wychodziłam do centrum prasowego, zanim robiło się jasno, wracałam do hotelu, gdy dawno było już ciemno.

Grudniowe i czerwcowe posiedzenia Rady Europejskiej odbywały się z reguły w stolicach, natomiast nieformalne szczyty — w innych miastach. Te spotkania, organizowane w różnych miejscach, były również sposobem na „wyjście do obywateli”. Mówiło się potem o decyzjach z Nicei czy z Göteborga — nie tylko z Brukseli. Obawiam się, że posiedzenia odbywające się wyłącznie tam utwierdzą obywateli Unii w fałszywym przekonaniu, że wszystkie decyzje podejmuje mityczna Bruksela. A przecież postanowienia podejmowanych na szczytach nie zatwierdza jakieś obce ciało, ale szefowie rządów i państw członkowskich Unii Europejskiej. To właśnie Rada Europejska gwarantuje międzyrządowy charakter UE, czyli wpływ państw narodowych na decyzje UE. W jej posiedzeniach uczestniczy przewodniczący Komisji Europejskiej, chociaż jego rola jest ograniczona. Czasem dość brutalnie przypomina mi się, że nie jest członkiem tego ciała. Podczas szczytu w Gandawie Romano Prodi obraził się nawet, uznał, że jest lekceważony i nie przyszedł na końcową konferencję prasową, na której występują zwykle wspólnie przewodniczący Rady i Komisji. Na szczycie w Nicei natomiast prezydent Francji Jacques Chirac, który przewodniczył spotkaniu, podobno wprost wyprosił Prodiego z sali.

Rada Europejska długo była instytucją pozastatutową — nie przewidywał jej traktat założycielski UE. Na początku przywódcy państw członkowskich spotykali się więc bardzo rzadko. Twórcą Rady Europejskiej jest obecny przewodniczący Konwentu Europejskiego Valery Giscard d'Estaing. W 1974 roku był on prezydentem Francji i to na jego wniosek podczas

szczytu UE w Paryżu postanowiono, że takie spotkania będą odbywać się regularnie. Od tej pory trudne decyzje, których nie dało się podjąć na niższym szczeblu, zapadały właśnie na szczytach. Inne kwestie pozostawiano do rozstrzygnięcia przywódcom, aby to oni mogli ogłosić sukces. W ostatnich latach Rada Europejska staje się siłą napędową Unii, przejmując tę funkcję od Komisji Europejskiej. To jej spotkania wyznaczają kierunek rozwoju UE.

Zaletą posiedzeń Rady jest przede wszystkim możliwość prowadzenia nieoficjalnych rozmów. Szefowie państw i rządów siedzą przy okrągłym stole, bez urzędników i doradców. Niekiedy z sali muszą wyjść dosłownie wszyscy poza prezydentami i premierami. Ale różnie z tym bywa. John Kerr, obecnie szef gabinetu d'Estainga jako przewodniczącego Konwentu, opowiadał kiedyś o niezwyklej sytuacji podczas szczytu w Maastricht w grudniu 1991 roku. Był wówczas brytyjskim ambasadorem przy UE, a John Major — początkującym premierem, który nie bardzo radził sobie w trudnej debacie o unii walutowej. „John — powiedział Major do Kerra. — Musisz zostać i mi podpowiadać”. „Cóż mi pozostało? — wspominał Kerr. — Najpierw kucnąłem obok premiera, a potem pomału wśliznąłem się pod stół”.

Rozmowy w ścisłym gronie mogą być bardziej otwarte i szczerze. A także brutalniejsze, jak na przykład te w Nicei. „Gdyby nie my [tj. duże kraje — K.S.], do dzisiaj jeździlibyście na osłach!” — powiedział premierowi Portugalii prezydent Francji podczas sporu o liczbę głosów w Radzie UE.

W Laeken nie udało się porozumieć co do tego, w których krajach zostaną zlokalizowane poszczególne unijne agencje. Zaczęto wtedy dowcipkować, że trzeba będzie otworzyć w Sztokholmie agencję modelek, aby zadowolić Szwedów.

Nieskodyfikowany i nie do końca formalny przebieg obrad Rady Europejskiej umożliwił zapraszanie przywódców krajów kandydujących na tzw. lunch na marginesie szczytu w drugim, końcowym dniu obrad. Słowo „margines” często podkreślano, aby kandydatom nie wydawało się przypadkiem, że uczestniczą w samych posiedzeniach unijnych przywódców.

Początkowo te marginalne lunche zdarzały się najwyżej raz w roku. Czasem nawet na dwa tygodnie przed szczytem przywódca krajów kandydujących nie wiedzieli jeszcze, czy otrzymają zaproszenie. Często bywali „wypełniaczami programu”, zwłaszcza gdy w trakcie głównych obrad brakowało ważnych tematów. Później jednak przedstawiciele państw kandy-

dujących zaczęli bywać na prawie każdym szczycie; podczas tych spotkań załatwiano — zwłaszcza w kuluarach — konkretne sprawy negocjacyjne.

Jedno z pierwszych takich kuluarowych uzgodnień rozbudziło niepokój małych krajów Unii. Po zakończonych sukcesem rozmowach w Barcelonie premiera Leszka Millera z kanclerzem Niemiec Gerhardem Schröderem, premierem Wielkiej Brytanii Tonym Blairem i premierem Holandii Wimem Kokiem w sprawie okresu ochronnego na sprzedaż ziemi cudzoziemcom, kilka państw zagroziło zablokowaniem osiągniętego porozumienia. Dyplomaci z Austrii, Belgii i części krajów skandynawskich skrytykowali załatwianie spraw za ich plecami. Szef polskiej dyplomacji, Włodzimierz Cimoszewicz, próbował ratować sytuację i nazajutrz po szczycie zaprosił unijnych ambasadorów w Warszawie, by zdać im relację z rozmów w Barcelonie. Niestety, to tylko pogorszyło sprawę, gdyż dyplomaci Piętnastki dowiedzieli się w ten sposób o porozumieniu nie od przewodniczącego Rady UE lub Komisji, ale od przedstawiciela kraju kandydującego. Uznano to za polityczną gafę. „Musicie zachowywać się bardziej dyplomatycznie, by nie urazić małych krajów” — mówili mi wówczas dyplomaci z Niemiec i Francji.

Na unijnych szczytach polscy dziennikarze śledzili głównie sprawy związane z poszerzeniem. Najpierw zaproszenie do negocjacji, potem wyznaczenie dat zakończenia rokowań i przyjęcia nowych państw, w końcu wymienienie z nazwy wszystkich krajów, które w pierwszej kolejności wejdą do Unii. Kolejne szczyty UE wyznaczają chronologię procesu poszerzenia — „od Kopenhagi do Kopenhagi”, jak coraz częściej mówiło się w Brukseli. Pierwsza Kopenhaga to szczyt, który w czerwcu 1993 roku określił kryteria polityczne i ekonomiczne członkostwa w Unii. Druga Kopenhaga to grudzień 2002 roku, finał rokowań.

Przebieg spotkań unijnych liderów w całości relacjonowaliśmy przeważnie my, polscy korespondenci w Brukseli. Inni dziennikarze z kraju przylatywali tylko na parę godzin, razem z premierem, „na lunch”, po czym odlatywali z powrotem. Dziennikarze z innych państw natomiast przyglądali się często całkiem innym aspektom obrad, z ich punktu widzenia o wiele ważniejszym. Kiedyś jeden z dyplomatów powiedział mi: „Gdy wracam po szczycie do Brukseli i czytam europejską prasę, mam wrażenie, że każdy był na zupełnie innym spotkaniu”.

Źródeł informacji na szczytach jest zawsze pod dostatkiem. Rzecznicy prasowi krajów Unii dbają, aby ich dziennikarze byli dobrze poinformowani. Od czasu niechlubnej wpadki na szczycie w Nicei, gdzie nie było żadnego polskiego „prasowca” i w krytycznym momencie zabrakło polskiego komentara, na sali dla dziennikarzy można już odnaleźć polskiego rzecznika. Bez problemu więc uzyskałam polski komentarz, gdy w Göteborgu jako pierwsza dowiedziałam się od szwedzkiego dyplomaty — że Chirac i Schröder w końcu zgodzili się na wyznaczenie daty poszerzenia UE. Małgorzata Alterman, rzeczniczka przedstawicielstwa RP przy Unii Europejskiej, wypowiadała się więc dla radia RMF, zanim jeszcze premier Jerzy Buzek wylądował w Szwecji: „To właśnie ta data, której od tak dawna się domagaliśmy, jesteśmy zadowoleni”.

Szczyty Rady Europejskiej to prawdziwy test dziennikarskich umiejętności. Trzeba po prostu wiedzieć kogo i o co zapytać. Trzeba też weryfikować informacje w kilku źródłach i pytać o potwierdzenie na konferencjach prasowych. Dziennikarze bywają bowiem wykorzystywani przez dyplomatów w charakterze balonów próbnych i, chcąc nie chcąc, stają się uczestnikami politycznej gry. Podczas szczytu w Nicei chciałam porozmawiać z jednym z dyplomatów o dyskryminującej Polskę propozycji Francji, byśmy w Radzie UE mieli mniej głosów niż Hiszpania. Ten jednak nie chciał mówić w obecności dziennikarza z agencji prasowej.

— Jeśli będę z panią rozmawiał w obecności agencji, to za trzy minuty moje słowa znajdą się w depeszy, którą za moment przeczytają unijni przywódcy, co może wpłynąć na przebieg obrad — wyjaśnił. I dodał: — A ja zostanę wyrzucony z pracy.

Bezpośredniego dostępu do obradujących nie mają nie tylko dziennikarze, lecz również zwykli dyplomaci. Co jakiś czas o przebiegu rozmów informują ich tzw. *anttici*, pracownicy sekretariatu Rady. W pierwszym dniu szczytu w Laeken w Belgii w grudniu 2001 roku poprosiłam dyplomatę, do którego miałam duże zaufanie, o zrelacjonowanie debaty unijnych przywódców, toczącej się za zamkniętymi drzwiami. Przytoczył on wówczas wypowiedź premiera Belgii Guy Verhofstada. Wynikało z niej, że jeżeli Polska nie zamknie wkrótce dwudziestu działów negocjacji, może zostać publicznie skrytykowana. To postawiłoby pod znakiem zapytania nasze przystąpienie do Unii w pierwszej grupie. W tamtym czasie mieliśmy dzie-

więtnaście zamkniętych rozdziałów, brakowało nam zatem jednego. Aby go sfinalizować, musielibyśmy ustąpić w kwestii ziemi lub pracy. „Trzeba będzie ten fakt [opóźnienie w negocjacjach — K.S.] odnotować we wnioskach końcowych szczytu” — miał powiedzieć Verhofstad. Nie mogłam uwierzyć — we wnioskach końcowych, najważniejszym unijnym dokumencie? Mój rozmówca nie miał jednak wątpliwości: premier Belgii tak właśnie powiedział. Belgowie nigdy nie uchodzili za entuzjastów szybkiego poszerzenia Unii, ale żeby aż do tego stopnia?

Chwilę później podeszłam do grupy kolegów, którym inny dyplomata tak samo relacjonował słowa belgijskiego premiera. A więc dwa źródła mówią to samo! Nie pozostało mi nic innego, jak tylko zapytać na konferencji prasowej samego Verhofstada. Ten gwałtownie zaprzeczył, jakoby mówił coś podobnego, ale nie sprawiał wrażenia zaskoczonego moim pytaniem.

Co zrobić z taką informacją? Po co nam ją przekazano? Może właśnie po to, aby wymóc na Verhofstadzie zaprzeczenie?

— Po twoim pytaniu możecie być spokojni, Belgowie nie zaproponują teraz żadnej krytyki Polski we wnioskach końcowych — powiedział mi znajomy dyplomata. Poczulałam się w tym momencie jak pionek w jakiejś grze, której nie rozumiałam. Faktycznie — we wnioskach szczytu z Laeken nie zawarto żadnej krytyki stanu naszych negocjacji. Premier Belgii w ogóle do tej kwestii nie wracał, a w dokumencie wśród dziesięciu krajów mających szansę na członkostwo w 2004 roku wymieniono również Polskę. Do dzisiaj nie wiem, o co w tym wszystkim chodziło.

Czasami spotkania Rady Europejskiej były mniej emocjonujące. W Sewilli w czerwcu 2002 roku czekał nas na przykład przymusowy urlop. Z powodu strajku generalnego hiszpańskich związków zawodowych, który miał odbyć się dzień przed szczytem, dziennikarze i dyplomaci musieli przybyć do gorącej stolicy Andaluzji dwa dni wcześniej. Sam strajk i manifestacje spowodowały totalny paraliż. Reportaż dla RMF-u o strajku przekazywałam przez komórkę, stojąc na rogu ulicy, bo nie było jak dojechać do centrum prasowego.

Unijne szczyty coraz bardziej kojarzą się ze strajkami i manifestacjami. Podczas szczytu w Barcelonie znalazłam się z moją przyjaciółką, Ewą Wysocką, korespondentką RMF-u w tym mieście, w samym centrum starcia policji z antyglobalistami. Gumowe kule świstały nam koło uszu, bo manife-

stanci roznieśli w drzazgi barierki i schronili się w miejscu przeznaczonym dla dziennikarzy. Udało nam się nadać relację dla radia, po czym jakimś cudem wyprowadził nas z tego zamętu hiszpański fotoreporter.



Manifestacja organizacji pozarządowych podczas szczytu UE w Laeken.

14 grudnia 2001 r.

Manifestanci z jednej strony domagają się, by Europa była bliżej obywateli, z drugiej jednak zmuszają Unię do zaostrzenia środków ostrożności i prowadzenia obrad jak w twierdzy. W Barcelonie niebo patrolował AWACS, przysłany przez NATO samolot wyposażony w system wczesnego ostrzegania. Szczyty UE organizowane w Brukseli mają odpowiadać nowym wymogom bezpieczeństwa, które pojawiły się po 11 września 2001 roku. To prawdopodobnie pogłębi wrażenie, że unijni przywódcy coraz szczerzej odgradzają się od ludzi.

Innym problemem jest słabnąca dyscyplina samych obrad. Na szczycie w Sewilli i politycy, i dziennikarze bardziej emocjonowali się mundialem niż debatą o kształcie Europy. Szefowie państw i rządów spóźniali się na obrady z powodu meczów transmitowanych wcześniej rano z Korei i Japonii.

Kanclerz Schröder i premier Blair w ogóle nie pojawili się w drugim dniu szczytu na lunchu z przywódcami krajów kandydujących, po prostu wcześniej wyjechali z Sewilli. Jak opowiadał mi kiedyś uczestnik posiedzeń zamkniętych dla większości, kanclerz podczas obrad mówi bardzo niewiele (ożywia się jedynie, gdy jest mowa o budżecie), często wychodzi z sali lub się po prostu „urywa”.

Coraz wyraźniej widać więc, że dotychczasowa forma spotkań nie zdaje egzaminu. Trzeba ją zmienić i to przed rozszerzeniem Unii, bo — jak mówią wprost unijni dyplomaci — w przeciwnym wypadku szczyty utoną w kompletnym chaosie. Pojawiły się propozycje, aby posiedzenia Rady były krótsze, trwały tylko jeden dzień, były lepiej przygotowane, a ich uczestnicy nie zajmowali się drobiazgami. Podsumowujące szczyty wnioski końcowe miałyby być krótkimi politycznymi deklaracjami, nie zaś, jak obecnie, kilkudziesięciostronicowymi szczegółowymi protokołami.

Gdy Polska wejdzie do Unii, Rady Europejskie odbywać się będą w Brukseli. Istnieją też spore szanse, że gdy polski premier zasiądzie wśród aż dwudziestu pięciu innych przywódców państw i rządów, będzie się mniej nudzić niż dziś Gerhard Schröder i jego unijni koledzy.

Dobry Wujek i s-ka

*Sala w polskim przedstawicielstwie przy UE. Wokół okrągłego stołu siedzą: **Buldożer**, **Torreador**, **Żelazna Dama** i **Szara Myszka**. **Salonowiec** rozlewa dobry francuski koniak.*

Salonowiec (spogląda na puste miejsce i pusty kieliszek): — A gdzie Asceta?

Szara Myszka: — Zaraz przyjdzie. Doczytuje dyrektywę.

Wchodzi lekko przygarbiony Asceta.

Asceta: — Proszę państwa! Jest to wysoce prawdopodobne i wcale niewykluczone, a bynajmniej nie są to wirtualne fakty. W dyrektywie UE numer 1997/200585/8754/243978/297 zapisano, że kiełbasy wyrabiane w rzeźniach o wydajności pięciu ton na dobę i przerobie w wysokości trzech ton muszą być czerwone i muszą się błyszczeć. Oznacza to problem negocjacyjny...

Szara Myszka: — Ojej!

Żelazna Dama: — Przecież właśnie zakończyliśmy rokowania w tym dziale.

Asceta: — Ale kilka tysięcy naszych rzeźni może nie zdążyć się na czas dostosować...

Torreador: — To trzeba je zamknąć. Unijne prawo jest prawem.

Buldożer: — Nic z tego. Bez kiełbasy nie wchodzimy do Unii!

Szara Myszka: — Ojej!

Torreador: — Musicie się zdecydować. My nie możemy odpuścić, bo upadnie wspólny rynek. Naciskają na nas państwa członkowskie.

Deus ex machina pojawia się Dobry Wujek.

Dobry Wujek: — Polska jest dużym krajem. Rozważmy kilkuletni okres przejściowy...

Salonowiec dolewa koniaku. Wznosi kieliszek.

Salonowiec: — Kielbasa to problem prawdziwie europejski. Wypijmy za wspólnotową kielbasę!

Pismak uchyla drzwi.

Wszyscy chórem z wnętrza sali: — A sio!

Gdy wracałam do domu i opowiadałam o kolejnej rundzie negocjacji, mój mąż Steven mawiał często: „Powinnaś napisać o tym sztukę”.

A im bardziej starałam się oddać dramatyzm sytuacji, tym bardziej Steven przekonywał mnie, że powinna to być komedia. Nie wiem, czy taka opinia wynikała z dystansu Belga, który urodził się i wzrastał w kraju będącym jednym z założycieli Unii, ale jego zdaniem, odkąd zapadła polityczna decyzja o rozszerzeniu, negocjacje były już tylko przedstawieniem. Każdy z negocjatorów miał rozpisaną rolę i w sumie niewielki wpływ na wydarzenia. Ten teatr jest jednak konieczny, bo oswaja Polskę z Unią i Unię z Polską.

Pod koniec negocjacji zaczęłam myśleć podobnie. Niektórzy moi koledzy dziennikarze chyba także. Z upływem czasu aktorzy zostali obdarzeni przydomkami, których lubiłam używać, bo dobrze charakteryzowały polskich i unijnych negocjatorów.

Asceta, który studiuje dyrektywę, to oczywiście nasz główny negocjator Jan Truszczyński. Bardzo pracowity. Niektórzy twierdzą, że wręcz chorobliwie. Odkąd w 1996 r. został ambasadorem RP przy Unii, zaszywał się w swoim gabinecie i wychodził z niego późno w nocy. Znał każdy dokument, który wyprodukowała Komisja Europejska lub Rada UE. A jeżeli nie znał, starał się go zdobyć. Niewiedza przyprawiała go



Główny negocjator Jan Truszczyński miał w jednym palcu wszystkie szczegóły naszych negocjacji z Unią.

o frustrację. Złośliwi mówią, że jako ambasador studiował wszystko — od rachunków za benzynę po unijne raporty.

Truszczyński obdarzony jest fenomenalną pamięcią. Potrafi cytować z pamięci numery dyrektyw czy długość okresów przejściowych, o które występowała Polska. Dla dziennikarza to kopalnia wiedzy. Kiedyś, już jako negocjator, wprawił mnie w osłupienie, wymieniając bez kartki dokładne wymiary (wraz ze stopniem nachylenia!) klatek dla kur niosek, które od 2003 r. będą obowiązywać polskich hodowców drobiu.

Truszczyński jest jednym z najbardziej kompetentnych polskich urzędników w sprawach europejskich. To typowy technokrata, który stara się stworzyć wizerunek apolitycznego funkcjonariusza publicznego. Mimo to w opinii środowisk prawicowych jest wyraźnie związany z SLD i z ośrodkiem prezydenckim.

Truszczyński nie krył, że w czasach PRL-u współpracował z wywiadem i pisał analizy na temat Unii Europejskiej. Ta informacja, podana przez prasę, wywołała w Brukseli lekkie zakłopotanie. „No to macie długoletniego specjalistę!” — stwierdził jeden z dyplomatów Piętnastki.

Truszczyński to człowiek bardzo skromny i oszczędny. W przeciwieństwie do wielu polskich ambasadorów, którzy skarżą się nieustannie na brak finansów, Truszczyński nie wydawał nawet całego budżetu przeznaczonego na cele reprezentacyjne. To była zaleta, ale i wada. Niełatwo przychodziło mu nawiązywanie kontaktów. Nie potrafił się rozluźnić, sprawiał wrażenie zakompleksionego. Nie miał więc w Brukseli wielu prywatnych znajomości, koniecznych przy tego rodzaju funkcji. Trudny był także w kontaktach z prasą. „Profesjonalny sztywniak” — mówili o nim zagraniczni dziennikarze. Z czasem zaczął nad sobą pracować i stawał się coraz przystępniejszy.

Nigdy jednak nie czuł się w brukselskim świątku tak dobrze jak **Salonowiec**. Wystarczy chwilę porozmawiać z Janem Kułakowskim, by zorientować się, jak bardzo lubi międzynarodowe towarzystwo, francuskie wino, koniak i swobodną rozmowę. Nieraz myślałam, że dopiero połączenie Truszczyńskiego z Kułakowskim dałoby idealnego negocjatora.

Kułakowski pełnił tę funkcję w latach 1998–2001. Przedtem, przez sześć lat od 1990 r., był pierwszym polskim ambasadorem przy UE. Miał to, czego tak brakowało Truszczyńskiemu: łatwość nawiązywania przyjaźni i szerokie kontakty. Było to przydatne zwłaszcza w pierwszym okresie.



Jan Kułakowski, główny negocjator w rządzie Jerzego Buzka miał szerokie kontakty w Brukseli.

jej ojczystego kraju i dorastał w Brukseli. Był świadkiem i uczestnikiem powstawania wspólnej Europy. Myślenie w kategoriach interesu europejskiego nie sprawiało mu kłopotu. Nie zapominał przy tym o interesie Polski. W czasach stanu wojennego pomagał podziemnej Solidarności. Był pierwszym polskim politykiem potrafiącym myśleć naprawdę po europejsku.

Jako negocjator Kułakowski był jednak dyletantem. Brakowało mu cierpliwości, by wczytać się w dokumenty. Nie studiował zbyt dokładnie pisanych zawiłym językiem stanowisk negocjacyjnych Unii, nie znał więc wielu technicznych problemów. Z trudem przypominał sobie nawet, które z rozdziałów już zamknęliśmy, a których jeszcze nie. Denerwowały go moje zbyt szczegółowe pytania. Spoglądał wówczas na dyrektora swego gabinetu Agnieszkę Drop — mądrą i profesjonalną urzędniczkę, na barkach której spoczywał ciężar wiedzy szczegółowej.

Ze swojej działalności w światowych chrześcijańskich związkach zawodowych zachował wiele znajomości. Do jego przyjaciół należał sam przewodniczący Komisji Europejskiej w połowie lat 90., Jacques Delors.

Kiedyś, już w 2002 r., popijałam z Kułakowskim wino w kawiarence La Fontaine w dzielnicy europejskiej. Wspominaliśmy dawne czasy. Kułakowski opowiadał, jak Delors poradził mu, aby w rozmowach o poszerzeniu Unii mówił, że „Polska chce mocnej Unii”. Na brukselskich salonach działało to jak wytrych. Zmniejszało obawy tych, którzy się lękali, że członkostwo Polski może osłabić UE.

Kułakowski nie musiał uczyć się Unii. Po Powstaniu Warszawskim wyemigrował z matką Belgijką do

Negocjacje w sprawach farmaceutyków czy unii celnej po prostu go męczyły. Urodzony w 1930 r., przecież nie młodziak... Podobno zdarzało mu się nawet przysnąć podczas technicznych rozmów. Ożywał się, gdy można było coś „politycznie” pchnąć do przodu, najlepiej w czasie kolacji lub lunchu. Niestety, wówczas negocjacje były jeszcze mało polityczne. Unii zależało głównie na zdopingowaniu Polski do wdrożenia jak największej części wspólnotowego ustawodawstwa.

Nic więc dziwnego, że gdy Kułakowski spotykał się z **Torreadorem**, potrafił wypalić: — „Do cholery, przestań pieprzyć dyrdymały o dostosowaniu, tylko załatw sprawę”.

Mógł sobie na to pozwolić, bo Torreadora znał od dawna i przyjaźnił się z nim od czasów działalności związkowej. Torreador to, jak łatwo się domyślić, Hiszpan. Jest najważniejszym po komisarzu Verheugenie urzędnikiem Komisji, odpowiedzialnym za poszerzenie. Zajmuje stanowisko dyrektora generalnego z pensją około 45 tysięcy złotych miesięcznie.



Eneko Landaburu nie chciał dopuścić, aby rozszerzenie doprowadziło do paraliżu integracji europejskiej.

Gdy po raz pierwszy przeprowadziłam z nim wywiad, moi koledzy w RMFie zastanawiali się, co to za dziwne nazwisko: Eneko Landaburu. Arab? Skandynaw? Nie, po prostu Bask.

Landaburu z Kułakowskim łączyła także znajomość z Delorsem, a to wśród eurokratów znaczy bardzo wiele. Zdjęcie Delorsa z młodości stoi na biurku Hiszpana w budynku Komisji.

Landaburu jest odważny i lubi ryzykować. Jeszcze zanim rozpoczął się Konwent Europejski w sprawie przyszłości Unii, skrytykował publicznie Komisję Romano Prodiego (a więc swojego bezpośredniego szefa) za to, że jest „strachliwa” i zatraciła

zdolność inspirowania nowymi projektami politycznymi. On sam jest natomiast wyznawcą ścisłego związku grupy państw w ramach Unii, który powinien pchać ją do przodu, w kierunku coraz ściślejszej politycznej integracji. Każdy inny po takim wystąpieniu straciłby posadę. Ale nie on. On wie, kiedy uderzyć, a kiedy się wycofać.

Kułakowski podejrzewał Landaburu o niechęć do powiększenia Unii. „On miał zawsze jakieś «ale»” — powiedział mi pewnego razu. Inni polscy dyplomaci szli jeszcze dalej: ich zdaniem Landaburu reprezentował interesy nie zawsze chętniej poszerzeniu Hiszpanii.

Landaburu był faktycznie surowy, ale prawdomówny. Nie chwalił, gdy nie było za co, nigdy nie obiecywał gruszek na wierzbie. Chciał solidnie przygotować przyjęcie nowych państw. Zależało mu, aby powiększona Unia pozostała liczącym się aktorem na światowej scenie. Mało kto to rozumiał.

Tymczasem Landaburu to jeden z niewielu eurokratów wizjonerów. Należał do najbardziej cenionych przeze mnie osób w Komisji (niestety, chyba bez wzajemności, bo częściej zgadzał się na wywiady dla PAP-u niż dla mnie). Przeciwstawiano go **Dobremu Wujkowi**, bo ten głaskał Polskę po głowie i częściej mówił miłe rzeczy. Ale też bez Dobrego Wujka, za którego chciał uchodzić komisarz Verheugen, prawdopodobnie nie zakończylibyśmy na czas negocjacji.

Kiedyś podczas spotkania w Parlamencie Europejskim Landaburu karcił nas za jakieś braki, przypominając o konieczności dostosowania się do europejskiego prawa. Buldożer nie wytrzymał i wbrew wszelkim zasadom ostro przerwał: „Pełne dopłaty dla rolników to także część europejskiego prawa! Jeżeli my mamy respektować unijne prawodawstwo, to wy także je respektujcie!”

Na sali rozległ się szmer dezaprobaty.

Buldożerem nazwał podobno Jacka Saryusz-Wolskiego ambasador Komisji Europejskiej w Warszawie Bruno de Thomas. Skąd taki przydomek? Nietrudno się zorientować. Buldożer nie jest zbyt subtelny — taranuje, idzie po trupach, byle do celu. Z reguły jednak ma rację. Taki styl bycia przysparza mu wielu wrogów. Gdyby jednak Saryusz-Wolski oglądał się na innych lub czekał na formalną zgodę tego czy innego polskiego urzędnika albo polityka, dreptałby w miejscu. Do historii przejdzie jako ten, który wbrew dyplomatycznym regułom i obyczajom nakłonił premiera Buzka, aby zadzwonił do



Jacek Saryusz-Wolski jako szef Urzędu Komitetu Integracji Europejskiej w rządzie Jerzego Buzka przyspieszył dostosowywanie prawa polskiego do unijnego.

sto z mostu, burząc uładzony świat brukselskich urzędników. W negocjacjach używa różnych chwytów. Czasami nawet szantażuje, próbuje stosować „sprzedaż wiążaną”. Ma wokół siebie grono oddanych wychowanków (często swoich dawnych studentów z Uniwersytetu Łódzkiego), gotowych do działania o każdej porze i na każde zawołanie. Złośliwi nazywają ich „dworem”, a sposób bycia Saryusz-Wolskiego — wielkopańskim. Mówią, że Buldożer nie potrafi współpracować na partnerskich zasadach. Woli, by mu służyło. Próbował podporządkować sobie Kułakowskiego, więc dochodziło między nimi do scysji.

Nie potrafi także rozmawiać ze zwykłymi ludźmi. Bardziej niż inni przesiąkł europejską nowomową. Nic dziwnego, że gdy startował w ostatnich wyborach parlamentarnych z listy bloku Senat 2000 — przegrał. Prawdopodobnie żaden z wyborców go nie zrozumiał. Zapewne były

przywódców Piętnastki, zebranych na szczycie w Nicei w grudniu 2000 r. Dzięki temu upadła dyskryminująca Polskę francuska propozycja przyznania jej w Radzie Ministrów UE mniejszej liczby głosów niż Hiszpanii.

Gdy na początku 2003 r. przewodnictwo w UE objęła Grecja, jeden z tamtejszych dyplomatów zapytał mnie, co się dzieje z „twardym i nieco histerycznym Saryusz-Wolskim”. Pamiętał go z czasów, gdy negocjował układ o stowarzyszeniu Polski z Unią. Podobno Buldożer wyszedł raz ze spotkania, trzaskając drzwiami. Obecnie Buldożer czeka na swój moment. Jest szefem ośrodka badawczo-naukowego. Wielu eurokratów nie lubi Buldożera, bo się go obawia. Saryusz-Wolski potrafi na przykład wykazać komuś nieznaną unijną procedurę, które sam zna doskonale. Mówi pro-

minister głęboko przeżył tę porażkę, bo lubi być na świeczniku, w pierwszej linii.

Zupełnie inaczej niż **Szara Myszka**. Ta woli się za bardzo nie pokazywać. W męskim świecie polskich polityków, gdzie dominuje typ macho, znalazła swój sposób na karierę. Postanowiła prześlizgiwać się, pozostawać w cieniu, tak by nikt, zwłaszcza z męskiego grona, nie czuł się zagrożony. Danuta Hübner od listopada 2001 r. koordynowała nasze rozmowy z Unią jako potrójny sekretarz: stanu w MSZ-ecie, Komitetu Integracji Europejskiej i szefowa UKiE. Sama żartowała, że to funkcja „potrójnej sekretarki”.

Swój skromny wizerunek doprowadziła do takiej perfekcji, że kiedy z kimś rozmawia, nie patrzy w oczy i ma nieco spuszczoną głowę. Za każ-



Danuta Hübner rozmawia z komisarzem Verheugenem.

dym razem musiałam mocno nadstawiać uszu, by ją usłyszeć. Pani minister mówi bowiem niemal szeptem. „Mała myszka siedzi sobie i spokojnie serek skrobie” — przypominał mi się wówczas wierszyk z dzieciństwa. Hübner bardzo często unika jednoznacznych odpowiedzi. To w dyplomacji istotna umiejętność. Często nawet po dłuższej rozmowie dziennikarze nie wiedzieli, czy jest w końcu za czy przeciw. „Ona jest tak mało przekonująca!” — wybuchnął kiedyś jeden z zagranicznych dziennikarzy.

Hübner ma jednak swoich zwolenników. Jest najczęściej wymienianym w Warszawie kandydatem na stanowisko pierwszego polskiego komisarza w Brukseli Uchodzi za człowieka prezydenta. Bardzo kompetentna, zanurzona od dawna w sprawach europejskich, z wykształcenia ekonomistka. Jako polski komisarz Hübner z pewnością przełamie rozpowszechniony w unijnych strukturach stereotyp ciskającej się, aroganckiej Polski.

Hübner dostrzeżono zresztą już także w Brukseli. Jest lubiana — również za to, że wiele spraw potrafi załatwić rzeczowo, bez typowej dla nas hysterii. Podobno wprost uwielbia ją były prezydent Francji, a obecnie przewodniczący Konwentu Europejskiego, Valéry Giscard d’Estaing. Ceni sobie jej wystąpienia podczas sesji plenarnych Konwentu, gdzie pani minister re-

prezentuje nasz rząd, za to, że są „dobrze ustrukturyzowane” i „mieszczą się w ściśle wyznaczonym czasie”, jak wyjaśniał mi kiedyś najbliższy współpracownik d’Estainga.

Zupełnie innym typem jest **Żelazna Dama**. Wyprostowana, twardo spogląda w oczy, nawet mówiąc nieprzyjemne rzeczy. Przy tym zadbana i elegancka. Pali długie cygarетки. To Françoise Gaudenzi, która od wiosny 1998 r. odpowiada z ramienia Komisji Europejskiej za negocjacje z Polską.

Mówi dobitnie, często z odcieniem ironii, typowym dla Francuzów. Niektórzy ten sarkazm niesłusznie



Françoise Gaudenzi żelazną ręką prowadziła negocjacje z Polską.

interpretują jako przejaw poczucia wyższości. Gaudenzi potrafi być niesłuchanie stanowcza, twarda, nieprzejednana. „Zachowuje się pani jak gestapówka!” — wykrzyknął kiedyś jeden z polskich wiceministrów z rządu Jerzego Buzka. Gaudenzi długo nie mogła tego zapomnieć. Nikt nigdy tak jej nie dotknął. Wielu porównywało ją do byłej premier Wielkiej Brytanii, Margaret Thatcher. Gdy coś postanowiła, nie było już od tego odwołania.

Jej nieprzejednania doświadczyłam na własnej — dosyć przecięznej — skórze **Pismaka**. Pod koniec 2000 r. Gaudenzi udzieliła mi i Jędrzejowi Bieleckiemu z „Rzeczpospolitej” wywiadu. Później miała z tego powodu nieprzyjemności — podobno interweniował sam premier Buzek, niezadowolony, że dała do zrozumienia, iż malutka Estonia może wejść do UE przed spóźnioną Polską. Po tym wydarzeniu Gaudenzi nie chciała się ze mną ponownie spotkać. Nie pomogły moje uwagi, wygłaszane publicznie podczas briefingów dla prasy, że „negocjacje to nie prywatna sprawa kilku eurokratów”. Żelazna Dama postawiła na swoim — nie udzieliła mi dłuższego wywiadu przez dwa lata, czyli do końca rokowań. To typowa urzędniczka europejskich instytucji. Komisja Europejska to całe jej życie. Do Brukseli przyjechała jako młoda dziewczyna, by zbierać materiały do pracy naukowej. I została. Było to prawie czterdzieści lat temu. Jest jednym z najstarszych stażem pracowników Komisji.

Gaudenzi jest jednak twarda także dla siebie samej. Dopiero niedawno dowiedziałam się, że od lat walczy z ciężką chorobą.

Tacy są negocjatorzy. Każdy miał swoją rolę do odegrania i starał się jak mógł. Obojętnie, czy był z rządu Buzka, Millera czy z Brukseli.

Wreszcie doceniony

Komisarz Günter Verheugen nie potrafi ukrywać emocji. Jego gwałtowne wybuchy i porywczosć kontrastują z nieśmiałością. Komisarz czerwieni się, co nadaje mu chłopięcy wygląd. „To typowy nadreńczyk” — twierdzą jego przyjaciele.

Przez długi czas irytował mnie naciąganiem faktów, przesadnym optymizmem, skłonnością do dostosowywania poglądów do zdania rozmówcy, różnymi woltami i manewrami. Wydawał się nieprzystępny. Za

każdym razem musiałam mu się przedstawiać i nigdy nie byłam pewna, czy mnie rozpoznaje, chociaż rozmawialiśmy wielokrotnie.

Pierwszy raz poczułam do niego sympatię, gdy zobaczyłam go na ulicy, idącego szybkim krokiem w stronę budynku Komisji Europejskiej. Wołał przejść tych kilkaset metrów, niż — jak wielu jego kolegów — korzystać ze służbowego mercedesa.

Innym razem podpatrzyłam, jak podczas konferencji prasowej z czeskim ministrem dyskretnie zdrapywał zabrudzenie z marynarki. Wtedy zrozumiałam, że jest po prostu roztargniony i zapewne często plami ubranie podczas jedzenia. Z roztargnienia, a także z wady wzroku wynikają prawdopodobnie problemy z rozpoznawaniem osób. Zaczęłam w Verheugenie dostrzegać człowieka.

Günter Verheugen w Niemczech czuł się niedoceniany. W 1982 r. przeszedł z liberalnej FDP do SPD i przez szesnaście lat czekał w opo-

zycji na swój dzień. Był szykowany na ministra obrony, ale Gerhard Schröder wołał Rudolfa Scharpinga (który zresztą okazał się później dość kłopotliwy za sprawą swoich licznych wpadek). Partyjni znajomi komisarza mówią, że marzył o ministerstwie spraw zagranicznych. W koalicyjnym rządzie z Zielonymi został nim jednak Joschka Fischer. Na pocieszenie dostał stanowisko sekretarza stanu do spraw europejskich w MSZ. Jako polityk z SPD miał patrzeć na ręce niedoświadczonemu Fischerowi, nic więc dziwnego, że między panami nie układało się najlepiej. Fischer, który chciał uchodzić za wizjonera, zlecał Verheugenowi niewdzięczne, techniczne zadania, takie jak kwestia unijnego budżetu, zwanego



Komisarz Günter Verheugen jest roztargniony, często gubi telefony komórkowe.

Agendą 2000. „Fischer uważał Verheugena za marionetkę, a Verheugen Fischera za kabotyńca” — opowiadał mi jeden z członków SPD, zasiadający w Parlamencie Europejskim.

Napięcie spadło, gdy w lipcu 1999 r. przysłała nominacja na komisarza do spraw poszerzenia. To była prawdziwa szansa!

Rozszerzenie Unii miało być zwieńczeniem politycznej kariery Verheugena. Nowy komisarz całkowicie utożsamiał się z powierzoną mu misją. Jego osobistą ambicją było doprowadzenie do przyjęcia pierwszej grupy nowych krajów jeszcze podczas jego kadencji. Dlatego chciał, aby poszerzenie nastąpiło najpóźniej w 2004 r. Dzięki temu miał przejść do historii. Liczył się z tym, że po zakończeniu pracy w Komisji nie czekają go już żadne szczególne szczyty w kraju. Dlatego parł ostro do przodu, często nie zwracając uwagi na skutki swych działań dla samej Unii, za co krytykowali go nawet koledzy z SPD.

Verheugen to bardzo sprawny polityk i pragmatyk, ale nie wizjoner. Jego widzenie Europy opiera się na historii. W tym obrazie centralne miejsce zajmuje odkupienie niemieckich win i stworzenie politycznej wspólnoty państw, do niedawna podzielonych na dwa bloki. O wiele mniej interesuje go, jak właściwie będzie funkcjonować Unia złożona z dwudziestu pięciu czy dwudziestu siedmiu krajów. Szczegółowych pytań dotyczących czasu po poszerzeniu Verheugen nie stawiał, więc i nie szukał na nie odpowiedzi. Jego strategia kończyła się w dniu przyjęcia nowych członków. Tym, co nastąpi później, mieli się zająć inni.

Po objęciu stanowiska Verheugen musiał zdobyć zaufanie Polaków. Nie było to łatwe, bo niektórym politykom w rządzie Jerzego Buzka trudno było przełamać niechęć wobec przedstawiciela SPD, która swego czasu zbyt wyrozumiale podeszła do wprowadzenia stanu wojennego w Polsce. Dla wielu trudne do przyjęcia były preferencje polityczne komisarza: sympatia do SLD i często podkreślana przyjaźń z Leszkiem Millerem. Kiedyś podczas śniadania prasowego opowiadał nam, jak całą noc pił z Millerem wódkę, tak że potem sam już nie wiedział, gdzie jest. Verheugen nie ukrywał także antypatii do szanowanego w Polsce byłego kanclerza Helmuta Kohla, długoletniego szefa CDU. Do tej pory lubi ze złośliwą satysfakcją przypominać polskim rozmówcom jego niedotrzymaną obietnicę, że Polska wejdzie do Unii w 2000 r.

Gdy Verheugen zastąpił Holendra Hansa van den Broeka, ucieszyłam się, bo spodziewałam się, że jako Niemiec będzie przychylniejszy poszerzeniu i Polsce. Nie pomyliłam się. Verheugen o wiele lepiej od swojego poprzednika znał nasz charakter. Wiedział, że jeżeli będzie nas surowo krytykował, zniechęcimy się i zamkniemy w sobie. Odrzucił więc kostyczność i oschłość Holendra. Zrozumiał, że lepiej być uznawanym za dobrego wujka z Brukseli. Tego określenia pierwszy użył podobno ktoś w Warszawie. Ja jednak częściej słyszałam je z ust rzecznika komisarza, Jeana Christophe'a Filoriego. Zależało mu na tym, aby w Polsce tak właśnie nazywano Verheugena. Określenie to przypadło zresztą do gustu samemu Verheugenowi. Filori zaś nauczył się go nawet po polsku.

W końcu lody zostały przełamane i nieufność zaczęła topnieć, zwłaszcza gdy okazało się, że komisarz to główny obrońca spóźniającej się w negocjacjach Polski. W ostatnich miesiącach urzędowania Buzka Verheugen twierdził nawet, że odkąd władzę przejął mniejszościowy rząd AWS, nastąpiło przyspieszenie w przygotowaniach do członkostwa. A gdy Buzek przyjechał do Brukseli już po przegranych wyborach, Verheugen spotkał się z nim, chociaż wcale nie musiał. Mówił, że docenia wysiłki premiera, który co najmniej od dwóch lat wiedział, że nie on wprowadzi Polskę do Unii.

Z rządem Leszka Millera komisarz porozumiał się znacznie szybciej, zwłaszcza, że szef SLD od dawna zapowiadał ustępstwa w negocjacjach. Verheugen nie ukrywał jednak, że wolał widzieć w Polsce koalicję Sojuszu z Platformą Obywatelską. Obawiał się, że PSL będzie o wiele trudniejszym partnerem w rokowaniach.

Przez prawie rok po objęciu stanowiska Verheugen sprawiał wrażenie zagubionego i niezbyt pewnego siebie. Szef polskiej dyplomacji Bronisław Geremek w połowie 2000 r. na łamach „Financial Times” oskarżył nawet Komisję Europejską o spowalnianie negocjacji.

Jesienią Verheugen popełnił w dodatku wielką gafę. Powiedział mianowicie niemieckiej prasie o możliwości przeprowadzenia w Niemczech referendum w sprawie rozszerzenia. Tamtejsze elity władzy bały się nawet o tym wspominać, bo takie głosowanie najpewniej zakończyłoby się porażką. Przez jakiś czas szeptano w kuluarach o dymisji komisarza. Filori prawie codziennie wyjaśniał, co Verheugen „miał na myśli”. Pewnego dnia wywiesił

na drzwiach swojego biura karykaturę, przedstawiającą sklep z porcelaną, z którego przerażeni Joschka Fischer i Gerhard Schröder obserwują nadlatującą muchę z transparentem „Referendum w sprawie poszerzenia UE”. Muchą był Verheugen, mierzący prawie 190 cm.

Verheugen czuł się zraniony do żywego podejrzeniami Polaków, że przyhamowuje poszerzenie. Podczas jednego ze spotkań, w którym uczestniczyłam, oświadczył, iż żałuje, że nie zdecydowano się na „polityczne poszerzenie” jeszcze w latach 90. Był to pomysł częściowego członkostwa, który lansowali niektórzy politycy SPD. Nowi członkowie mieliby uczestniczyć tylko w dziedzinach politycznych, nie wymagających dostosowania ekonomicznego i prawnego. Jednak wówczas odrzucono tę propozycję jako próbę hamowania poszerzenia. Także kraje kandydujące chciały być od razu pełnoprawnymi członkami UE. Zdaniem Verheugena niesłusznie odrzucono tamten pomysł, bo teraz, jak mówił, o wiele trudniej będzie poszerzać Unię z powodu konieczności dostosowywania się do setek ustaw i norm.

Komisarz nie potrafił również powiedzieć nic konkretnego o możliwej dacie poszerzenia. Możliwe, że sondował kandydatów i kraje Piętnastki. Sprawiało to jednak dosyć żałosne wrażenie. Miałam poczucie, że Verheugen traci nadzieję. Pewne było natomiast, że traci prestiż. Dyplomaci z państw członkowskich Unii zaczęli dawać do zrozumienia, że nie biorą poważnie kolejnych wypowiedzi komisarza.

W końcu nastąpił długo oczekiwany przełom: Verheugen ogłosił strategię! Była to tzw. mapa drogowa, czyli kalendarz, zgodnie z którym państwa Piętnastki miały odtąd uzgadniać między sobą kompromisy w poszczególnych działach.

Harmonogram zakładał, że do połowy 2001 r. — a więc przed wyborami do Bundestagu w Niemczech — kraje Unii uzgodnią kwestię dostępu obywateli nowych państw członkowskich do unijnych rynków pracy. Natomiast zagadnienia dotyczące polityki regionalnej miały być rozstrzygane, gdy przewodnictwem w UE sprawować będzie Madryt. Chodziło o to, aby Hiszpanie nie mogli zbyt natarczywie bronić swoich narodowych interesów. Finał negocjacji miał nastąpić w drugiej połowie 2002 r. pod przewodnictwem Danii, bardziej przychylniej rozszerzeniu. Byłoby już po wyborach w Niemczech i Berlin mógłby złagodzić swoje stanowisko w drażliwych kwestiach, np. dopłat dla rolników.

Hiszpania próbowała storpedować ten plan, głosząc, że napisany jest pod dyktando Berlina. Komisarz przewyciężył jednak sprzeciwy i na szczycie w Nicei w grudniu 2000 r., doprowadził do przyjęcia swojej „mapy”. To jedno z jego największych osiągnięć. Dzięki temu udało się uporządkować negocjacje i znacznie przyspieszyć ich tempo.

Od tej pory w biurze komisarza na czwartym piętrze w budynku Charlemagne wieczorami często paliło się światło. Weekendy Verheugen spędzał jednak z żoną i psem Matthesem w domu, w miejscowości Brühl między Kolonią a Bonn. Filori skarżył się nieraz, że w sobotę i niedzielę trudno skontaktować się z komisarzem, który do tego stopnia chroni swoje życie prywatne, że nie pozwolił na zainstalowanie w domu faksu.

Państwa Unii wprawdzie zgodziły się na plan Güntera Verheugena, ale pojawiło się wiele głosów sceptycznych co do możliwości jego wypełnienia. Komisarz postanowił jednak przekonać niedowiarków, że „mapa drogowa” zostanie zrealizowana. Wiedział, że trzeba niekiedy patrzeć przez palce na słabości kandydatów, bo w przeciwnym razie poszerzenie należałoby odłożyć na lata. A i wówczas nie byłoby gwarancji, że kandydaci lepiej się przygotowują.

Komisarz nie uchodzi za dowcipnego, jednak jego konferencje prasowe zaczęły wywoływać rozbawienie wśród dziennikarzy. Po prostu mało kto wierzył w jego hurraoptymistyczne zapewnienia o świetnym przygotowaniu państw kandydujących. W połowie 2002 r. Verheugen przeszedł samego siebie, zapowiadając z całą powagą, że w dniu rozszerzenia będą one lepiej dostosowane do norm unijnego prawa niż obecni członkowie.

Verheugen zawsze bronił Polski. Nawet opowiadając anegdoty, chwalił nasz kraj. „Często gubię telefony komórkowe — mówił. — Jako komisarz zgubiłem już cztery: w Paryżu, Kolonii, Warszawie i Waszyngtonie. Tylko raz udało mi się zgubę odnaleźć: w Warszawie”.

Gdy nasz kraj włókł się w ogonie negocjacyjnego peletonu, Verheugen tłumaczył — wbrew oczywistym faktom — że liczba zamkniętych rozdziałów się nie liczy. Obawiał się, że jakakolwiek krytyka mogłaby zostać wykorzystana przez przeciwników poszerzenia.

Jego słabość do Polski to coś więcej niż tylko sympatia. Poszerzenie Unii bez nas oznaczałoby dla niego polityczną porażkę. Jako polityk byłby skończony.

W pewnym momencie zaczęłam obawiać się optymizmu komisarza, bo wybielając swoich protegowanych, tracił wiarygodność w oczach państw członkowskich Unii. „Verheugen? A któż to taki? Nie znam” — ironizował często pewien francuski dyplomata. Wyczuwałam irytację także u Niemców. Jeden z nich mówił mi: „Nawet najbardziej przyjazny wam komisarz nie będzie decydować o przyjęciu Polski do Unii!”

Nieraz zestawiałam wypowiedzi Verheugena z bardziej krytycznymi uwagami, które słyszałam w kuluarach unijnych instytucji. Woda i ogień. Kiedyś podczas konferencji prasowej zwróciłam uwagę, że jego pochwały pod adresem naszej administracji publicznej są sprzeczne z tym, co się słyszy z ust wielu jego własnych urzędników. Verheugen zdenerwował się, budząc zdziwienie sali prasowej w Brukseli.

— Proszę nie słuchać tanich plotek, rozsiewanych przez anonimowych urzędników bez nazwisk i twarzy. Liczy się to, co ja mówię oficjalnie. Takich pytań nie powinna pani zadawać jako dziennikarz kraju kandydującego! — Nieczęsto słyszało się, jak komisarz poucza dziennikarza, których pytań nie powinien stawiać.

— To polityk starej szkoły — stwierdził kiedyś z nutką zazdrości w głosie Filori, gdy jedliśmy lunch we włoskiej restauracji naprzeciwko budynku Komisji. Właśnie wchodził Pedro Solbes, komisarz odpowiedzialny za unię walutową, ze swoim rzecznikiem prasowym. Filori przyznał, że „jego” komisarz nigdy się z nim do tego stopnia nie spoufalił, by pójść razem z nim na obiad. Verheugen nie poklepuje swoich podwładnych po plecach, ale nie krzyczy, nie wyżywa się. „On po prostu nie lubi konfliktów — powiedział mi kiedyś jeden z podlegających Verheugenowi urzędników.

Po raz pierwszy uwierzyłam w Güntera Verheugena dopiero podczas szczytu w Goeteborgu w czerwcu 2001 r. Komisarz wymusił wówczas na Francji i Niemcach zgodę na sfinalizowanie negocjacji do końca następnego roku. Niemcy mówili mi wtedy, że Verheugen wymyka się spod kontroli Berlina. Jeden z nich stwierdził nawet, że komisarz „wykręca Schröderowi ręce”, bo nie chce zrozumieć, że z powodu wyborów do Bundestagu Berlinowi trudno będzie dotrzymać terminu zakończenia rozmów. Verheugen po raz pierwszy mi zaimponował — potrafił pokonać opór samego Schrödera!

Zaraz po szczycie w Göteborgu zaprosił wszystkich polskich korespondentów w Brukseli na lunch. „Powinniście we mnie uwierzyć!” — przekonywał.

Komisarz zaczął przygotowywać propozycję oferty finansowej dla kandydatów. 30 stycznia 2002 r. przedstawił — wbrew woli części niemieckiego rządu, a także Holandii, Szwecji i Wielkiej Brytanii — propozycję częściowych dopłat dla rolników z krajów kandydujących. W pierwszym roku mieli otrzymać jedną czwartą tego co rolnicy holenderscy czy Niemcy. Natomiast pełne dopłaty miały pojawić się w 2013 r. Niemcy byli tak oburzeni hojnością Verheugena, że w Berlinie przygotowano oświadczenie prasowe krytykujące projekt i jego samego. Publikację wstrzymano w ostatniej chwili.

Komisarz zbierał jednak cięgi od unijnych stolic, które uważały, że kandydaci otrzymają za dużo. W Polsce odezwały się natomiast głosy, że mało. Komisarz był dotknięty do żywego taką niewdzięcznością polskich polityków. Zareagował nerwowo. Nazwał kryminalistami tych, którzy rozbudzali nieuzasadnione nadzieje na pełne dopłaty. To był jeden z typowych dla Verheugena wybuchów złości.

Komisarz i jego otoczenie uważali, że polskie protesty to kolejne świadectwo niedoceniań jego wysiłków. Jeszcze pół roku później w przemówieniu, które Verheugen miał wygłosić w Warszawie, znalazło się zdanie, że „polscy rolnicy powinni trzy razy dziennie padać na kolana i modlić się, aby poszerzenie Unii się nie opóźniło”. Tylko czujność polskich dyplomatów w Brukseli i ich interwencja spowodowały, że te słowa nie zostały wypowiedziane publicznie. Byłaby to kolosalna gafa, którą z pewnością uznano by natychmiast za kpiny z polskiego katolicyzmu. Mimo śledztwa, które wówczas przeprowadziłam, nie udało mi się ustalić, który ze współpracowników komisarza napisał te słowa.

Tymczasem Verheugen darzy religię szacunkiem, bo sam jest wierzący i praktykujący. Przekonałam się o tym jesienią 2001 r. przy okazji jego spotkania z prymasem Polski Józefem Glempem. Spytałam o to bez ogródek na południowym briefingu dla prasy. Filori, nie namyślając się wiele, odpowiedział, że komisarz jest niewierzący, jest agnostykiem. Myślał prawdopodobnie, że skoro Verheugen jest socjalistą, to tak właśnie musi być. Kilka godzin później wydzwaniał do mnie, by zdementować:

— Pomyliłem się. Verheugenowi zależy, by sprostować, że jest wierzącym i praktykującym protestantem.

W połowie 2002 r., gdy negocjacje zbliżały się do końca, na komisarza skarżyli się już także jego podwładni oraz urzędnicy z innych dyrekcji Komisji. Mówili nawet o „terrorze Verheugena”. Twierdzili, że kazał im retuszować raporty i wymazywać krytyczne uwagi o kandydatach. Jeden z urzędników, któremu kazano napisać raport pod z góry przyjęte założenia, zrezygnował ze współpracy z Verheugenem.

Kiedyś wręcz osłupiałam, gdy mój bardzo dobry znajomy, odpowiedzialny w Komisji za zdrowie konsumentów, powiedział mi, wskazując na swoje biurko:

— Przechowuję tu raporty, które potem upiększa zespół Verheugena.

— Po co? — spytałam.

— Chcę mieć alibi, bo kto wie, co się będzie działo, jeżeli po rozszerzeniu dojdzie do przemytu żywności czy zatruc i trzeba będzie szukać winnych.

Taktyka Verheugena mogła rozbić się o opór w samej Komisji i krajach Unii, gdyby w ostatniej chwili jej nie zmienił: jego raport z 9 października 2002 r., oceniający przygotowanie Polski, okazał się o wiele bardziej realistyczny, niż oczekiwano. Żółte kartki dostaliśmy między innymi za korupcję i słabe przygotowanie systemu IACS, niezbędnego do wypłacania rolnikom dotacji. Verheugen rozbroił w ten sposób narastające zniecierpliwienie. Raport uznano za wiarygodny. Jednocześnie jednak komisarz podkreślał, że braki zostaną nadrobione do czasu wejścia do Unii.

Strategia Verheugena została zrealizowana. Piętnastka podczas szczytu UE w Brukseli 24 października zaakceptowała jednogłośnie jego rekomendację o przyjęciu dziesięciu krajów naraz i zakończeniu rokowań w grudniu 2002 r. Niemcy i Francja porozumiały się także w sprawie rolnictwa, przyjęto więc tym samym propozycje komisarza dotyczące wysokości dopłat. To było wielkie zwycięstwo Verheugena. Jego rola w tym momencie się jednak skończyła, o czym jeszcze wówczas nie wiedziałam.

Tuż przed finałem rokowań w Kopenhadze Verheugen sugerował, że w ciągu trzech pierwszych lat członkostwa będzie można podnieść poziom podstawy dopłat dla rolników. Okazało się to jednak niemożliwe. Sugerował też, że kandydaci mają szansę uszczknąć coś z 2 mld euro, które pozosta-

ły niewykorzystane w ramach budżetu UE na lata 2000–2006, ustalonego w Berlinie w 1999 r. Państwa członkowskie, a zwłaszcza Niemcy, nie okazały się, niestety, tak hojne. Czułam się trochę zawiedziona. Skąd ten nagły brak wycucia u komisarza? Verheugen usprawiedliwiał się dziennikarzom po zakończeniu grudniowego szczytu w Kopenhadze:

— Chciałem wykorzystać wszystkie pieniądze. Unijni przywódcy zdecydowali inaczej. Muszę to zaakceptować.

Te dwie porażki na sam koniec uczyniły w moich oczach Verheugena jeszcze bardziej ludzkim. Cóż — chciał dobrze, ale nie wyszło.

Tak jak sobie założył, komisarz zwieńczył swoją karierę finałem negocjacji. Poszerzenie stało się dziełem jego życia. Wyzbył się towarzyszącego mu przez lata poczucia, że jest niedoceniany. Zwłaszcza odkąd jeden z naszych negocjatorów wspomniał, że trzeba będzie mu wybudować w Polsce pomnik.

Praca bez granic

Mijający nas przechodzień nie ukrywał zdziwienia. Odwrócił się nawet, by lepiej nam się przyjrzeć. Nic dziwnego — musieliśmy wyglądać dość podejrzanie, stojąc o północy na przystanku autobusowym Palmerston przy skwerze Ambiorix, szepcząc i skrzętnie notując coś w zeszytach.

Tak wyglądało spotkanie czworga polskich korespondentów z członkiem rządowej delegacji, negocjującej w Brukseli swobodny przepływ osób, czyli dostęp Polaków do unijnych rynków pracy. Za kilka tygodni, 29 lipca 1999 roku, Polska miała złożyć w Brukseli dokumenty określające stanowisko negocjacyjne w tej sprawie. Od dawna było wiadomo, że będziemy domagać się możliwości podejmowania pracy w innych krajach Unii z pierwszym dniem członkostwa, toteż nasza dziwna grupka musiała się ukrywać wcale nie z powodu tajności przekazywanych informacji. Przyczyną było to, że szefowa delegacji, wiceminister pracy Irena Boruta, postanowiła unikać brukselskich dziennikarzy i nakazała to samo członkom swej ekipy. Winiła nas za własną wpadkę, kiedy to jeszcze przed oficjalnym rozpoczęciem negocjacji ujawniła, że Warszawa gotowa jest zaakceptować nawet pięcioletnie restrykcje w swobodnym przepływie osób.

Tego wieczora umówiła się z nami na spotkanie w hotelu Euroflat, w którym zatrzymywali się zazwyczaj polscy negocjatorzy. Zastaliśmy jednak tylko pozostawiony dla nas suchy komunikat, z którego nic nie wynikało. Czekaliśmy kilka godzin. Minister nie wracała. W końcu jeden z członków jej delegacji podjął decyzję. „Zgodnie z prawem prasowym nie mogę ukrywać informacji przed społeczeństwem, ale muszę się ukryć

przed panią minister”. oznajmił. Na miejsce potajemnego spotkania wybraliśmy przystanek autobusowy, bo w świetle jarzeniówki można było robić notatki.

Negocjacje w sprawie pracy od początku do końca towarzyszyły obawy, i to z wielu stron. Niemcy bali się o swoje miejsca pracy, a rząd kanclerza Schrödera lękał się, że przegra wybory we wrześniu 2002 roku, jeżeli nie będzie dość twardy. Kolejne polskie rządy obawiały się natomiast powiedzieć społeczeństwu, że trzeba się zgodzić na restrykcje, bo taka jest cena naszego członkostwa w Unii.

Prawo swobodnego podejmowania pracy było bardzo ważne i dla mnie osobiście. Pamiętałam, jak w czasach komunizmu, mając osiemnaście lat, stałam w niekończącej się kolejce po paszport, by wyjechać do Francji, do pracy w charakterze opiekunki starszej osoby. Członkostwo w Unii miało oznaczać przekreślenie tamtego złego okresu.

Po raz pierwszy jakiś aspekt negocjacji poruszył całą Piętnastkę. Byłam świadkiem zażartych sporów wewnątrz Unii. Doświadczeni negocjatorzy uprzedzali mnie, że zanim przystąpimy do gry, Piętnastka musi uzgodnić jej reguły we własnym gronie. I tak się faktycznie stało. Do połowy 2001 roku, gdy UE uchwaliła wreszcie swoje stanowisko negocjacyjne w sprawie pracy — jak w skrócie określano ten problem — Polska była tylko obserwatorem lub co najwyżej komentatorem. Do gry przystąpiliśmy w czerwcu, a zakończyliśmy ją w grudniu 2001 roku.

W rozgrywkach wewnątrz Unii duże kraje często wysługują się mniejszymi. W zamian za poparcie w innej sprawie rzecznikiem interesów Francji bywa na przykład Belgia, a interesów Niemiec — Austria. I to właśnie nią w pierwszej fazie rokowań w sprawie pracy posługiwali się Niemcy. Od austriackich dyplomatów dowiedziałam się na początku maja 2000 roku, że Wiedeń chce, by we wspólnym stanowisku UE znalazło się stwierdzenie, iż sprawa przepływu pracowników jest dla Piętnastki drażliwa i będzie podlegać dalszym negocjacjom. Była to pierwsza zapowiedź przyszłych restrykcji.

Przyjęcie wspólnego stanowiska przez państwa Unii miało umożliwić 26 maja formalne otwarcie rokowań w tym dziale. Ambasador Austrii przy UE, Gregor Woschnagg, po ukazaniu się w polskiej prasie kilku artykułów na ten temat, zwołał konferencję prasową.

— Cztery do pięciu milionów osób z Europy Środkowej i Wschodniej żyje w pobliżu austriackiej granicy, dlatego najbardziej z całej Piętnastki narażeni jesteśmy na imigrację zarobkową. Wiedeń i Bratysławę dzieli raptem sześćdziesiąt pięć kilometrów. Słowacy mogą mieszkać u siebie i dojeżdżać do pracy w Wiedniu! — lamentował.

Niemieccy dyplomaci milczeli. Wiedziałam, że coś wisi w powietrzu. Następny ruch zrobili jednak nie Niemcy, lecz Hiszpanie. Podczas debaty w Radzie UE okazało się, że sprzeciwiają się zapisowi o drażliwości negocjacji w sprawie przepływu osób. Twierdzili, że kwestia pracy jest może drażliwa dla Niemców, ale nie dla nich, bo oni potrzebują robotników. I zaczęli blokować debatę nie tylko na temat tego działu negocjacji, ale i w sprawie budżetu.

Tak Madryt po raz pierwszy powiązał te dwa działy rokowań, które z formalnego punktu widzenia nie miały ze sobą nic wspólnego. Szybko stało się jasne, że w zamian za zgodę na restrykcje, na których zależy Berlinowi, Hiszpania chce otrzymać zapewnienie, że jej ubogie regiony nie stracą na poszerzeniu Unii.

Pojawiło się niebezpieczeństwo opóźnienia otwarcia rokowań w sprawie swobodnego przepływu osób. Z przeciągającej się debaty ambasadorów wyszedł wieczorem hiszpański ambasador przy UE, Francis Elorza, i zwołał dziennikarzy z krajów kandydujących. Elorza uchodził za najinteligentniejszego i najdowcipniejszego wśród ambasadorów przy Unii. Uczestniczył w negocjacjach, gdy w połowie lat 80. do Wspólnoty przystępowała Hiszpania, prawo unijne miał więc w małym palcu. I jak mało kto znał się na negocjacyjnych sztuczkach.

— Jeżeli już dzisiaj zgodzimy się na zapis o drażliwości, to oznacza to de facto zgodę na przyszłe restrykcje w tej dziedzinie — mówił do nas. — Tego przecież nie chcecie?

Elorza próbował zaprezentować się jako obrońca interesu krajów kandydujących. Na koniec wytoczył najcięższe działa, ujawniając nam przebieg toczących się właśnie poufnych obrad ambasadorów, a nawet wręczając kopię dyskutowanego właśnie kompromisowego projektu ustaleń. Twierdził, że to Niemcy blokują rozmowy.

Tego spotkania z nami nie mogli wybaczyć Elorzcie niemieccy dyplomaci.

— To po prostu śmieszne, nikt nie może mi zabronić rozmawiać z prasą! — wykrzykiwał Elorza.

— Ale niech pan nie nastawia polskich dziennikarzy przeciwko nam! — unosił się niemiecki ambasador.

Kilka miesięcy później Elorza został mianowany ambasadorem w Paryżu. Spotkaliśmy się potem na szczycie Piętnastki w Nicei, w grudniu 2000 roku. Francja zaproponowała wtedy, byśmy w Radzie UE mieli mniej głosów od Hiszpanii, a stanowisko Niemiec w tej sprawie nie było z początku jasne.

— Znowu kiwają was wasi najlepsi przyjaciele — powiedział mi Elorza z typowym dla siebie szelmowskim uśmiechem. — Ale walczcie twardo!



Swoboda podejmowania pracy w Niemczech przez obywateli nowych krajów UE była największym problemem politycznym rządu kanclerza Gerharda Schrödera.

Kompromis w sprawie pracy w końcu osiągnięto. Negocjacje w tej dziedzinie rozpoczęły się zgodnie z planem. Tymczasem wciąż brakowało konkretów. Berlin milczał; spekulowano, że może zażądać nawet dziesięciu lub więcej lat restrykcji dla naszych pracowników.

— Dlaczego chowacie się za plecami Wiednia? — pytałam Niemców.

— Gdy przyjdzie czas, przedstawimy nasze stanowisko i będzie to stanowisko ostateczne — słyszałam w odpowiedzi.

18 grudnia 2000 roku kanclerz Schröder wygłosił w Weiden, niedaleko granicy z Czechami, przemówienie, w którym mówił o potrzebie wprowadzenia elastycznych siedmioletnich ograniczeń z możliwością rewizji po pięciu latach.

Polscy korespondenci w Niemczech przegapili tę wypowiedź. My w Brukseli zrozumieliśmy, że gra rozpoczęła się na poważnie.

Proponowany okres przejściowy był krótszy niż się spodziewałam, a nasz główny negocjator Jan Kułakowski — który akurat był w stolicy Belgii na międzynarodowej konferencji na temat poszerzenia Unii — nie sprawiał wrażenia zaskoczonego. Prawdopodobnie Niemcy uprzedzili Warszawę, jakże zajmą stanowisko.

W Polsce zawrzało dopiero nazajutrz, po naszych korespondencjach z Brukseli. Przedstawiciele rządu — w tym minister Kułakowski — jeszcze poprzedniego dnia zachowujący spokój, zaczęli używać mocnych, emocjonalnych określeń: „Nie chcemy być w Unii obywatelami drugiej kategorii”, „Tu chodzi o prawa człowieka”, „To dyskryminacja”. Z jednej strony powstało wrażenie, że dzieje nam się wielka krzywda, z drugiej stworzono nadzieję, że coś da się jeszcze wytargować.

Tymczasem trudno tu mówić o dyskryminacji, skoro podobne restrykcje obowiązywały przy poprzednich rozszerzeniach Unii. W wypadku Hiszpanii skrócono je po kilku latach. Zapytałam więc znajomego hiszpańskiego dziennikarza, czy czuł się wówczas dyskryminowany.

— Ależ skąd — odparł — Dla nas najważniejszy był skok cywilizacyjny i pieniądze, które mieliśmy otrzymać z Unii.

Jednak uległam wówczas nieco histerycznej atmosferze.

— Jak pan w tej sytuacji wytłumaczy Polakom, że nie będą w Unii członkami drugiej kategorii? — pytałam niemieckiego ambasadora przy UE, Wilhelma Schönfeldera.

— Wy prosicie o długi okres przejściowy na ochronę ziemi przed wykupem przez cudzoziemców i nikt nie mówi, że z mieszkańców Unii chcecie zrobić obywateli drugiej kategorii — odpowiadał ambasador.

— Ale ziemia i ludzie to nie to samo! — oponowałam.

— To jest dokładnie to samo — mówił podenerwowany ambasador.
— Obie sprawy dotyczą funkcjonowania jednolitego rynku.

Nerwowość była jeszcze bardziej widoczna podczas spotkania grupy polskich korespondentów z przewodniczącym Komisji Europejskiej, Romano Prodim, które odbyło się na początku marca 2001 roku, w przededniu wizyty przewodniczącego w Polsce. Komisja Europejska przedstawiła właśnie Radzie UE dokument zawierający pięć wariantów rozwiązania

problemu pracy. Było jednak jasne, że Bruksela przychyliła się do stanowiska Berlina, zamiast bronić zasad europejskiego prawa, które nie przewiduje żadnych ograniczeń. W pewnym momencie rozmowa z Prodim przerodziła się właściwie w utarczkę między mną a przewodniczącym.



Romano Prodi od samego początku popierał rozszerzenie Unii.

— Dlaczego zawsze polscy dziennikarze pytają mnie, dlaczego Polska traktowana jest gorzej od innych — wołał w uniesieniu Prodi. — Wy zawsze jesteście przekonani, że robimy coś przeciwko Polsce! Od dawna współpracujemy, a wy macie wciąż mentalność prześladowanego! To musi się kiedyś skończyć!

Gdy zadałam kolejne, niewygodne dla Komisji pytanie, Prodi prawie wrzasnął:

— Jesteście wariatami!!!

Uznałam ten wybuch za przejaw południowego temperamentu przewodniczącego, natomiast w kancelarii premiera Buzka, jak mi później opowiadano, po opublikowaniu przeze mnie wywiadu gorączkowo zastana-

wiano się, czy Prodi nazwał „wariatami” Polaków w ogóle, czy tylko dziennikarzy w Brukseli. Od tego mógł zależeć przebieg jego wizyty w kraju.

W całym tym zamieszaniu prawie nikt nie dostrzegł czyhającej na nas pułapki. W dokumencie Komisji znalazła się propozycja zróżnicowania długości restrykcji. Polaków miałby objąć dłuższy okres przejściowy niż na przykład Słowenów, Węgrów lub innych kandydatów. Nikt już nie owijał w bawełnę — Niemcy i Austria najbardziej bały się napływu siły roboczej z Polski.

— To oznacza, że po wejściu do Unii Węgier będzie mógł wcześniej pracować w Niemczech niż Polak — denerwował się Jacek Safuta, korespondent PAP-u, który pierwszy zauważył to niebezpieczeństwo.

Bezskutecznie próbowaliśmy uzyskać wyjaśnienia. Polscy dyplomaci nie byli pomocni. Właściwie nawet nie wiedzieliśmy, czy zdają sobie sprawę z zagrożenia. Konkret dotyczący niemieckiego stanowiska udało nam się uzyskać dopiero pod koniec marca, na nieformalnym szczycie UE w Sztokholmie. I to nie bez trudności, zorientowaliśmy się bowiem, że nikt z polskich dziennikarzy obecnych w sali prasowej nie mówi po niemiecku, a kanclerz Schröder — jak ostrzegali nas jego rzecznicy — nie odpowiada na pytania zadawane po angielsku czy francusku.

Cóż było robić? Od kilku miesięcy uczyłam się niemieckiego, uzgodniłam więc, że wkuję na pamięć pytanie i zadam je podczas konferencji, licząc w razie wpadki na pomoc kogoś ze znajomych niemieckich dziennikarzy. Na szczęście, gdy zbliżał się ten ryzykowny moment, pojawiła się korespondentka Telewizji Polskiej w Sztokholmie, Monika Sieradzka, która znała język kanclerza. Dla mnie oznaczało to koniec stresu. Od Schrödera zaś uzyskaliśmy zapewnienie, że „byłoby niedobrze, gdyby kraje kandydujące traktowane były w różny sposób”. Tym samym skończyły się spekulacje na temat ewentualnej dyskryminacji Polaków. Drugą falę emocjonalnej krytyki wywołała w naszym kraju propozycja stanowiska negocjacyjnego Unii, przedstawiona tuż przed świętami Wielkiejnocy w 2001 roku przez komisarza do spraw, poszerzenia Güntera Verheugena. Była ona prawie taka sama jak stanowisko Berlina. Przewidywała pięć lat elastycznych restrykcji z możliwością przedłużenia do siedmiu. Polska zareagowała najgwałtowniej ze wszystkich krajów kandydujących.

— Jeżeli chcecie pełnej swobody podejmowania pracy, do Unii wejście dopiero w 2012 roku — ripostował w ostrym tonie komisarz, zazwyczaj bardzo łagodnie usposobiony.

Unijni dyplomaci w grupie do spraw poszerzenia Rady UE przyjęli propozycję Verheugena niechętnie.

— To kompromitacja i wstyd, że komisarz nie zachował nawet cienia niezależności wobec kraju, z którego pochodzi, tylko powtarza stanowisko Berlina — krytykował Niemca jeden z francuskich dyplomatów.

Komisarz był jednak po prostu realistą. Rozumiałam to, bo przeprowadziłam wiele rozmów z niemieckimi dyplomatami. Aby lepiej poznać stanowisko Niemiec, polecałam nawet specjalnie do Berlina. Wspólnie z Tomkiem Lejmanem, korespondentem RMF FM w stolicy Niemiec, odpytywaliśmy urzędników w tamtejszym MSZ. Jedną z urzędniczek (przypominała mi moją ciocię z Częstochowy, bo nosiła obficie haftowany biały kołnierzyk) przyznała prywatnie, że restrykcje na pracę to głupota, bo żadnego zalewu tanią siłą roboczą z Polski nie będzie. Tłumaczyła jednak, że ograniczenia pomogą przekonać niemieckie społeczeństwo do przyjęcia Polski do Unii. Faktycznie — ze wszystkich sondaży wynikało, że to właśnie Niemcy i Austriacy są najbardziej niechętni wejściu nowych państw do UE.

Urzędniczka nie ukrywała też, że restrykcje mają pomóc Gerhardowi Schröderowi w wygraniu nadchodzących wyborów. Uzyskanie okresu przejściowego zostało zapisane w umowie koalicyjnej niemieckiego rządu, a na kanclerza naciskały związane z nim silne związki zawodowe.

Miałam jednak wrażenie, że urzędnicy berlińskiego MSZ-u trochę wstydzą się własnych żądań. Owa niemiecka „ciocia”, która szybko zyskała nasze zaufanie, powiedziała nam, że także Niemcy będą musiały nieco ustąpić w tych negocjacjach. Był to dla mnie pierwszy sygnał, że siedmioletnie restrykcje mogą zostać złagodzone przez rozbitcie na trzy podokresy. Niektóre kraje będą mogły z nich zrezygnować już po dwóch, inne — po pięciu latach. Tego domagali się członkowie Unii niezadowoleni ze stanowiska Berlina. Szwecja, Dania, Irlandia i Holandia już ogłosiły, że w ogóle nie będą stosować ograniczeń.

— Może jeszcze przed upływem siedmiu lat uda się skrócić restrykcje nawet w Niemczech — zastanawiała się „ciocia”. — Będzie już przecież po wyborach i zaczną się liczyć racje obiektywne, a nie polityczne. Sam

Schröder zapowiedział zresztą, że do 2010 roku Niemcy będą musiały całkowicie otworzyć swój rynek pracy dla obcokrajowców ze względu na starzenie się niemieckiego społeczeństwa i brak rąk do pracy.

Spotkaliśmy się także z Joachimem Bleickerem, od lat zajmującym się w niemieckim MSZ-ecie Polską, mówiącym po polsku i darzącym nasz kraj dużą sympatią. Bleicker urzędował w malutkim, odnowionym pokoiku, który znajdował się w tej części budynku MSZ-u, który był jeszcze kilkanaście lat temu siedzibą Biura Politycznego SED, komunistycznej partii NRD. Miałam wrażenie, że fotele, w których usiedliśmy, pochodzą z tamtych czasów. Sporo emocji zafundowała mi też starodawna winda, z której trzeba było wyskakiwać w biegu, bo nie zatrzymywała się na żadnym piętrze.

Bleicker zaskoczył nas miło, mówiąc, że zna nas z naszej pracy dziennikarskiej. W sumie było bardzo sympatycznie, ale powiedział on także, że choć osobiście nie zgadza z koncepcją restrikcji, wejdziemy do Unii tylko jeśli je zaakceptujemy.

Wychodząc z ministerstwa, natknęliśmy się na polską sprzątaczkę, panią Joasię. Jak mi powiedziała, pracuje tutaj legalnie. W drodze do domu Tomek Lejman pokazywał mi stojące na ulicy w pobliżu licznych placów budowy metalowe kontenery, ustawione jeden na drugim. Mieszkają w nich Polacy. To oni budują Berlin. Według niemieckich dyplomatów milion obcokrajowców (w tym czterysta tysięcy Polaków) już pracuje w ich kraju, podczas gdy liczba bezrobotnych Niemców sięga czterech milionów. Kanclerz Schröder obiecywał ją radykalnie zmniejszyć, co mu się jednak zupełnie nie udało. Kwestia bezrobocia stała się w Niemczech jednym z najdrażliwszych tematów polityki wewnętrznej.

W czasie, gdy w grupie do spraw poszerzenia dyplomaci niższego szczebla uzgadniali szczegóły okresu przejściowego, w stolicy Hiszpanii przygotowywano szantaż wobec Niemiec. Był już prawie koniec kwietnia, gdy Madryt przekazał pozostałym krajom Piętnastki memorandum w sprawie poszerzenia. Hiszpania znowu poruszyła w nim problem swoich mniej zasobnych regionów. Po przystąpieniu do UE uboższych krajów regiony te zostałyby automatycznie zaliczone do bogatszych, którym nie należy się pomoc z brukselskiej kasy. Madryt nazwał to „efektem statystycznym”. Hiszpanie dość otwarcie zaproponowali powiązanie negocjacji w drażliwych działach, czyli pracy i polityki regionalnej. Innymi słowy, chcieli zmu-

sić Niemców do zwiększenia wpłat do unijnego budżetu w zamian za swoją zgodę na restrykcje w dostępie do unijnych rynków pracy.

Atmosfera stała się gorąca. Madryt popierały po cichu kraje południa Europy, takie jak Portugalia, Włochy i Grecja, których ubogie regiony także sporo korzystają na unijnej hojności. Paryż zajmował stanowisko wyczekujące. Zanosilo się na negocjacyjny pat, tymczasem, aby dotrzymać terminów zapisanych w kalendarium rozszerzenia, kompromis w sprawie pracy należało osiągnąć najdalej do czerwcowego szczytu UE w Göteborgu.

— Restrykcje na pracę są poniżające dla kandydatów. Mówię to na podstawie doświadczeń Hiszpanii, której także narzucono siedmioletnie ograniczenia — podgrzewał atmosferę nowy hiszpański ambasador, Javier Conde, na ściśle poufnym lunchu ambasadorów, w którym uczestniczył także komisarz Verheugen.

Do przesilenia doszło 14 maja 2001 roku podczas spotkania szefów dyplomacji Piętnastki w Justusie Lipsiusie. Hiszpański minister Josep Pique postanowił pójść na całość. Grecja i Portugalia przestały popierać Madryt,



Szef hiszpańskiej dyplomacji Josep Pique zablokował negocjacje w sprawie dostępu do unijnych rynków pracy, twierdząc, że leży to w interesie kandydatów.

który mimo to zdołał zablokować przyjęcie wspólnego stanowiska UE. Nie pomogły apele komisarza Verheugena, przypominającego, że może to opóźnić cały proces poszerzenia Unii.

Hiszpańscy i niemieccy dyplomaci niemal wyrwali sobie dziennikarzy z krajów kandydujących. Chodziło o to, jakie tytuły ukażą się nazajutrz w gazetach, zwłaszcza polskich. Hiszpanie znowu chcieli nas uwieść. Pique na specjalnie dla nas zorganizowanej konferencji prasowej w płomiennych słowach zapewniał, że walczy w naszym imieniu.

Gdy jednak mówił o funduszach pomocowych dla swojego kraju, ton chciwości był aż nazbyt widoczny. W dodatku popełnił błąd, wracając do pomysłu, jak nam się wydawało, pogrzebanego kilka miesięcy wcześniej w Sztokholmie, by zróżnicować długość restrykcji wobec poszczególnych kandydatów. A już zupełnie przypadkiem następnego dnia oficjalną wizytę w Polsce rozpoczynał król Hiszpanii Juan Carlos. Co przeczytał w prasie? Najlepszy był tytuł na czołówce „Gazety Wyborczej”: „Hiszpański szantaż”. Wynikła z tego niemal afera dyplomatyczna. Król rozmawiał na ten temat z prezydentem Aleksandrem Kwaśniewskim i premierem Jerzym Buzkiem. MSZ w pośpiechu zwołało konferencję prasową, z której wynikało, że brukselscy korespondenci jak zwykle przesadzili, a Polska „docenia hiszpańskie wysiłki w walce o nasze prawo do pracy...”. Był to szczyt hipokryzji.

Trwał negocjacyjny impas. W dodatku mniej więcej w tym czasie Niemcy i Austriacy zorientowali się, że ograniczenia w swobodzie przepływu pracowników nie dotyczą usług (np. budowlanych czy rzemieślniczych). Niemcy bali się, że robotnicy z Polski czy innych krajów będą mogli omijać unijne restrykcje w bardzo drażliwym z ich punktu widzenia sektorze budowlanym, podając się za usługodawców. Rząd Schrödera obawiał się też, że tę lukę wykorzysta w swojej kampanii wyborczej opozycyjna CDU, z którą związane jest lobby rzemieślników. Austriacy przypominali, że sygnalizowali ten problem, gdy zamykano negocjacje w dziale usługi.

Wraz z Jasiem Ostoją-Ostaszewskim, pracującym dla EuroPAP-u (internetowej wersji Polskiej Agencji Prasowej poświęconej Unii) wykryliśmy, że ambasador Komisji Europejskiej w Berlinie przesyła do Brukseli e-maile informujące, że Niemcy gotowi są ponownie otworzyć zamknięte już negocjacje w tym dziale. Byłoby to pierwsze takie wydarzenie w historii negocjacji członkowskich. „Byłby to precedens, który mógłby pociągnąć za

sobą kolejne podobne kroki, w konsekwencji opóźniając poszerzenie Unii” — alarmowałam w moich tekstach. Niemców to irytowało. Znaleźli jednak rozwiązanie. Do rozdziału o pracy Wiedeń i Berlin dołączyły po prostu czarną listę usług. Austriacy wpisali na nią, obok usług rzemieślniczych, także hotelarskie, a nawet szewskie oraz... masaż. Rzecznik niemieckiego przedstawicielstwa przy UE triumfował: „A nie mówiłem, że robi pani fałszywy alarm?”

Rzeczywiście — Niemcy nie utworzyli na nowo negocjacji w dziale usługi, ale dostali przecież to, czego chcieli.

Hiszpanie natomiast przeliczyli się. Tym razem zawiodła stosowana przez nich od lat taktyka wymuszania na Niemcach pieniędzy szantażem. Berlin odczuwał już pierwsze skutki zapaści gospodarczej, a wyrównywanie poziomów życia między landami zachodnimi i wschodnimi okazało się trudniejsze, niż przypuszczano. Schröder nie mógł sobie pozwolić na żadne ustępstwo, które prasa niemiecka zinterpretowałaby jako zapowiedź zwiększenia wkładu do unijnego budżetu. Niemcy wpłacają bowiem od lat dziesięć miliardów euro więcej do unijnego budżetu, niż z niego otrzymują.

W dodatku między Schröderem a hiszpańskim premierem José Marią Aznarem nie najlepiej się układało od czasu grudniowego szczytu w Nicei. Wbrew niemieckim naciskom, by w sprawie budżetu Unii obowiązywało głosowanie większościowe, Hiszpanie wywalczyli utrzymanie zasady jednomyślności podczas kolejnej debaty budżetowej. To dawało im prawo weta. Dla Niemców był to dodatkowy argument, aby nie ustępować ani na krok.

Pod koniec maja 2001 roku Hiszpanie znaleźli się w izolacji. Sypały się na nich oskarżenia, że blokują historyczny proces poszerzenia. Był to już czas, gdy popieranie przystąpienia nowych państw do UE weszło do kanonu politycznej poprawności. Żaden kraj nie chciał uchodzić za hamulcowego.

Po dwóch tygodniach Madryt ustąpił, nie uzyskawszy nic w zamian. Przewodniczący wtedy Unii Szwedzi byli uradowani. Koniec blokady oznaczał, że zdołają przedstawić kandydatom unijne stanowisko w sprawie pracy. Negocjacje mogły się wreszcie rozpocząć, chociaż trudno było sobie wyobrazić, by uzgodnione z takim trudem stanowisko mogło w ich trakcie ulec jakimś zmianom.

Odblokowanie rokowań dawało nadzieję, że na czerwcowym szczycie UE w Göteborgu uda się podać datę zakończenia negocjacji

i poszerzenia. Szwedzi jednak nie mówili o tym głośno. Woleli prowadzić poufne rozmowy z komisarzem Verheugenem i jego dyrektorem generalnym, Eneko Landaburu. Uczestniczył w nich ambasador Królestwa Szwecji przy UE, Gunnar Lund i szwedzki dyplomata, reprezentant w grupie do spraw poszerzenia, Christian Danielsson. Cała trójka rozumiała się doskonale. Do tego stopnia, że prawie rok później Danielsson rozpoczął pracę w Komisji Europejskiej, gdzie objął funkcję zastępcy szefa gabinetu Verheugena.

Ta zgrana ekipa doszła do wniosku, że jeżeli jeden albo dwa kraje kandydujące zaakceptują restrykcje w dostępie do rynków pracy, to wówczas państwa członkowskie — zwłaszcza Niemcy i Francja — będą pod większą presją, by zaakceptować wyznaczenie daty końca całych negocjacji. Do tego potrzeba było jednak błyskawicznej zgody któregoś z kandydatów. Na Polskę nie można było liczyć, bo zajmowała najtwardsze stanowisko; zresztą, zbliżały się wybory i ustępstwo nie wchodziło w grę. Gotowi przyjąć unijne restrykcje praktycznie od razu byli natomiast Węgrzy, którzy chcieli trwać w czołówce i utrzymać dystans wobec spóźniającej się Warszawy. Niektórzy w Budapeszcie łudzili się, że Węgry będą mogły wejść do UE wcześniej, nie czekając na ich zdaniem gorzej przygotowanego i opóźniającego marsz polskiego „bratanka”. Gdyby zgodzili się na ograniczenia w swobodnym dostępie do pracy, mieliby dwadzieścia zamkniętych działów, a my tylko szesnaście. Ponadto sprawa pracy nie budziła na Węgrzech emocji. Węgierscy dziennikarze tłumaczyli mi, że ich rodacy niechętnie opuszczają kraj w poszukiwaniu zajęcia za granicą.

Szwedzko-komisyjna grupa, chcąc ułatwić Węgom podjęcie decyzji, podszeptała im, że mogą zażądać możliwości stosowania takich samych restrykcji wobec obywateli innych krajów UE. Sami przygotowali teren pod zgodę całej Piętnastki.

— Zgadzam się na unijne warunki — mówił podczas rundy negocjacyjnej węgierski negocjator Endre Juhasz. — Trudno byłoby jednak ze względów politycznych wyjaśnić naszemu społeczeństwu, że Austriacy mogą u nas swobodnie pracować, podczas gdy Węgrzy nie mają swobody podejmowania pracy w Austrii.

Nie minęło pięć minut, a na moją komórkę zadzwoniła hiszpańska dyplomatką.

— To świetny ruch ze strony Węgrów — mówiła podekscytowana. — Musicie zrobić to samo. Jeżeli wszyscy zażądacie wzajemności restrykcji, to Niemcy się przestraszą i skrócą okres obowiązywania ograniczeń, jakiego się domagają.

W pierwszej chwili niemieccy dyplomaci rzeczywiście byli jakby podenerwowani. Szybko jednak okazało się, że wzajemność restrykcji nie będzie mieć dla Unii większych konsekwencji. Węgrom dawała natomiast psychiczny komfort — wrażenie, że udało im się coś wytargować. I o to właśnie chodziło. Niemcy i Austriacy uznali, że nie ma się o co spierać, bo kandydaci, którym zależy na inwestycjach, i tak nie zastosują ograniczeń na zasadzie wzajemności.

W ten sposób na początku czerwca 2001 roku Węgry ustąpiły jako pierwsze, zachowując twarz. Następni byli Czesi, którzy wynegocjowali, że wzajemność mogą stosować także wobec Polaków i obywateli innych nowych krajów członkowskich. Oznaczało to, że jeżeli Niemcy będą utrzymywać ograniczenia na pracę dla Polaków, to takie same ograniczenia wobec nas może stosować Praga (na wypadek, gdyby strumień polskich robotników zamiast do Niemiec miał popłynąć do Czech). Takie rozwiązanie zostało wprowadzone zaakceptowane przez Piętnastkę, ale skompromitowało Czechów wśród unijnych dyplomatów.

— To głupota, w ten sposób przenosić unijne problemy i lęki na stosunki między kandydatami — krytykował jeden ze Szwedów.

To były jedyne i ostatnie ustępstwa — w dużej mierze wyreżyserowane — na jakie w tych rokowaniach gotowa była Unia Europejska. Następny ruch należał do nas.

Komisja Europejska, proponując kandydatom jeszcze w kwietniu siedmioletni okres ochrony ziemi rolnej i lasów przed wykupem przez cudzoziemców, sugerowała „handel wymienny”. Nie mówiono tego otwarcie, jednak zbieżność długości proponowanych ograniczeń w „pracy” i „ziemi” była ewidentna. Dla Polski nie brzmiało to jednak zachęcająco, bo chcieliśmy, by nasza ziemia była chroniona znacznie dłużej — przez osiemnaście lat.

Ówczesny szef UKIE, Jacek Saryusz-Wolski, sądził, że zgodę na unijne restrykcje w podejmowaniu pracy powinniśmy drogo sprzedać za konkretne pieniądze na rolnictwo (wyższe dopłaty) lub większą pomoc dla ubogich

regionów (czyli nowe miejsca pracy). Uważał, że ograniczenia w pracy to jedyna w całych negocjacjach rzecz, na której naprawdę zależy Niemcom. Trzeba to wykorzystać i całą sprawę zawrzeć w końcowym pakiecie negocjacji, gdy będziemy targować się o pieniądze.

Główny negocjator, Jan Kulakowski, raczej nie widział szans na taki manewr. Regułą tych rokowań — wprowadzoną przez Verheugena — było bowiem niewiązanie spraw, które nie miały ze sobą nic wspólnego, żeby nie doszło do zapętlenia, z którego trudno byłoby wyjść. Dlatego stosowano metodę zamykania rozdziałów negocjacyjnych jeden po drugim. Tylko na koniec miał zostać pakiet dotyczący spraw finansowych, a więc rolnictwa, budżetu i polityki regionalnej. Premier Jerzy Buzek popierał jednak stanowisko szefa UKIE.

Tylko że w tym czasie Polska znalazła się na końcu pod względem liczby zamkniętych rozdziałów. Deptała nam po piętach nawet Słowacja, która rozpoczęła rokowania dwa lata po nas. Roszczeniowe stanowisko Polski było coraz trudniejsze do obronienia.

Na kwietniowe posiedzenie szefów dyplomacji Piętnastki w Luksemburgu (przez dwa miesiące w roku posiedzenia ministrów UE odbywają się tam zamiast w Brukseli) pojechaliśmy z Jasiem Ostoją-Ostaszewskim tylko we dwójkę. Inni dziennikarze się nie wybierali; nie zanosilo się na żadne rewelacje. Zastanawialiśmy się nawet, czy faktycznie nie marnujemy czasu. Na miejscu zorientowaliśmy się szybko, że ministrowie, mówiąc o poszerzeniu UE i postęпах kandydatów, w ogóle nie wymieniają Polski. Na konferencji prasowej zapytałam o to Annę Lindt, minister spraw zagranicznych Szwecji, która przewodniczyła wówczas Unii. Pani minister dała do zrozumienia, że wyznaczenie dat członkostwa na szczycie UE w Göteborgu należy się tym kandydatom, którzy poczynili ostatnio znaczne postępy. Wymieniła Słowenię, Czechy, Węgry, Estonię i Cypr. Nie wymieniła Polski. Teraz już poważnie się zaniepokoiłam.

Chwilę później podbiegł do mnie niemiecki dziennikarz.

— Popatrz! — Wyraźnie podenerwowany, wręczył mi tekst przemówienia Verheugena, ogłoszonego za zamkniętymi drzwiami. — Komisarz także nie wspomina o Polsce, sugeruje natomiast wyznaczenie dat członkostwa na szczycie w Göteborgu.

Czyżby Polska wypadła z pierwszej grupy kandydatów, dla których zostanie wyznaczona data wstąpienia do UE? Co do Szwedów nie miałam złudzeń. Zwłaszcza w pierwszych miesiącach swojego przewodnictwa popierali tak zwane małe poszerzenie, bez Polski. Nie chcieli, żebyśmy, spóźniając się w negocjacjach, blokowali przyjęcie państw bałtyckich, z którymi mieli uprzywilejowane stosunki. Kiedyś niemal wprost powiedział mi to ambasador Lund. Sztokholm ciągnął więc za uszy nie najlepiej sobie radząca Litwę, Estonię natomiast reklamował jako „gwiazdę Północy” i przykład dla innych. Ale komisarz Verheugen? Czyżby i on w nas zwątpił?

Wystąpieniem komisarza zaskoczeni byli nawet niektórzy dyplomaci. Wobec tego zdecydowaliśmy z Jasiem, że trzeba wysłać poważne ostrzeżenie. On nadał depeszę o tym, że „Polska wypadła z unijnej debaty”, ja informowałam, że „spadliśmy do drugiej grupy kandydatów”.

Następnego dnia rozżalony rzecznik Verheugena robił mi wyrzuty:

— Jak mogłaś tak zinterpretować przemówienie komisarza? Przecież wiesz, jak bardzo on popiera członkostwo Polski!

Odparłam, że może była to chwila zwątpienia. Jednak następnego dnia „Financial Times” także napisał, że fakt, iż Verheugen w swoim przemówieniu nie wymienił Polski, należy uznać za znaczący. Poszerzenie bez nas było najbardziej prawdopodobne właśnie za szwedzkiej prezydencji. Mówiło się o tym także, gdy od lipca 2001 roku przewodnictwo w UE przejęli od Szwedów Belgowie. Belgia obawiała się, że przyjęcie nieprzygotowanej Polski może rozsądzić unijne struktury. Gorsze od nas pod względem liczby zamkniętych rozdziałów były wówczas tylko Rumunia i Bułgaria, które same deklarowały, że chcą wejść do Wspólnoty dopiero w 2007 roku.

W tym czasie niemieckie poparcie dla polskiego członkostwa zostało wystawione na ciężką próbę. Jeden z niemieckich dyplomatów opowiadał mi, że przedstawiciele małych krajów — przede wszystkim Węgrzy i Estończycy — nie wychodzą prawie z gabinetów niemieckich dygnitarzy i bez przerwy przekonują, aby nie opóźnić poszerzenia z powodu spóźnialskiej Polski. Wśród moich niemieckich znajomych byli i tacy, którzy zaczęli wspominać o dwóch, a nawet trzech fazach poszerzenia. My byliśmy coraz częściej wymieniani w drugiej grupie. „Niech pani nie sądzi, że w Berlinie wszyscy myślą, iż nie można poszerzyć Unii bez Polski” — słyszałam. Wcześniej Niemcy nigdy nie mówili w taki sposób. Byłam coraz bardziej przekonana, że powin-

niśmy iść w ślady naszych sąsiadów i przyjąć unijne warunki. W przeciwnym wypadku groziła nam utrata szansy na członkostwo w 2004 roku.

Od połowy 2001 roku stawało się jednak coraz bardziej oczywiste, że rząd Jerzego Buzka nie będzie już zdolny do kompromisu ze względu na zbliżające się wybory. Zgoda na warunki UE mogłaby zostać wykorzystana w kampanii wyborczej przez politycznych przeciwników.

Napięcie w tej trudnej sytuacji umiał rozładować nowy (po rozpadzie koalicji AWS-UW) szef polskiej dyplomacji, Władysław Bartoszewski. Ze względu na swoją przeszłość (był więźniem Oświęcimia) i znakomitą znajomość języka niemieckiego oraz rozległe międzynarodowe kontakty mógł sobie na wiele pozwolić, zwłaszcza w stosunku do Niemców. To, co normalnie uznano by za gafę, ministrowi Bartoszewskiemu uchodziło, a nawet budziło sympatię.

Na konferencjach prasowych z udziałem zagranicznych dziennikarzy Bartoszewski mówił po niemiecku, ponieważ nie znał angielskiego. Pewnego razu, gdy nasza sytuacja negocjacyjna była bardzo słaba i padały pytania o to, kiedy wreszcie zgodzimy się na kompromis w kwestii pracy, Bartoszewski wybuchnął:

— Wszyscy mówią: Schröder to, Schröder tamto. Wszyscy mają zrozumieć, że pan Schröder ma wybory za kilka miesięcy, podczas gdy nikt nie chce zrozumieć, że my mamy wybory za kilka tygodni!

Zamarłam. Brakowało tylko, żebyśmy w tak kiepskiej sytuacji drażnili Berlin! Tymczasem po chwili podszedł do mnie Nikolaus Meyer-Landrut, rzecznik przedstawicielstwa Niemiec przy UE, i wyznał:

— Jak ja lubię słuchać waszego ministra! On ma taki przyjemny akcent, zupełnie jak Reich-Ranicki.

Był to duży komplement, bo Marcel Reich-Ranicki to bożyszczcze literackich salonów w Niemczech.

Minister był także ulubieńcem dziennikarzy i dyplomatów austriackich. Sam zresztą nie ukrywał swojej sympatii do austriackiej minister spraw zagranicznych, Benity Ferrero-Waldner.

— Całujemy się publicznie, a ona nie z każdym publicznie się całuje — chwalił się minister. — Prywatnie — nie wiem.

Bartoszewski nie zdołał jednak popchnąć rozmów w sprawie pracy. Zadeklarował, że jesteśmy gotowi rozważyć możliwość ograniczeń, ale zasa-

dą powinna być swoboda podejmowania pracy. Tylko pozornie brzmiało to jak propozycja kompromisowa. W istocie, wobec stanowiska Niemiec, było to równoznaczne ze wstrzymaniem przez Polskę negocjacji w dziedzinie swobodnego przepływu osób.

W tym czasie wydobyłam z Komisji Europejskiej poufne wewnętrzne opracowanie, pokazujące, co w praktyce unijne restrykcje oznaczałyby dla przeciętnego Polaka czy Czecha. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego nikt nie upublicznia tego materiału, więc zrobiłam to sama.

Najważniejszym stwierdzeniem zawartym w dokumencie było, że tylko w niewielu krajach restrykcje będą trwać więcej niż dwa lata. Najdłużej zostaną utrzymane zapewne w Niemczech i Austrii. Podkreślano, że ograniczenia nie oznaczają zakazu pracy. W okresie przejściowym utrzymane zostaną obecne zasady zatrudniania Polaków w krajach UE, czyli konieczność posiadania zezwolenia. Zupełną nowością było dla mnie odkrycie, że rynek pracy we wszystkich krajach UE — także w Niemczech i Austrii — zostanie z dniem naszego wejścia do UE otwarty dla jednoosobowych firm. Oznacza to, że polski hydraulik będzie mógł pojechać do Berlina czy Wiednia i całkiem legalnie naprawić Niemcowi lub Austriakowi kanalizację. Musi jednak mieć w Polsce — lub w innym kraju Unii — zarejestrowaną firmę, np. „Jan Kowalski — usługi hydrauliczne”. Na zasadzie samozatrudnienia Polacy będą więc mogli pracować w krajach UE bez żadnych ograniczeń.

Jednak nawet te informacje nie ułatwiły naszej sytuacji.

— Kiedy odpowiemy na stanowisko Piętnastki? — pytałam wiceminister pracy, Irenę Borutę, podczas jednej z jej ostatnich wizyt w Brukseli przed wyborami w 2001 roku.

— Uruchamiamy właśnie procedurę wypracowywania stanowiska w tej sprawie — odpowiadała na okrągło pani wiceminister.

— A kiedy procedura się skończy? — dążyłam.

— Jak najszybciej.

Szansa na przełom pojawiła się dopiero po wrześniowych wyborach. Nowy rząd Leszka Millera w pierwszych dniach urzędowania zapowiedział przyspieszenie rokowań. Początkowo koalicja SLD-PSL miała nadzieję, że uda się zmienić stanowisko Unii Europejskiej w sprawie pracy. Miała w tym pomóc przynależność SLD do „europejskiej socjaldemokratycznej rodziny”, której członkiem była również SPD, partia Gerharda Schrödera. „Leszek to

załatwi, jest ze Schröderem po imieniu” — przekonywał nas Tadeusz Iwiński, doradca premiera do spraw polityki zagranicznej.

Tymczasem przewodniczący wtedy Unii Belgowie, zachęteni składanymi przez nas deklaracjami o przyspieszeniu, wzięli się ostro do pracy. Na nieformalnym jednodniowym szczycie UE w Gandawie 20 października niewielu dziennikarzy dotrwało do końcowej konferencji prasowej. Była pierwsza w nocy i z polskich korespondentów zostaliśmy już tylko we troje z Jackiem Safutą i Ingą Rosińską z TVN24. W końcu pojawił się premier Belgii Guy Verhofstad oraz szef belgijskiej dyplomacji Louis Michel. Mówili tak rozwlekle i nieskładnie, że z trudem udało mi się powstrzymać od zaśnięcia.

Na sam koniec tej potwornie nudnej konferencji Verhofstad niespodziewanie zapowiedział, że na grudniowym szczycie Unii w Laeken zamierza ogłosić listę krajów, które mogą zakończyć rokowania pod koniec 2002 roku. Bomba! Byłam jednak tak zmęczona, że bałam się, iż się przesłyszałam. Zwłaszcza że dotychczas mówiono, że na podanie takiej listy jest jeszcze za wcześnie. Gdyby jednak miała faktycznie powstać, groziło nam, że się na niej nie znajdziemy.

Podeszłam do premiera i ministra, żeby upewnić się, czy dobrze ich zrozumiałam.

— Przecież zawsze chcieliście, abyśmy zrobili krok naprzód, więc co się wam teraz nie podoba? — ostro odpowiedział Verhofstad.

Michela prosiłam, aby wyjaśnił mi na osobności, w czym rzecz. Za plecami dyszał mi jednak polski dyplomata, który udawał, że także jest dziennikarzem.

— Jeżeli jeszcze raz będziesz udawać, że jesteś z prasy, to zwrócę ci głośno uwagę — syknęłam. Takie zachowanie było nie do pomyślenia w europejskich kręgach dyplomatyczno-dziennikarskich. Urzędnicy nie nadstawiali ucha, gdy dziennikarze rozmawiali z innym dyplomatami. Uchodziłoby to za próbę kontrolowania niezależnych mediów. Chciałam, aby nasi dyplomaci nauczyli się tych samych reguł.

— Późna pora, niewielu dziennikarzy, to idealny moment, aby wypuścić taki balon próbny — skomentował potem konferencję Verhofstada pewien znajomy. — Chodziło o to, aby zbadać reakcję i zmobilizować Polskę do wysiłku.

Znajomy miał rację. Nazajutrz ambasador Francji przy UE, Etienne Vimont, włączył radio i aż podskoczył z wrażenia, usłyszawszy zapowiedź belgijskiego premiera.

— Niczego takiego w Gandawie nie ustalaliśmy — twierdził. — Belgowie muszą to zaraz zdementować.

I Belgowie zdementowali. Ale sygnał został wysłany.

Jeden z belgijskich dyplomatów powiedział mi, że Polska jednak ustąpi i szybko zgodzi się na mogące trwać do siedmiu lat unijne restrykcje. Nadałam tę sensacyjną wiadomość w RMF-ie. Za dwa dni, 24 października 2001 roku, premier Leszek Miller miał się spotkać w Berlinie z kanclerzem Schröderem. Była to pierwsza zagraniczna wizyta nowego polskiego premiera. W porannym programie radia RMF FM premier gwałtownie zaprzeczył moim informacjom: „Nie będzie takiego ustępstwa. Mam nadzieję, że będzie ustępstwo ze strony mojego kolegi. [tj. Schrödera — K.S.]”

Następnego dnia byłam umówiona na lunch z niemieckim dyplomata.

— Mogące rozciągać się do siedmiu lat restrykcje to stanowisko Unii, które nie podlega negocjacjom — wyrecytował twardo, zanim zamówiliśmy coś do jedzenia. Straciłam apetyt. Znaczyło to, że żadnego ustępstwa ze strony Schrödera nie będzie. I faktycznie — dokładnie to samo usłyszałam Leszek Miller od niemieckiego kanclerza. Tomek Lejman, który obserwował wizytę Millera w Berlinie, opowiadał mi, że premier miał nietęgą minę, gdy stał na konferencji prasowej obok Schrödera wypowiadającego słowa, które także i mnie zmroziły dzień wcześniej. Najwyraźniej dotarło do niego, że tak szumnie zapowiadane przyspieszenie oznacza ni mniej, ni więcej, tylko konieczność trudnych i niepopularnych ustępstw z naszej strony. Gdy w grę wchodzi narodowe interesy, traci znaczenie partyjne pokrewieństwo.

Belgowie kuli żelazo, póki gorące. Dwa dni później powiedzieli mi, że w sprawie pracy pozostały do wynegocjowania już tylko kwestie techniczne — wzajemne uznanie dyplomów dentysty. Ich zdaniem istniał nawet gotowy do zaaprobowania przez Polskę dokument. „To bzdury!” — komentował te informacje w radiowych „Sygnałach dnia” prezydent Aleksander Kwaśniewski. Rząd wciąż nie wiedział, jak powiedzieć społeczeństwu, że przyjęcie unijnych warunków jest konieczne.

W tym czasie do Polski z oficjalną wizytą wybierał się premier Belgii. W samolocie było jeszcze kilka miejsc dla dziennikarzy. Wspaniała

okazja, by wybadać nastawienie Belgów! Już miałam odebrać bilet, gdy zorientowałam się, że mój polski paszport (wydany jeszcze w czasach PRL-u) stracił ważność. Mając podwójne obywatelstwo, zaczęłam więc szukać belgijskiego. Znalazłam, ale ze zgrozą zobaczyłam, że i ten jest przedawniony. Oto skutki mojego niedbalstwa. Muszę więc wierzyć kolegom, którzy polecieli do Warszawy z Verhofstadem, że w drodze powrotnej stwierdził: „Miller mówi, że gotów jest najpierw ustąpić w pracy, bo w ziemi naciska go PSL”.

Po kolejnych tekstach skrytykował nas szef polskiej dyplomacji, Włodzimierz Cimoszewicz, oświadczając, że „korespondenci w Brukseli wyimaginowali rzeczywistość i jeszcze ją skomentowali”. Polscy dyplomaci byli na mnie wściekli za informacje o tym, że ustępstwa nie da się uniknąć i że jest ono już właściwie przesądzone. Członkowie rządu płatali się w zeznaniach, usiłując dementować te wiadomości.

— Czy przyspieszenie rozmów z Unią oznacza zgodę na unijne warunki w sprawie pracy? — pytałam głównego negocjatora, Jana Truszczyńskiego.

— Strategia rozmów jest teraz przedmiotem debaty, nie mogę ujawniać szczegółów — odpowiadał Truszczyński.

— Skąd w takim razie optymizm Belgów, którzy twierdzą, że przyjmujemy unijne warunki, skoro nie ma jeszcze nawet strategii?

— Nadzieje Belgów biorą się stąd, że nowy rząd wielokrotnie deklarował zamiar przyspieszenia...

— Wobec tego, które z pańskich wypowiedzi są prawdziwe? Ta dla francuskiej agencji AFP, gdzie mówi pan, że finał jest tuż, tuż, czy ta dla RMF FM, gdzie stwierdza pan, że „stanowiska są na razie odległe”? — dociekałam.

— Dla AFP mówiłem po niemiecku, a skróty są, jak zwykle, mylące. Mogę przekazać kasetę z nagraniem — tłumaczył się Truszczyński.

Dyplomaci podejrzewali, że jestem tak dobrze poinformowana dzięki mężowi, w którego rodzinie było kilku polityków związanych z belgijskim rządem. W rzeczywistości moje „kontakty” nie miały nic wspólnego z rodziną. Taka fama ciągnęła się jednak za mną od czasów, gdy belgijski parlament ratyfikował nasze członkostwo w NATO. Brat mojego męża, Fons Borginon, jeden z liderów partii Volksuni, był niechętny naszemu członko-

stwu w sojuszu, głównie z powodu obaw przed reakcją Rosji. Podczas debaty ratyfikacyjnej wygłosił przemówienie w tym właśnie tonie. Od postawy tej partii wiele mogło zależeć. Powszechnie jednak było wiadomo, że Volksuni nie będzie przeciw, ale wstrzyma się od głosu. W przerwie obrad spotkałam Fonsa i ówczesnego polskiego ambasadora w Belgii Jana Piekarskiego. Przedstawiłam sobie obu panów.

— Fons, obiecałeś, że nie będziecie głosować przeciw — zażartowałam, zwracając się do mojego szwagra. — Nie możesz tego zrobić swojej polskiej rodzinie.

Volksuni wstrzymała się od głosu — co oczywiście nie miało nic wspólnego ze mną — a parlament Belgii ratyfikował nasze członkostwo w NATO. Od tego czasu polscy dyplomaci w Brukseli są przekonani, że mam bardzo duży wpływ na politykę w Belgii...

Z Warszawy docierały do mnie informacje, że rząd gorączkowo rozważa, czy jest jakieś ustępstwo, które byłoby do zaakceptowania dla Unii, a które mógłby przedstawić jako swoją wygraną, uzyskaną w zamian za zgodę na restrykcje w kwestii pracy. Takiego pomysłu jednak nie było, a Unia nie miała nam nic do zaoferowania. Każda zmiana stanowiska Piętnastki groziła wznowieniem sporu między Hiszpanią a Niemcami, co mogło opóźnić rokowania.

W tym czasie rząd prowadził równoległe rozmowy w sprawie ograniczenia możliwości kupowania ziemi przez cudzoziemców. Niemcy nie robili problemów. Jako pierwsza uzyskałam w Berlinie potwierdzenie, że jest zgoda na dwunastoletni okres ochronny naszej ziemi rolnej i lasów. Tak długiego czasu nie udało się uzyskać żadnemu kandydatowi! To był pierwszy poważny sukces negocjacyjny ekipy Leszka Millera.

Niemcy, zadowoleni z podjęcia przez Polskę rozmów w sprawie pracy, złagodnieli także w innych kwestiach. Zgodzili się na zerową stawkę VAT na sprzedaż książek i czasopism specjalistycznych. Pojawiły się szanse na zamknięcie tych rozdziałów, które do tej pory stały w miejscu. Nasz główny negocjator, Jan Truszczyński, dał w końcu do zrozumienia, że rząd jeszcze w grudniu przystanie na unijne warunki w sprawie swobody podejmowania pracy, jeżeli uzyska zapewnienie całej Piętnastki o zgodzie na dwunastoletni okres przejściowy w sprawie kupowania ziemi. Takie zapewnienie dostaliśmy. Pojawiły się więc wymierne korzyści z zapowiadanego ustępstwa.

Podczas szczytu w Laeken Polska została wymieniona wśród dziesięciu krajów mających szansę wejść do Unii w pierwszej kolejności.

Rząd postanowił uzyskać dodatkowe zapewnienia od niektórych krajów Piętnastki, że nie będą w ogóle stosować restrykcji po naszym przystąpieniu do UE. Do uzyskanych przez rząd Buzka obietnic Szwecji, Danii, Holandii i Irlandii ekipa Millera dorzuciła Wielką Brytanię i Francję, które oświadczyły, że ograniczenia będą stosować tylko przez dwa lata po rozszerzeniu Unii.

Wciąż jednak szukano sposobu na przekazanie Polakom decyzji o naszej zgodzie na warunki UE. Wymyślono wreszcie pokrętne sformułowanie, że „rząd interpretuje restrykcje jako dwuletni okres przejściowy, po upływie którego dodatkowe restrykcje nie będą konieczne”. Takiej zasłony dymnej nie dało się długo utrzymać.

— Czy zdaje pan sobie sprawę, że zgoda na warunki Unii oznacza możliwość stosowania przez każdy kraj Piętnastki ograniczeń trwających do siedmiu lat? — zapytała w Brukseli Włodzimierza Cimoszewicza dziennikarka „Financial Times”. Zmieszany minister musiał przyznać, że wie, na co się godzi.

Prawda okazała się najlepszym rozwiązaniem. Na sesji negocjacyjnej 21 grudnia 2001 roku Trusczyński musiał uczciwie przyznać:

— Kończymy te rokowania na warunkach zaproponowanych przez kraje Unii Europejskiej.

Holender i Niemiec przez miedzę

Nikolaus van der Pass szeroko otworzył oczy ze zdziwienia, gdy powiedziałam mu, że Polakom trudno będzie zaakceptować członkostwo w UE, jeśli nie zostaną uwzględnione ich obawy dotyczące zakupu ziemi przez cudzoziemców. Był luty 1998 roku. Van der Pass kilka dni wcześniej został mianowany głównym negocjatorem z ramienia Komisji Europejskiej. Do tej pory był rzecznikiem prasowym przewodniczącego KE, Jacquesa Santera. Rozmawialiśmy jeszcze w jego dotychczasowym gabinecie i mówiliśmy sobie na „ty”, zgodnie ze zwyczajem panującym w Brukseli między rzecznikami a dziennikarzami.

— Więc to dla was naprawdę takie ważne? — dziwił się van der Pass, a ja dopytywałam się, jakie mamy szanse na przeforsowanie ograniczeń.

— Nie będzie wyjątków — odrzekł van der Pass lodowato. — Unijne prawo nie przewiduje w ogóle odstępstwa od swobody przepływu kapitału. To jedna z czterech fundamentalnych wolności w Unii!

Na moje uwagi o historycznych uwarunkowaniach i przesuniętych na zachód granicach Nikolaus pozostał nieczuły. Miałam wrażenie, że pewne argumenty są dla niego zupełnie nowe.

Van der Pass jest typowym eurokratą, pół-Niemcem, pół-Holendrem. Nie identyfikuje się specjalnie z żadną narodowością. Myślenie w tych kategoriach pozostaje mu obce.

Wtedy dochodził pięćdziesiątki. W KE zaczynał niemalże od roznoszenia kawy. Wspiął się po kolejnych szczeblach kariery, studiując zaocz-

nie wieczorami. Komisji zawdzięczał wszystko, a unijne prawo uważał za świętość. Dla niego — i nie tylko dla niego — było oczywiste, że kraj, który wstępuje do Unii, nie powinien wносить do niej swoich uprzedzeń. W końcu od wojny minęło ponad pół wieku.

Moje pierwsze starcie z Françoise Gaudenzi — także nowo mianowaną negocjatorką ze strony Komisji — również dotyczyło ziemi. Stało się jasne, że słowa van der Passa nie wynikały jedynie z jego osobistych poglądów — takie było stanowisko KE.

— Obawiam się, że to fałszywy, emocjonalny problem — mówiła mi Gaudenzi. — Czy naprawdę wyobraża sobie pani, że tak wielu obywateli Unii pośpieszy kupić wielkie połacie ziemi w Polsce? Niektórzy na pewno to zrobią, ale nie sądzę, żeby to było masowe zjawisko, które sprawi, że we własnym kraju przestaniecie się czuć u siebie. Tego typu obawy nigdy się nie potwierdzały — przekonywała mnie.



Na początku negocjacji Bruksela odrzucała nasz wniosek o ochronę ziemi przed wykupem przez cudzoziemców. Od lewej: prezydent Aleksander Kwaśniewski, przewodniczący Komisji Jacques Santer i odpowiedzialny za poszerzenie Hans van den Broek.

Kilka tygodni przed oficjalnym rozpoczęciem negocjacji z Unią o problemie ziemi mówiono w kraju niewiele. Starano się obchodzić go z daleka i na palcach. Elity bały się, że zbudzi się demony przeszłości i rozdrażni Niemców. Kanclerzem był jeszcze Helmut Kohl. Stosunki między Warszawą i Berlinem były bardzo dobre, ale brakowało w nich niezbędnego realizmu. Kanclerz obiecywał, że do Unii wejdziemy w 2000 roku, a w Warszawie w to wierzono — lub udawano wiarę.

Wszyscy wówczas myśleli, że przeciwni uzyskaniu przez nas okresu ochronnego na zakup ziemi będą przede wszystkim właśnie Niemcy. Nikomu nie przyszło na myśl, że najbardziej okoniem staną Holendrzy.

Polskim ambasadorem w Niemczech był Andrzej Byrt, który poprzednio pełnił funkcję radcy handlowego w Brukseli. Nasza grupa brukselskich korespondentów miała z nim więc bardzo dobre kontakty. Gdy przejazdem zjawił się w stolicy Belgii, poszliśmy razem na piwo.

Byrt był bardzo szczerzy. W zaufaniu powiedział nam, że uzyskanie zgody Unii na ograniczenia w sprzedaży ziemi cudzoziemcom będzie jego zdaniem bardzo trudne. Opowiadał, że im bliżej rozpoczęcia naszych negocjacji członkowskich, tym aktywniejsze są w Niemczech organizacje ziomkowskie, zmierzające do odzyskania majątków utraconych po 1945 roku.

— Do naszej ambasady w Berlinie codziennie wpływa około pięćdziesięciu listów od „wypędzonych” — opowiadał. — Najczęściej są to gotowe formularze, w których nadawcy domagają się wypisów z ksiąg wieczystych. Pozostają bez odpowiedzi, bo ambasada nie pośredniczy w załatwianiu wyciągów katastralnych.

Byrt zapewniał, że roszczenia ziomkostw nie znajdują posłuchu w niemieckim rządzie.

Po wyjeździe ambasadora postanowiłam poruszyć tę sprawę w moich relacjach, choć ryzykowałam narażenie się wielu osobom, które wołały udawać, że problemu nie ma. Moi koledzy w Warszawie rozmawiali z ekspertami, którzy powiedzieli, że ceny ziemi między Polską a Niemcami wyrównają się najwcześniej za dwadzieścia lat. Na kilka dni przed oficjalnym rozpoczęciem negocjacji „Życie” zamieściło mój artykuł pod prowokacyjnym tytułem „Kto posiadzie ziemię odzyskane?”. Był to pierwszy tekst, w którym znalazła się teza, że sprzedaż gruntów cudzoziemcom będzie jednym z najpoważniejszych problemów w rozpoczynających się rokowaniach.

W artykule nie podałam źródła moich informacji. Mimo to 31 marca 1998 roku, w dniu uroczystego rozpoczęcia rokowań, zadzwonił do mnie zdenerwowany Byrt. Po krótkiej rozmowie uspokoił się jednak.

— Może i dobrze, że ktoś wreszcie o tym napisał. To jest jak pęknięcie wrzodu — orzekł.

W przemówieniu otwierającym negocjacje szef polskiej dyplomacji, Bronisław Geremek, ogólnikowo wspomniał o „konieczności szukania rozwiązań eliminujących możliwość niekontrolowanego, spekulacyjnego obrotu nieruchomościami”. Szczegóły, w tym proponowaną przez nas długość okresu przejściowego, mieliśmy przedstawić dopiero ponad rok później.

Sprawa ziemi nie dawała mi jednak spokoju. Od niedawna mieszkałam w podbrukselskim Kraainem, które należy do flamandzkich gmin z tzw. ułatwieniami dla francuskojęzycznych Belgów (na specjalne życzenie oficjalną korespondencję z władzami można prowadzić po francusku). W mojej i sąsiedniej gminie, Wezembeek-Oppem, poznałam kilku flamandzkich polityków, którzy opowiedzieli mi o prowadzonej przez siebie walce. Otóż obie gminy, tradycyjnie flamandzkie, upatrzyli sobie na miejsce zamieszkania urzędnicy instytucji europejskich. Nietrudno zrozumieć, dlaczego — to najpiękniejsze okolice Brukseli, z łatwym dojazdem do centrum i wspomnianymi ułatwieniami językowymi. W co piątej willi mieszka cudzoziemiec. Przed domami stoją samochody, po których można poznać właściciela. Wyróżniają się specjalnymi rejestracjami dla eurokratów, które mają niebieskie napisy na białym tle z nieodłącznym wianuszkiem gwiazdek wokół liter „EU”.

— Społeczność flamandzka zaczyna się czuć coraz bardziej obco we własnych gminach — perorował Jan Walraet, lokalny deputowany z ramienia chadeckiej partii CVP. — Wcześniej zagrożeniem dla kulturowej tożsamości Flamandów byli francuskojęzyczni Walonowie, teraz są nim eurokraci.

Walraet opowiadał mi, że młodzi Flamandowie zaczynają wyprowadzać się z okolicy, bo nie stać ich na kupno coraz droższych domów. W tych okolicznościach flamandzcy politycy szukają rozwiązań zgodnych z prawem europejskim (Belgowie to przekonani zwolennicy Unii Europejskiej i nawet flamandzcy nacjonałiści nie muszą być od razu eurosceptykami), a więc ograniczeń w ramach prawa o zagospodarowaniu przestrzennym. Powołano nawet specjalny fundusz, który wykupuje tereny budowlane i sprzedaje Flamandom lub osobom mającym związki kulturowe z Flandrią. Wśród

kryteriów, które stosuje fundusz, nie ma jednak języka, jakim posługuje się dana osoba. „Oznaczałoby to dyskryminację” — wyjaśnił mi pomysłodawca projektu, Etienne van Vaerenberg, członek centroprawicowej partii Volksuni.

Od pierwszego dnia negocjacji było jasne, że Polska nie ma szans na stałe ograniczenie sprzedaży nieruchomości cudzoziemcom. Uzyskanie długiego okresu przejściowego też wydawało się trudne. Znajomi flamandzcy politycy radzili, żebyśmy jak najprędzej zaczęli myśleć o innych, zgodnych z unijnym prawem mechanizmach ochronnych, bo po wejściu do Unii będzie nam o wiele trudniej.

Za artykuł o flamandzkiej ziemi dostałam redakcyjną nagrodę. Ale co z tego, skoro żaden polityk nie wziął sobie wówczas do serca przestróg doświadczonych Flamandów. Od lat nasi parlamentarzyści woleli szermować hasłami („Nie oddamy polskiej ziemi”), zamiast zacząć zmieniać w Polsce przepisy tak, aby można było planować zagospodarowanie przestrzenne na poziomie gmin. Łatwiej jest straszyć Unią, niż trudzić się pracą w sejmowych komisjach. Drażniły mnie także zamieszczane w polskiej i niemieckiej prasie informacje o nielegalnym wykupywaniu ziemi przez „podstawionych Polaków”. Coraz mocniej zaczęłam sobie uświadamiać, że walka o okres przejściowy będzie miała charakter psychologiczny. Rzeczywiste zabezpieczenie osiągniemy, jeżeli wprowadzimy sensowne reguły planowania przestrzennego, skuteczną kontrolę i poprawę funkcjonowania sądów.

O rozwiązaniach prawnych zgodnych z normami UE zaczął myśleć dopiero Jarosław Kalinowski, przygotowując nową ustawę rolną jako wicepremier w rządzie Leszka Millera.

W Warszawie niełatwo było wypracować stanowisko negocjacyjne w sprawie ziemi. Koalicjantów w rządzie Jerzego Buzka — AWS i UW — różniła długość okresu przejściowego, o jaki Polska powinna ich zdaniem wystąpić. ZChN i jeden z jego liderów, a jednocześnie szef UKiE, Ryszard Czarnecki, domagał się rzeczy ewidentnie niemożliwej do osiągnięcia — stałego odstępstwa. Unia Wolności chciała — podobnie jak Węgrzy — wystąpić o dziesięcioletni okres przejściowy. Szef AWS, Marian Krzaklewski, mówił, że będzie się domagać „kilkunastu lat”. Przypominał, że rząd niemiecki mówi nieoficjalnie o podobnym okresie trwania restrykcji na pracę dla obywateli nowych krajów członkowskich.

Debata się przedłużała. Główny negocjator, Jan Kułakowski, obiecywał polskie stanowisko najpierw w maju, potem na początku, a następnie przed końcem czerwca. Bruksela zaczynała się niepokoić. Ostatecznie Kułakowski przedstawił polską pozycję negocjacyjną 15 lipca 1999 roku. Uzgodniono ją po wielogodzinnej wewnątrzkoalicyjnej naradzie zamkniętej dla prasy. Jak opowiadał mi potem jeden z jej uczestników, ZChN chciał przeforsować dwadzieścia lat restrykcji na zakup ziemi i lasów. Kułakowski zaproponował wówczas osiemnaście lat. I na tym stanęło.

W przedstawionym Brukseli dokumencie powoływaliśmy się na względy polityczne (szczególna wrażliwość opinii publicznej), historyczne (przesunięcie polskich granic po wojnie) i ekonomiczne (różnice w cenach gruntów i sile nabywczej między Polską a krajami UE). Domagaliśmy się zatem utrzymania ograniczeń w nabywaniu ziemi rolnej i lasów przez osiemnaście lat od dnia wejścia do Unii i przez pięć w nabywaniu ziemi pod inwestycje. Nie były to żądania zakazu sprzedaży ziemi, lecz utrzymania obowiązku występowania o zezwolenie na nabycie gruntów do MSWiA.

Bruksela uznała nasze stanowisko za „mocno przesadzone”. W ten sposób oceniała je między innymi Françoise Gaudenzi. Inni uważali je wprost za bezpodstawne.

Staliśmy się trudnym partnerem — zwłaszcza że już wówczas występowaliśmy o największą liczbę najdłuższych okresów przejściowych. Poza kwestią ziemi chcieliśmy uzyskać czternaście okresów przejściowych na dostosowanie w dziedzinie ekologii, z czego najdłuższy miał się zakończyć dopiero w 2015 roku. Zaczęto przebąkiwać, że ciężkie negocjacje z Polską mogą opóźnić całe poszerzenie.

Stosunek Brukseli do naszych propozycji zmienił się, gdy komisarzem odpowiedzialnym za poszerzenie w nowej ekipie Romano Prodiego w miejsce Holendra Hansa van den Broeka został Niemiec Günter Verheugen. Klaus van der Pass musiał zadowolić się stanowiskiem dyrektora generalnego do spraw audiowizualnych, natomiast dyrektorem do spraw poszerzenia mianowano Hiszpana Eneko Landaburu.

Podczas swojej pierwszej konferencji prasowej w październiku 1999 roku, Verheugen oświadczył, że ograniczenia w funkcjonowaniu jednolitego rynku (a więc dotyczące pracy i ziemi) będą krótkotrwałe. To był pierwszy



Günter Verheugen rozumiał, że sprzedaż ziemi cudzoziemcom jest w Polsce sprawą drażliwą.

dobry sygnał, bo ze słów komisarza wynikało, że nie neguje on samej możliwości przyznania nam okresu przejściowego.

W maju następnego roku zdobyłam dokument zawierający propozycję stanowiska negocjacyjnego Komisji Europejskiej. Napisano tam wyraźnie, że KE uznaje „historyczną i polityczną drażliwość tej sprawy dla Polski”. Verheugena poparła przewodnicząca UE w tamtym półroczu Portugalia. Z dokumentem pobiegłam do Nikolausa Meyer-Landruta, rzecznika niemieckiego przedstawicielstwa przy UE. Co wy na to? — pytałam. „Nie mówimy «tak», nie mówimy «nie»,» — odpowiadał dyplomatycznie.

Było oczywiste, że pierwszy krok został zrobiony. Unia przyznawała że zgodzi się na okres przejściowy w sprawie ziemi. Pozostawało ustalić, jak długi. To jednak nie było wcale proste.

Tuż przed wręczeniem Bronisławowi Geremkowi dokumentu z oficjalnym stanowiskiem Piętnastki w sprawie ziemi, w czerwcu 2000 roku wykryłam istotne niedopatrzenie naszych negocjatorów. Skupieni na długości

okresu przejściowego na ziemię rolną, lasy i grunty pod inwestycje, zapomnieli o tzw. drugich domach i daczach. Zatem, zgodnie z naszym stanowiskiem negocjacyjnym, mieszkający u siebie Niemiec czy Hiszpan mógłby bez przeszkód kupić kamienicę we Wrocławiu bądź domek letniskowy na Mazurach jako drugi dom. Ten sam obywatel Niemiec czy Hiszpanii natykałby natomiast problemy (pięcioletni okres przejściowy), gdyby chciał zainwestować u nas swoje pieniądze i postawić fabrykę, hotel czy rozpocząć jakiegokolwiek inne przedsięwzięcie.

W dokumencie przekazanym Geremkowi Piętnastka prosiła o wyjaśnienia. W Brukseli dziwiono się tym bardziej, że wszyscy pamiętali, iż Austriacy, wchodząc do Unii, starali się przede wszystkim o pięcioletnie ograniczenia w nabywaniu przez cudzoziemców właśnie drugich domów w Tyrolu. Bali się, że piękne alpejskie tereny zaczną wykupywać bogatsi Niemcy sąsiedzi.

Jan Kułakowski poczuł się nieco urażony moją opinią o zapomnianych negocjatorach. Rację przyznał mi natomiast Jan Truszczyński, wtedy nasz ambasador przy UE.

— Faktycznie, niektóre sytuacje są nie do końca jasne — powiedział. — Bo jak na przykład traktować moją działkę rekreacyjną, która nie jest położona ani w lesie, ani na ziemi rolnej?

Musieliśmy więc doprecyzować nasze stanowisko. Ostatecznie na działki rekreacyjne uzyskaliśmy okres przejściowy tej samej długości co Austriacy.

Günter Verheugen, przygotowujący nowy projekt stanowiska negocjacyjnego Piętnastki z konkretnymi propozycjami długości okresów przejściowych, od razu zapowiedział, że nie mamy co liczyć na utrzymanie ograniczeń w nabywaniu ziemi pod inwestycje. Tłumaczył, że nie leżą one ani w interesie państw członkowskich, ani kandydatów, którym potrzeba bezpośrednich inwestycji zagranicznych.

Nasz główny negocjator, Jan Kułakowski, w zasadzie zgadzał się z komisarzem, że ta część naszego stanowiska negocjacyjnego jest najsłabsza. Nie mógł tego jednak powiedzieć otwarcie, bo natychmiast zostałoby to zinterpretowane jako „ustępstwo”. „Premier Buzek zakazał mi nawet używać tego słowa” — wyznał mi kiedyś Kułakowski. Mówiono więc zazwyczaj o „elastyczności” lub „gotowości do kompromisu”.

W wystąpieniu w Parlamencie Europejskim 10 kwietnia 2001 roku Kułakowski delikatnie zasugerował, że istnieje możliwość wycofania się Polski z żądania okresu przejściowego na zakup ziemi pod inwestycje. Liczył na to, że uda mu się odłożyć kwestię ziemi na sam koniec rokowań i na razie prowizorycznie zamknąć dział „swoboda przepływu towarów”. W ten sposób Polska mogłaby poprawić swoją pozycję pod względem liczby zamkniętych rozdziałów negocjacyjnych, pozostawiając zarazem drażliwą sprawę ziemi na czas po wyborach, zaplanowanych na wrzesień 2001 roku.

Taka koncepcja kłóciła się jednak z „mapą drogową” Verheugena — harmonogramem wyznaczającym terminy kolejnych działań negocjacyjnych. Z „mapy” wynikało, że Piętnastka powinna uzgodnić stanowiska negocjacyjne w dwóch budzących największe emocje kwestiach — ziemi i pracy — do czerwca 2001 roku i następnie sprawy te należało jak najszybciej załatwić z krajami kandydującymi.

Wciąż jednak nie było wiadomo, jak długi okres przejściowy Verheugen zaproponuje na ziemię rolną, do czego u nas przywiązywano największą wagę. Spekulowano, że może to być nawet dziesięć lat.

Pod koniec kwietnia 2001 roku udało mi się dotrzeć do urzędnika Komisji, który pracował nad przygotowaniem tego stanowiska. Przyznał, że decydują tu względy czysto polityczne, nie zaś żadne wyliczenia. Nie bierze się pod uwagę różnicy w sile nabywczej między kandydatami a krajami Unii. Urzędnik był tym nieco zniesmaczony.

— A więc siedem lat? Tyle samo, ile kanclerz Schröder zażądał restrykcji na pracę? — dedukowałam.

— Zgadła pani — potwierdził urzędnik. — W obu przypadkach chodzi o obawy opinii publicznej i obie sprawy dotyczą wspólnego rynku.

Jako pierwsza z dziennikarzy miałam więc najważniejszą informację wraz z politycznym uzasadnieniem. Komisja nieoficjalnie proponowała nam swoistą wymianę: siedem lat restrykcji na zakup ziemi za zgodę na siedem lat restrykcji na pracę.

W pierwszych dniach maja komisarz Verheugen przedstawił oficjalnie swoją propozycję.

— Formalnego związku między ziemią a pracą nie ma — twierdził rzecznik komisarza Jean-Christophe Filori na briefingu. — Mogę jednak potwierdzić to, co napisała Kasia: pewne podobieństwa istnieją.

A więc miałam rację. W dodatku rzecznik po raz pierwszy publicznie przyznał, że Komisja tłumaczy i czyta informacje polskiej prasy z Brukseli. Do tej pory mogłam się tego tylko domyślać. Zaskoczyło to również niektórych moich kolegów z zachodnich mediów. To, co ukazywało się w Warszawie, zaczynało mieć z perspektywy Brukseli znaczenie porównywalne z tym, jakie miały teksty publikowane w Paryżu, Helsinkach czy Dublinie.

Nie był to jednak koniec zaskoczeń tamtego dnia. Wczytawszy się bardziej wnikliwie w propozycję komisarza, doszłam do wniosku, że owe siedem lat dotyczy tylko ochrony ziemi rolnej przed zakupem przez duże międzynarodowe koncerny. Komisarz proponował więc, aby unijni rolnicy indywidualni mogli nabywać ziemię rolną w Polsce od razu i bez ograniczeń. Wyglądało na to, że z polskiego punktu widzenia propozycja jest właściwie bezwartościowa. Poszłam porozmawiać o tym Eneko Landaburu.

Hiszpan nie był zaskoczony moimi pytaniami. Sam kiedyś powiedział, że rozumie nasz problem, bo nie lubi, gdy w hotelu na Majorce opanowanej przez niemieckich urlopowiczów budzi się go słowami: „Guten Morgen”.

— Podobno baliście się przede wszystkim, że masowo wykupujący wasze grunty obcokrajowcy zaczną nimi spekulować — powiedział. — A przecież rolników, którzy chcieliby uprawiać waszą ziemię, na pewno nie będzie aż tylu.

— Tak, ale polscy rolnicy twierdzą, że mając mniej pieniędzy, będą także mieli mniejsze szanse na kupienie ziemi w Polsce niż rolnicy z UE — oponowałam.

— Nie będzie masowego wykupu, a unijni rolnicy wniosą nowe technologie i przyczynią się do wytwarzania bogactwa waszego kraju — twardo zakończył dyskusję Landaburu.

Było jasne, że takie jest wyjściowe stanowisko Komisji Europejskiej. Reszta zależała od Piętnastki i kandydatów.

Bruksela zaproponowała wszystkim taką samą długość okresu przejściowego. Wyglądało na to, że Czesi, Węgrzy i Słowacy zgodzą się bez oporu. Jeden z francuskich dyplomatów ostrzegł mnie, że zgoda choćby jednego z krajów kandydujących osłabi polskie stanowisko i sprawi, że o wiele trudniej będzie nam uzyskać dłuższy okres przejściowy.

Rada UE przedstawiła kandydatom stanowisko negocjacyjne na początku czerwca, zgodnie z planem. Nie było sporu w gronie państw człon-

kowskich. Zastrzeżenia zgłaszała tylko Francja, która chciała negocjować sprawę sprzedaży ziemi równolegle z kwestią dopłat bezpośrednich dla rolników. Mogło to oznaczać, że w zamian za naszą zgodę na ograniczone dopłaty Francja poprze dłuższy okres przejściowy na sprzedaż ziemi.

Zdaniem dyplomatów reprezentujących Szwecję, która wówczas przewodniczyła Unii, stanowisko Francji mogło opóźnić rokowania. Jednak Paryż nie zamierzał iść w ślady Madrytu, który właśnie w tym czasie zablokował negocjacje w sprawie pracy. Zgodził się więc na zapis, że w przyszłości będzie mógł wrócić do tego problemu.

Kilka dni później podczas rozmów wręczono negocjatorom państw kandydujących dokument z unijnym stanowiskiem. Nieoficjalnie otrzymali go poprzedniego wieczora, mieli więc niewiele czasu na studiowanie. Nie przeszkodziło to czeskiemu negocjatorowi Pawłowi Teliczce od razu zaakceptować proponowanych warunków. Nie mogłam w to uwierzyć — tak drażliwa dla nas sprawa w Czechach nie budziła żadnych emocji! W ogóle nie podjęto negocjacji.

Spytałam czeskiego negocjatora, dlaczego tak się spieszy i czy w parlamencie w Pradze była jakaś debata na ten temat. Dołączyli do mnie inni polscy korespondenci. Czescy nie zadawali żadnych pytań, tak jakby istniała jakaś niepisana umowa między nimi a delegacją rządową. Nasza docieklivość wręcz rozwścieczyła Czecha.

— Taki miałem mandat, właśnie od siedmiu do dziesięciu lat! — krzyczał. — Zgodziłem się na siedem i co wam do tego?!

Nalegaliśmy, więc Teliczka ofuknął nas jeszcze ostrzej:

— My nie mamy takich kompleksów jak Polacy i nie zamierzamy dyskryminować unijnych obywateli!

Było to poważne oskarżenie, toteż postanowiłam od razu skonfrontować z nim naszego negocjatora.

— Czy nasze społeczeństwo bardziej obawia się wykupu ziemi przez Niemców niż Czesi? — zapytałam Jana Kułakowskiego.

— Trzeba pamiętać, że nasze przywiązanie do polskiej ziemi i polskiej tradycji jest bardzo ważne — odpowiedział.

Z Czechów tymczasem żartowali sobie nawet dyplomaci Piętnastki. Nieco korzystniejsze warunki wynegocjowali trochę później Węgrzy, którym udało się uzyskać trzyletnią ochronę przed zakupem ziemi rolnej przez

unijnych farmerów indywidualnych. Po raz pierwszy zaprotestowali wówczas Holendrzy.

Po brukselskich korytarzach krążył wtedy kawał: „Komisarz Verheugen powiedział negocjatorom z Polski, Czech i Węgier, że w dniu wejścia do Unii mieszkańcy ich krajów muszą przefarbować sobie włosy na zielono. — Nigdy! — krzyczy polski negocjator. — Zgoda, ale najpierw muszę skonsultować się z parlamentem — odpowiada Czech, a Węgier pyta: — Na jasno — czy na ciemnozielono?”

Opowiadano dwie wersje tego kawału — raz tym ostatnim był Węgier, raz Czech. Nigdy jednak nie słyszałam, żeby polski negocjator zajął inne stanowisko w sprawie farbowania włosów niż w wersji zacytowanej.

W tym czasie Piętnastce, a zwłaszcza Niemcom, bardzo zależało, aby Polska zaakceptowała restrykcje na pracę. Berlin chciał, żeby ten problem został rozwiązany na długo przed wyborami do Bundestagu w 2002 roku. Niemieccy dyplomaci dawali do zrozumienia, że zaakceptują każdy okres przejściowy na ziemię krótszy niż dziesięć lat. Potem sugerowali, że zgodzą się nawet na tyle. Wyglądało więc na to, że z Niemcami będzie się można dogadać. Rząd Jerzego Buzka nie był jednak skory do ustępstw trzy miesiące przed wyborami parlamentarnymi. Rokowania prawie we wszystkich dziedzinach były zaawansowane w szczegółach technicznych, ale politycznie trwały w impasie. Wydawało się mało prawdopodobne, by Warszawa zrezygnowała z rekordowo długiego, osiemnastoletniego okresu przejściowego.

Po przegranych wyborach premier Buzek przyjechał po raz ostatni do Brukseli, gdzie spotkał się z Romano Prodim i Günterem Verheugenem. Powiedział mi wtedy, że z ostatnich rozmów, które odbywał jako szef rządu, wynikało, że mamy szansę nawet na ponad dziesięcioletni okres przejściowy.

Nowy premier, Leszek Miller, jeszcze przed zaprzysiężeniem swojego gabinetu, zapowiedział „urealnienie polskiego stanowiska negocjacyjnego”. Ta deklarację odebrano w Brukseli z ulgą, oznaczała bowiem, że negocjacje ruszą z miejsca. Miller początkowo mówił, że powinno wystarczyć dziesięć, dwanaście lat okresu przejściowego. Niektórzy dyplomaci uznali więc, że zadowolili nas właśnie dziesięć. Wtedy komisarz Verheugen zbadał nastawienie unijnych stolic i dał do zrozumienia, że śmiało możemy walczyć o dwa lata więcej.

W piątek 26 października 2001 roku w negocjacjach po raz pierwszy jako główny negocjator nowego rządu uczestniczył Jan Truszczyński. Spotkał się z korespondentami w Brukseli przed i po sesji. Nie chciał jednak przyznać, że zmierza do kompromisu. Natomiast na zamkniętej sesji wobec piętnastu unijnych ambasadorów zapowiedział istotne zmiany w polskim stanowisku. O przebiegu tego spotkania opowiedział mi jego uczestnik, mój dobry znajomy, dyplomata jednego z państw Piętnastki.

— Wasz negocjator wycofał się z próby o pięcioletni okres przejściowy na ziemię pod inwestycje — mówił mój informator. — To krok w dobrym kierunku. Powiedział również, że w ciągu najbliższych tygodni zaakceptujecie restrykcje w pracy.

Te rewelacje potwierdziło jeszcze jedno unijne źródło. Dlaczego jednak Truszczyński ukrył to przed polską prasą, a więc i przed społeczeństwem? Sprawa gruntów pod inwestycje nie budziła przecież w kraju specjalnych emocji. Od początku negocjacji z UE uważałam, że najważniejsza jest prawda, nawet trudna. Rząd najwyraźniej nie miał jeszcze strategii informacyjnej.

Jako pierwsza nadałam korespondencję o rezygnacji z postulatu okresu ochronnego na ziemię pod inwestycje. W poniedziałek wybuchła burza. Inni polscy korespondenci zażądali potwierdzenia. Rzeczniczka naszego przedstawicielstwa przy UE, Małgorzata Alterman, wyjaśniała: „Ambasador Truszczyński wysłał sygnał, że bylibyśmy skłonni rozważyć wycofanie wniosku w sprawie gruntów pod inwestycje, jeżeli po stronie unijnej istniałaby elastyczność”. Tymczasem rzecznik komisarza do spraw poszerzenia zdążył już „z zadowoleniem powitać” ten krok nowego rządu. Przypomniwał, że komisarz od dawna twierdził, iż ochrona ziemi pod inwestycje nie leży w interesie kandydatów.

Komentarze, które ukazały się w prasie następnego dnia, były bardzo ostre. Rząd oskarżono o zatajanie informacji istotnych dla społeczeństwa. „Negocjować z otwartą przyłbicą” — brzmiał tytuł w „Rzeczypospolitej”.

Warszawa postanowiła kontratakować. Pierwszy komunikat MSZ-u kierowanego przez Włodzimierza Cimoszewicza dotyczył naszych publikacji. W zawitych słowach wyjaśniano, że ostatnia runda negocjacyjna „służyła sondażowi”, a „liczba i zakres okresów przejściowych, o jakie występuje Polska, nie ulega zmianie”. Sam Truszczyński w rozmowie z PAP-em nazwał

całą sprawę „burzą w szklance wody”. Przyznał jednak, że „pewne sygnały” zostały Piętnastce przekazane. „Tymczasem unijni dyplomaci niepotrzebnie przekazali je dziennikarzom, a ci z kolei — do publicznej wiadomości”.

Była to oczywiście aluzja do moich dyplomatycznych źródeł. Uważałam jednak, że bardzo dobrze się stało, iż owi „unijni dyplomaci” przekazali mi wiadomości, które chciał utajnić polski negocjator.

Mój informator należał do tych, którzy — podobnie jak ja — byli przekonani, że negocjacje nie powinny toczyć się wyłącznie w zaciszu gabinetów. Skrytykował naszego negocjatora także za to, że nie pozostawił ambasadorom treści swojego wystąpienia podczas rundy negocjacyjnej ani nie rozdał go dziennikarzom, jak dotychczas czynił Kułakowski. Od tej pory Truszczyński zawsze rozpowszechniał druki ze swoimi wystąpieniami.

W połowie listopada rząd podjął decyzje, które wcześniej tak stanowczo dementował w swoim komunikacie MSZ: oficjalnie wycofał wnio-



Szef MSZ Włodzimierz Cimoszewicz dopiero w Brukseli ujawnił stanowisko rządu w sprawie sprzedaży ziemi cudzoziemcom.

sek o ochronę ziemi pod inwestycje oraz skrócił do dwunastu lat okres ochronny na ziemię rolną i lasy. W Warszawie zorganizowano konferencję prasową w tej sprawie, na której, jak się później okazało, nie powiedziano całej prawdy. Następnie szef dyplomacji Włodzimierz Cimoszewicz oraz szefowa UKIE Danuta Hübner przyjechali do Brukseli przedstawić nowe propozycje.

Jacek Safuta z PAP-u zapytał wtedy, czy dwanaście lat, o które występujemy, dotyczy także rolników indywidualnych. Mało kto pamiętał, że dotycząca okresów przejściowych propozycja komisarza Verheugena ich nie obejmowała. Węgrom udało się wynegocjować trzy lata restrykcji dla unijnego farmera, który własnoręcznie zamierza uprawiać węgierską ziemię. Po krótkiej naradzie, prowadzonej ściszymi głosami, ministrowie po raz pierwszy ujawnili, że dla rolników indywidualnych występują tak jak Węgrzy tylko o trzy lata. Oznaczało to, że każdy unijny farmer już trzy lata po wejściu Polski do UE będzie mógł kupować u nas ziemię rolną. Do tej pory wszyscy byli przekonani, że dwanaście lat, o które występujemy, dotyczy zarówno międzynarodowych firm, które chciałyby kupić w Polsce na przykład siedemset hektarów ziemi, jak i pojedynczych farmerów, którzy chcą osobiście uprawiać ziemię w naszym kraju. Okazało się, że chodzi jedynie o duże przedsiębiorstwa. To jednak wyszło na jaw dopiero w Brukseli, przy okazji pytania zadanego przez Jacka. Pytaliśmy ministrów, dlaczego rząd nie informował o tym wcześniej. Nawet liderzy PSL, a więc koalicjanta SLD, dowiedzieli się o wszystkim z naszych korespondencji.

W Warszawie rozpętała się burza. Protestowali posłowie w sejmowej Komisji Europejskiej. Zażądali ustnego sprawozdania szefa dyplomacji. Ten jednak na obrady komisji nie przyszedł.

W tym czasie minister Hübner przesłała na ręce ambasadora Belgii, która przewodniczyła wtedy UE, listę naszych ustępstw. Znalazły się tam wszystkie zmiany naszego stanowiska negocjacyjnego, a minister zapowiadała kolejne. Znowu, zamiast informować społeczeństwo, rząd w pierwszej kolejności komunikował swoje ustępstwa Brukseli.

List dotarł nie tylko do adresata, ale i do mnie. Unijny dyplomata, który przekazał mi ten poufny dokument, skomentował:

— W naszym kraju takie decyzje byłyby najpierw konsultowane z parlamentem, a dopiero potem przekazywane Brukseli.

Zrobiło mi się wstyd. Wyglądało na to, że polski rząd nie ma odwagi otwarcie prezentować swojego stanowiska w kraju. Po moich publikacjach znowu zawrzało.

— Kto ci daje te wszystkie dokumenty? — dziwiła się rzeczniczka naszego przedstawicielstwa. Wyglądało na to, że przed korespondentami w Brukseli niewiele można ukryć.

Tymczasem w Warszawie trwała awantura. Wpadki rządu ostro krytykowała opozycja. Przywódca Samoobrony, Andrzej Lepper, obraził szefa naszej dyplomacji, nazywając go „kanalią”. Liga Polskich Rodzin zaczęła zbierać podpisy pod wnioskiem o odwołanie Cimoszewicza. Jej posłowie mówili, że minister „ukrywa istotne elementy stanowiska rządu”. Wicepremier Jarosław Kalinowski zapowiedział, że nie zgodzi się na ledwie trzyletnie ograniczenia w sprzedaży ziemi unijnym farmerom.

Wydawało się, że negocjacje utkwily w miejscu. W dodatku małe kraje, takie jak Austria, Szwecja, Holandia i Finlandia, miały jeszcze pewne zastrzeżenia do propozycji przyznania nam dwunastu lat ochrony w wypadku przedsiębiorstw. Nie chciały faworyzować Polski w stosunku do innych kandydatów, którzy zgodzili się na znacznie krótsze, siedmioletnie okresy ochronne.

Premier Leszek Miller uzyskał jednak poparcie dużych krajów: Wielkiej Brytanii, Niemiec i Francji. Czas naglił. Belgowie chcieli doprowadzić do kompromisu w kwestiach pracy i ziemi najpóźniej w grudniu. Próbowali zastosować nietypowe rozwiązanie, które miało jednocześnie zadowolić małe kraje i spodobać się Polsce. Zaproponowali mianowicie podzielenie dwunastoletniego okresu przejściowego na trzy krótsze: 7 + 3 + 2. Polska, tak jak inni kandydaci, byłaby chroniona przez siedem lat. Ten czas mógłby zostać przedłużony o kolejne trzy, a potem dwa lata, gdybyśmy udowodnili, że nadal istnieje ryzyko spekulacyjnego wykupu ziemi.

Warszawa jednak twardo broniła pełnych dwunastu lat. Mając poparcie Berlina, po co zgadzać się na mniej pewne rozwiązanie? — rozumowali nasi negocjatorzy. Mogłoby się przecież zdarzyć, że Unia już po siedmiu latach uzna, że nie ma u nas ryzyka wykupu ziemi.

Wyjść z impasu można było tylko osiągając zgodę w rządzie (chodziło o PSL) na okres przejściowy dla rolników indywidualnych. Decyzja zapadła dość niespodziewanie. Rząd wycofał się ze zgłoszonych w listopa-

dzie warunków i 18 grudnia postawił nowe: w województwach zachodnich i pomorskich cudzoziemscy rolnicy indywidualni będą musieli dzierżawić ziemię przez siedem lat, zanim będą mogli ją kupić. W pozostałych województwach okres ochronny miał wynosić tyle, co w poprzedniej propozycji — trzy lata.

Gdy usłyszałam o tych warunkach po raz pierwszy, byłam z początku pewna, że nie mają szans na akceptację: miały zbyt wyraźnie antyniemiecki wydźwięk.

Zadzwoiłam do znajomego niemieckiego dyplomaty.

— Czy ograniczenia na zachodzie Polski mają dotyczyć tylko Niemców, czy wszystkich obywateli Unii? — spytał, gdy wyjaśniłam, w czym rzecz.

Odpowiedziałam, że wszyscy będą traktowani tak samo.

— A więc sądzę, że nie będziemy robić problemów — odpowiedział.

Zrozumiałam. Niemcy wciąż są świadomi swojej historii. Nie będą sprawiać problemów tam, gdzie mogłoby to otworzyć stare rany. Odnieśliśmy sukces, bo rozwiązanie, które proponowaliśmy, dotyczyło wszystkich, nie tylko Niemców. Przypominaliśmy historię bez piętnowania naszych sąsiadów.

Zadzwoiłam do Holendrów. Tam panowała zupełnie inna atmosfera.

— Kilkaset holenderskich rodzin osiedliło się już w północno-zachodniej części waszego kraju — powiedział mi holenderski dyplomata. — Nauczyli się języka, posyłają dzieci do polskich szkół. To nie są żadni spekulanci, ale farmerzy, którzy inwestują w Polsce.

Zrobiło mi się głupio. Znam przecież Holendrów. Wiedziałam, że dyplomata mówi prawdę. Mąż mojej siostry jest Holendrem, a mój siostrzeniec i siostrzenica mówią po niderlandzku tak samo dobrze jak po polsku. W holenderskiej części mojej rodziny są farmerzy, którzy wyemigrowali do Francji. Chcieli podtrzymać tradycję, być rolnikami, jak ich ojcowie i dziadkowie. W Holandii zaś ziemi jest za mało i jest za droga.

Zresztą, Holendrzy emigrowali w poszukiwaniu ziemi od wieków. Byli w Polsce już w XVII stuleciu. Nazwy niektórych wiosek w okolicach Piotrkowa Trybunalskiego wskazują na niderlandzkie pochodzenie ich dawnych mieszkańców. Mój dziadek, Piotr Szymański, pochodził z Milejowa,

budowanego niegdyś przez niderlandzkich osadników. Według mojego ojca w moich żyłach płynie więc na pewno także niderlandzka krew. Podobnie jak u mojego przyjaciela, Łukasza Warzechy. Łukasz opowiadał mi kiedyś, że jego praprababka uciekła z Niderlandów przed Napoleonem. Nazywała się von Melion.

Gdy podczas świąt spotykam się z „moimi” Holendrami, opowiadają (rozmawiamy po francusku) o swojej ciężkiej pracy. W małej wiosce w Masywie Centralnym we Francji, w której się osiedlili, są najmłodszy. Pomagają więc dużo starszym francuskim chłopom. Czasami brak im tylko równinnego krajobrazu. Ci, którzy osiedli na północy Polski, wybrali ją także dlatego, że ta część naszego kraju przypomina im rodzinne strony. Dlaczego mielibyśmy być mniej gościnni, niż byliśmy dawniej albo niż obecnie są Francuzi?

Holenderski dyplomata zapowiedział, że Haga sprzeciwi się polskiemu wnioskowi o siedmioletni okres ochronny dla zachodnich i północnych województw. Dał do zrozumienia, że Polska powinna zaliczyć tym farmerom, którzy już się u nas osiedlili, czas dotychczasowej dzierżawy do długości wymaganego okresu przejściowego.

— Bo jak wytłumaczyć holenderskiemu rolnikowi, który od kilku lat własnoręcznie uprawia tę ziemię, że nie będzie mógł jej kupić jeszcze przez siedem lat po wejściu waszego kraju do Unii? — pytał.

Holandia zablokowała porozumienie w sprawie ziemi. Belgowie dali za wygraną. W grudniu zdołali jeszcze zakończyć negocjacje z Polską w sprawie swobody pracy. Problem ziemi musieli pozostawić Hiszpanii, która od stycznia 2002 roku obejmowała przewodnictwo w UE.

Do rokowań włączył się Günter Verheugen. Specjalnie pojechał do Warszawy, by przekonywać wicepremiera Kalinowskiego. „Panie premierze — mówił — w pańskich rękach spoczywa nie tylko przyszłość polskiego rolnictwa i Polski, ale całego poszerzenia Unii Europejskiej, czyli przyszłość naszego kontynentu”.

Te słowa przekonały lidera PSL-u. Ostatecznie wliczyliśmy pracującym u nas Holendrom dotychczasową dzierżawę do okresu przejściowego. Jednak rozstrzygającą rozmowę z premierem Holandii Wimem Kokiem przeprowadził Leszek Miller w połowie marca 2002 roku podczas szczytu w Barcelonie.



Premier Holandii Wim Kok bronił prawa holenderskich farmerów do zakupu polskiej ziemi, jednak nie chciał z tego powodu blokować rozszerzenia Unii.

Polskę poparli kanclerz Niemiec Gerhard Schröder i premier Wielkiej Brytanii Tony Blair. Holendrzy odblokowali porozumienie.

W rezultacie uzyskaliśmy najwięcej ze wszystkich kandydatów.

— Gdybyście na początku nie poprosili o osiemnaście lat, to nigdy nie dostalibyście dwunastu — przyznał Eneko Landaburu. Dokładnie cztery lata wcześniej jego poprzednik, Klaus van der Pass, twierdził, że nie należy się nam żadna ochrona ziemi.

Na początku domagaliśmy się rekordowo długiego okresu przejściowego — i dlatego odnosiliśmy potem wrażenie, że to my ustępujemy. Było jednak na odwrót: krok po kroku ustępowała Unia Europejska. Zostaliśmy potraktowani wyjątkowo, tak jak wyjątkowo tragiczna była nasza historia.

Zabawa w grabbelton

Kiedyś obserwowałam gromadkę dzieci w nowo otwartym sklepie w mojej dzielnicy w Brukseli. Pośrodku ustawiono wysoki plastikowy kosz, w którym znajdowały się upominki: torebki z cukierkami i czekoladkami. Z zewnątrz nic nie było widać. Każde z dzieci na oślep wkładało rękę do kosza i wyciągało z niego jakiś smakołyk. Sprzedawczyni wyjaśniła mi, że to tradycyjna belgijska zabawa zwana *grabbelton*. *Grabbelen* znaczy po niderlandzku „grzebać”.

W tym czasie — był koniec maja 2000 roku — zdobyłam poufny dokument, zawierający stanowisko negocjacyjne Piętnastki na rokowania z Polską w sprawie rolnictwa. Zmęczona nadmiarem technicznych informacji, postanowiłam zabawić się w *grabbelton*. I już za pierwszym podejściem z opasłego dokumentu wyciągnęłam... ogórek małosolny. To niepozorne warzywo, przyrządzone na polski sposób okazało się prawdziwym przebojem negocjacji.

O przezornym wniosku naszych negocjatorów w jego sprawie dowiedziałam się dopiero z unijnego dokumentu. Musiałam więc cofnąć się do oficjalnego polskiego stanowiska negocjacyjnego z 9 grudnia 1999 roku. Wśród wniosków, pisanych bezbarwnym, technicznym językiem — na przykład o objęciu Wspólną Polityką Rolną produkcji ziemniaków czy o przyznanie nam wysokiej kwoty na produkcję mleka — natrafiłam na akapit wręcz sentymentalny. *Na polskim rynku w sezonie letnim przedmiotem obrotu są ogórki o znacznie mniejszej masie (poniżej 180 g), które wykorzystywane są przez gospodynie do robienia przetworów domowym sposobem. W Polsce istnieje*

tradycja przygotowywania w domu tak zwanych „ogórków małosolnych”, które nie występują w krajach Unii” — przeczytałam.

Przywołane w dokumencie gospodynie domowe miały pomóc w przekonaniu Unii, że także te małe ogórki, są jadalne, a nawet bardzo smaczkowite. Nasza ekipa negocjacyjna obawiała się, że małosolny, jako ważący mniej niż wymagane 180 g (bezdusznna regulacja Rady UE nr 2200/96), po wejściu do Unii może zniknąć z naszych stołów. Troska negocjatorów była godna podziwu — zapomnieli co prawda wystąpić o obniżenie VAT-u w budownictwie, ale o niewymiarowym ogóreczku pamiętali!

Unia nie robiła problemów. W dokumencie, który zdobyłam, stwierdzano, że polskie obawy są bezpodstawne: wystarczy, aby *ogórki tego typu były oznakowane na opakowaniach jako „mini ogórki” albo „ogórki małe/krótkie”*. Mogłam więc ogłosić zwycięstwo Polski w walce o narodową zagrychę!

Bardziej dramatyczny przebieg miała walka o bryndzę i oscypek. Te polskie smakołyki wygrzebałam, sięgając do negocjacji w kwestiach weterynaryjnych. Od początku występowaliśmy o możliwość produkowania ich tradycyjnymi metodami.

— Niestety, metody tradycyjne, to metody niehigieniczne — jak uczciwie wyjaśnił mi na początku 2000 roku ówczesny główny weterynarz kraju, Andrzej Komorowski (pochodzi jak ja z Krakowa i często słuchał moich korespondencji w radiu RMF FM). — To pani z Krakowa i nie wie, że baca nie myje rąk, gdy robi oscypek, bo na halach, w szałasach, gdzie się go wyrabia, nie ma bieżącej wody? — pytał.

Komorowski był profesjonalistą jakich niewielu. Często do niego dzwoniłam, a on zawsze miał dla mnie czas. Tym razem — był wrzesień 2001 roku — telefonowałam bardzo zaniepokojona.

— Panie doktorze — mówiłam — nasz oscypek jest zagrożony! Dlaczego nie przesyłamy żądanych przez Brukselę dokumentów?

Sytuacja faktycznie była poważna. Słowacy przekazali do Brukseli dokumenty, w których dowodzili, że oscypek jest produkowany po ich stronie Karpat już od XVII wieku. Urzędnicy Komisji mówili, że jeżeli nie prześlemy historii oscypka w Polsce i opisu sposobu jego produkcji, to stracimy do niego prawa na rzecz Słowacji.

Komorowski uspokajał i zapewniał, że dokumenty zostaną przesłane na czas. Tym razem mnie nie przekonał. Postanowiłam alarmować. Góralka

w kwiecistej spódnicy, sprzedająca oscypki na rogu Floriańskiej, to przecież moje dzieciństwo! Nie darowałabym sobie, gdybyśmy te wysmienite sery musieli kupować u naszych południowych sąsiadów.

Moje korespondencje w RMF-ie były tak dramatyczne, że zainteresowała się nimi nawet niemiecka agencja prasowa, DPA. Mój kolega Roland, jej brukselski korespondent, przyniósł mi nazajutrz wydruk depeszy: *Der geraucherte Kase mit dem typisch salzigen Geschmack ist nun zum Streitpunkt in dem Beitrittsverhandlungen geworden, berichtete der Radio RMF am Montag* (Wędzony ser o typowym, słonawym smaku stał się punktem zapalnym w negocjacjach członkowskich, podało w poniedziałek radio RMF).

Informacje, na które czekała Komisja, w końcu doszliśmy, ale dopiero 15 lutego 2002 roku. Dokumenty przekazał mi znajomy weterynarz w KE. Na polskich dyplomatów nie miałam co liczyć, bo dla nich nawet historia i cykl produkcyjny oscypka były poufne — w papierach znajdowały się wszak zdjęcia warząchw (chochli), oscypiorki (prasy do wygniatania oscypka) i obońki (drewnianego naczynia do przenoszenia mleka).

Jednym tchem pochłonęłam kilkadziesiąt stron tekstu na temat oscypka. Dowiedziałam się, że kilogram tego sera robi się z 6–7,5 litra owczego mleka, często dodaje się 10–20 procent mleka krowiego, że można robić oscypek wyłącznie z mleka krasuli. Uspokołam się jednak dopiero, gdy przeczytałam, że oscypka robimy co najmniej od 1416 roku. A więc dużo dłużej niż Słowacy!

Pierwsze odniesienie do produkcji sera w regionie Podhala i okolicy znajduje się w akcie założycielskim wsi Ochotnica w Gorcach — czytałam. Natomiast najstarsza wzmianka o bryndzy pochodzi z Krakowa z 1527 roku, kolejna — z 1605, z ksiąg sądowych Kasiny Wielkiej. W XVII wieku w polskich księgach sądowych roi się od opisów tych serów, gdyż nimi właśnie płacono podatek od owiec i użytkowania hal w Tatrach.

Dokumenty przekonały Brukselę. We wrześniu 2002 roku było już jasne, że zgodzi się na naszą tradycyjną (a więc niezgodną z normami higieny UE!) produkcję sera na halach. Jednak wciąż otwarta pozostawała kwestia, kto — my czy Słowacy — dostanie wyłączność na stosowanie znaku towarowego „oscypek”. Tę sprawę będzie można rozstrzygnąć po zakończeniu negocjacji — przekonywali polscy dyplomaci, zadowoleni z samej zgody Unii na produkcję oscypka.

Innym razem w ramach *grabbelton* wyłowiliśmy bałtyckiego szprota. Ten smakołyk nie był co prawda zagrożony, ale polscy negocjatorzy chcieli, aby odławiający go rybacy otrzymywali dotacje. Unijni negocjatorzy tymczasem tłumaczyli, że w krajach Piętnastki szprotek się nie je. Później jeden z duńskich dziennikarzy powiedział mi, że to nieprawda, bo te smaczne rybki spożywa się także w jego kraju. Prawdą natomiast jest, że w Unii szprotki przeznaczają się głównie na paszę dla zwierząt, ta zaś nie jest dotowana z brukselskiej kasy.

Nasi negocjatorzy walczyli zaciekle. Dowodzili, że w południowych wodach Bałtyku pływa specjalny gatunek szprotki, zwany *Sprattus sprattus balticus*, który nadaje się do spożycia. Bruksela zareagowała zdziwieniem na odkrycie naszych badaczy. W stanowisku negocjacyjnym UE z 27 lipca 2000 roku można było przeczytać, że *żadne grono naukowe w Europie i na świecie nie zidentyfikowało istnienia oddzielnego gatunku szprota o nazwie Sprattus sprattus balticus*. Spór trwał kilka miesięcy. Polska szprotka znalazła się w pewnym momencie w centrum zainteresowania dziennikarzy w Brukseli — zwłaszcza gdy zapytałam na południowym briefingu w Komisji, kto ostatecznie ma rozstrzygnąć, czy szprot bałtycki istnieje jako oddzielny gatunek. Ichtiolodzy? Komisja Europejska? Jakaś międzynarodowa, niezależna struktura?

Inga Rosińska z TVN24 miała w lodówce puszkę szprotek i była gotowa w każdej chwili udowodnić istnienie polskiego *sprattusa*; pokazała ją zresztą na jednej z imprez, dzięki czemu przekonała kilku zagranicznych dziennikarzy. Z Komisją Europejską poszło znacznie trudniej.

W końcu osiągnięto kompromis. Zamiast bezpośredniego wsparcia dochodów rybaków otrzymaliśmy nieco mniejsze wsparcie rynkowe.

— To konkretna suma pieniędzy, którą będzie otrzymywał rybacka organizacja producentów — wyjaśnił mi jeden z urzędników w Komisji Europejskiej. Nie uznano więc wprawdzie istnienia specjalnego gatunku szprotki, ale przyznano nam pewne subwencje. Cieszyli się także Duńczycy, bo do tej pory nie otrzymywali żadnych dotacji do konsumpcyjnych szprotek. Po rozszerzeniu UE skorzystają na wywalczonym przez nas kompromisie.

Początkowo Warszawa domagała się, aby interwencją rynkową objęto szprotki już od 8 cm. Twierdziliśmy też, że nasze śledzie są mniejsze, bo żyją w bardziej zasolonych wodach południowego Bałtyku. Unia konsekwentnie

powtarzała, że to po prostu narybek, nieco zatem ustąpiliśmy i decyzją Rady Ministrów przedłużyliśmy ryby o 2 cm, po czym zaczęliśmy się domagać dotacji od 10 cm wzwyż. Ostatecznie uzgodniono, że norma długości naszych szprotek i śledzi zostanie ustalona po wejściu Polski do UE.

Nieraz oblizywałam się podczas negocjacji. Gdyby nasi negocjatorzy znali zabawę w *grabbelton* — myślałam — i zamiast opasłych dokumentów przywieźli czasem do Brukseli puszkę szprotek lub słoik ogórków, może wszystko potoczyłoby się szybciej. Może przez żołądek udałoby się trafić do serc eurokratów.

Na tropie daty

— Kiedy Polska wejdzie do Unii?

Zadałam to pytanie przynajmniej po raz setny, odkąd przyjechałam do Brukseli. Jednak José Maria Gil-Robles — niezbyt przystojny Hiszpan, przewodniczący Parlamentu Europejskiego — nie zdziwił się. Pamiętał, jak wyglądały negocjacje jego własnego kraju. Hiszpańscy dziennikarze pytali wtedy o to samo.

Kończył się rok 1997. Niektórym w Polsce brzmiały jeszcze w uszach zapewnienia kanclerza Niemiec Helmuta Kohla i prezydenta Francji Jacquesa Chiraca o członkostwie w roku 2000. Gil-Robles nie chciał jednak podtrzymywać naszych złudzeń.

— Do Unii wejdziecie najwcześniej za siedem lat — powiedział — Negocjacje z wami będą trwać co najmniej tak długo jak z Hiszpanią. Macie gorzej przygotowaną administrację, mniejszy PKB oraz słabiej dostosowane ustawodawstwo niż my, gdy wstępowaliśmy do Unii. Rozszerzenie nie jest wyścigiem, w którym dobiega się do mety i jest już po wszystkim. My też mówiliśmy: „Próbuje nas odrzucić, nie rozumiecie, że po zerwaniu z dyktaturą Franco członkostwo w Unii to dla nas kwestia wolności”. Teraz, gdy jesteśmy wewnątrz, widzimy, że trzeba było lepiej negocjować choćby kwestie rolnictwa i rybołówstwa.

Należałam do tych polskich dziennikarzy, którzy pytali o datę członkostwa w UE od samego początku. Narażałam się na ironiczne uśmiechy i komentarze, że termin przystąpienia jest naszą obsesją. Wywoływałam irytację polskich polityków, gdy moi unijni rozmówcy obnażali nieralistycz-



Przewodniczący Parlamentu Europejskiego Jose Maria Gil-Robles (pierwszy z lewej) nie wierzył w nasze szybkie członkostwo w Unii Europejskiej. Przewodniczący Komisji Jacques Santer (drugi od lewej) był nieco większym optymistą.

ność oficjalnie wyrażanych oczekiwań. Z kolei dyplomaci z Unii zarzucali mi zajmowanie się marginalnymi kwestiami.

A przecież data to bardzo poważna sprawa! Każdy rok później oznacza mniej unijnych funduszy i brak polskiego głosu przy podejmowaniu kolejnych decyzji ważących na przyszłość UE. Podobno sam Jacques Delors, wieloletni przewodniczący Komisji Europejskiej, podpowiedział swojemu przyjacielowi Janowi Kułakowskiemu — pierwszemu polskiemu ambasadorowi przy UE, a później głównemu negocjatorowi — że trzeba zabiegać o wyznaczenie konkretnego terminu poszerzenia. Dlaczego? Ponieważ Unia, sama sobie wyznaczając terminy realizacji kolejnych projektów, czuje się zobligowana do ich przestrzegania. W ten sposób integracja posuwa się do przodu krok po kroku. Niektórzy ten marsz nazywają „metodą Delorsa”. Wyznaczenie daty oznaczałoby, że jesteśmy już jedną nogą w Unii.

Jesienią 1997 r. nowo powołany rząd Jerzego Buzka nie miał jeszcze przemyślanej polityki integracji z UE. Oficjalnie, trochę siłą rozpędu, obowiązywała więc magiczna data 2000 r. Gdy nowy szef UKiE, Ryszard Czarnecki, powiedział w pierwszych tygodniach urzędowania, że Polska wejdzie do Unii dopiero między 2004 a 2006 r., wybuchł skandal. Małgorzata Alterman pracowała jeszcze wówczas dla „Gazety Wyborczej”, ale chyba już wczuwała się w rolę dyplomaty (wkrótce objęła funkcję rzeczniczki polskiego przedstawicielstwa przy UE), bo wykrzykiwała: „Panie ministrze, tak nie można! Strzela pan sobie w stopę, mówiąc o tak później dacie. Unia oficjalnie nie powiedziała, że rok 2000 jest nierealistyczny”.

Małgosia jednocześnie miała rację i jej nie miała. Nie należało oczywiście samemu stwarzać wrażenia, że godzimy się na późniejsze członkostwo, ale z drugiej strony rok 2000 był już wtedy zupełną fikcją. Czarnecki zresztą szybko wycofał się ze swojej deklaracji. „Zaszło nieporozumienie. To był cytat, a nie mój własny pogląd” — powiedział w wywiadzie dla „Życia”, który przeprowadzałam z nim w Warszawie wspólnie z Piotrem Semką.

Komisja Europejska Jacquesa Santera nie ułatwiała Polsce zadania. Kanclerz Kohl nie odwołał swojej obietnicy; nie ogłosił także nowej daty. KE działała więc po omacku. W pierwszych miesiącach po rozpoczęciu negocjacji w 1998 r. Françoise Gaudenzi, negocjatorka z ramienia Komisji, pytana o datę, powoływała się zazwyczaj na „hipotezę roboczą KE”, która zakładała, że pierwsze kraje wejdą do Unii w 2002 r. Tak wynikało z projektu unijnego budżetu na lata 2000–2006, który przewidywał pierwsze rozszerzenie o sześć krajów (Polskę, Czechy, Węgry, Estonię, Słowenię, Cypr) właśnie w tym terminie.

Gdy do władzy w Niemczech doszli socjaldemokraci, Gerhard Schröder, nowy kanclerz, mówiąc o poszerzeniu, nie był już tak uprzejmy jak jego poprzednik, za to często konkretniejszy. Tymczasem Komisja kierowana przez chadeka Santera wciąż sprawiała wrażenie zagubionej. Nieoficjalnie w Berlinie i Paryżu zaczęto mówić, że realną datą przyjęcia do Unii pierwszych nowych członków jest rok 2005 lub nawet 2006.

W lutym 1999 r. rozmawiałam z Santerem podczas szczytu europejskiej chadecji w Brukseli. Powiedział mi wówczas, że po dojściu socjaldemokratów do władzy w wielu krajach Piętnastki poszerzenie może się nieco

opóźnić. Zazwyczaj lakoniczny w sprawie terminów tym razem przyznał, że „data by się przydała, aby utrzymać tempo negocjacji”.

— Jaka to może być data? — spytałam.

— To może być rzeczywiście rok 2002 lub 2003 — odpowiedział Santer — ale wszystko będzie zależało od przygotowania kandydatów i naszego własnego.

Santer, mówiąc to, zrobił się czerwony jak burak. Nie było w tym nic nadzwyczajnego — czerwieniał się przy lada okazji. Tym razem jednak nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że przewodniczący spłoszył, ponieważ nie mówił prawdy. Chadeckie i centrowe partie w krajach Unii stały się rzecznikami wyznaczenia wczesnej daty poszerzenia w chwili, gdy niewiele już od nich zależało.

Główny negocjator z ramienia Komisji Europejskiej, Klaus van der Pass, zaproponował mniej więcej w tym czasie, aby kraje kandydujące same wyznały sobie datę gotowości do członkostwa. Miało to ułatwić negocjacje, stało się jednak początkiem długotrwałej zabawy w kotka i myszkę między Polską a Unią. Van der Passowi chodziło o wyznaczenie ostatecznej granicy dostosowania kraju do unijnego ustawodawstwa, czyli realizacji zobowiązań negocjacyjnych. W Polsce rozumiano tę datę jako moment wejścia do Unii. Rząd przyjął termin 31 grudnia 2002 r., szybko jednak zaczęto zamiast tego mówić o 1 stycznia 2003 r., bo sprawiało to bardziej realistyczne wrażenie. Zatem my datę już mieliśmy — teraz należało wyegzekwować ją od Unii.

Gdy we wrześniu 1999 r. wróciłam z wakacji do Brukseli, czekała mnie niemiła niespodzianka. Jeszcze dziesięć dni wcześniej, wylegując się na plaży na Lazurowym Wybrzeżu, czytałam we francuskiej prasie, że nowy przewodniczący Komisji Europejskiej, Romano Prodi, zapowiedział wyznaczenie daty przyjęcia do Unii „najlepiej przygotowanych krajów, nawet jeżeli miałyby to oznaczać długie okresy przejściowe”. Prodi ogłosił również, że poszerzenie będzie priorytetem jego kadencji. Brzmiało to poważnie i zapowiadało przemyślaną strategią. Wydawało mi się, że teraz sprawy potoczą się błyskawicznie.

Jednak już wkrótce rzecznik Prodiego, Ricardo Levy (później usunięty, jako mianowany z klucza politycznego i niezbyt kompetentny), zwołał polskich dziennikarzy i nie zastrzegając sobie anonimowości, wyjaśniał

nam długo, że „przewodniczący wziął teraz poważnie pod rozwagę sprzeciw Francji i kilku innych krajów”. Oznaczało to po prostu, iż pod naciskiem Paryża wycofał się z obietnicy podania daty w grudniu 1999 roku na szczycie UE w Helsinkach. Francja obawiała się, że zyskawszy pewność co do terminu wejścia, Polska osiadzie na laurach. Paryżowi nie spieszyło się do poszerzenia także i dlatego, że bał się przesunięcia punktu ciężkości na Wschód i wzmocnienia roli Berlina w poszerzonej Unii. Hubert Vedrine, szef francuskiej dyplomacji w lewicowym gabinecie Lionela Jospina, był bardzo poirytowany. Twierdził, że w sprawie daty jest „dużo gadania i niepotrzebnych obietnic”.

Wielu francuskich i niemieckich dziennikarzy uznało falstart z datą za jedną z licznych gaf Prodiego. Terminu poszerzenia nie podano ani w grudniu 1999 r. na szczycie w Helsinkach, ani w czerwcu 2000 r. w Lizbonie.

Jednak pomysł wracał jak bumerang. Nowy komisarz do spraw poszerzenia, Günter Verheugen, jeszcze we wrześniu 1999 r. po raz pierwszy wspominał o roku 2004. I szybko umilkł, skarcony zarówno przez państwa Unii, jak i przez Polskę.

— Z pełnym szacunkiem odnoszę się do stanowiska pana Verheugena, ale Polska podtrzymuje ustaloną już datę 1 stycznia 2003 roku — oświadczył Jan Kułakowski.

Komisarz, odwiedzając na początku 2000 r. Polskę, chyba tylko przez grzeczność powiedział, że rok 2003 to „data, która nie jest nierealistyczna”. To podwójne zaprzeczenie brzmiało niezbyt przekonująco i wynikało z niepisanego porozumienia między Warszawą a Verheugenem. Chodziło z jednej strony o nacisk na stolicę Unii, z drugiej — o mobilizację sił w kraju.

Nasza dyplomacja chwyciła się jednak tego czysto taktycznego sformułowania jak deski ratunkowej. Miesiącami podtrzymywano iluzję o szansie na członkostwo w Unii w 2003 r. O tym terminie nie wspominał nikt inny, bo naraziłby się na śmieszność. Tymczasem polscy urzędnicy tłumaczyli, że odpuszczenie daty dałoby do ręki odpornej administracji i leniwym posłom argument, iż nie trzeba się spieszyć z uchwalaniem i wdrażaniem nowych ustaw.

Chodziło także o stworzenie zapory dla tych sił wewnątrz Unii, które chciałyby pierwszego rozszerzenia w latach 2005, 2006 lub jeszcze później.

Tymczasem w otoczeniu komisarza Verheugena najczęściej mówiono — nieoficjalnie — o roku 2004, bardziej optymistyczne zapewnienia zachowując na użytek opinii publicznej w Polsce.

Ta podwójna intryga była szyta grubymi nićmi, bez trudu wyławiałam więc sprzeczności między tym, co mówił Verheugen, a deklaracjami innych brukselskich urzędników. Sam komisarz często co innego miał do powiedzenia polskim dziennikarzom, a co innego niemieckim. Verheugen mówił po prostu to, co chcieli usłyszeć jego rozmówcy.

Doszło do tego, że mój redakcyjny kolega z „Życia”, Romek Kiedrzyński, zaproponował utworzenie stałej rubryki pod tytułem „Verheugen today”. Miałabym ją zapełniać, każdego ranka telefonując do komisarza z pytaniem o jego aktualne prognozy co do daty naszego członkostwa (o tym pomyśle napisał niemiecki tygodnik „Stern”, publikując portret Verheugena).

W tym czasie zyskałam sobie w Brukseli miano dziennikarki co najmniej trudnej. Nie przejmowałam się tym jednak. Zależało mi na rozerwaniu zaczarowanego kręgu iluzji, w którym tkwiła zapewne duża część moich czytelników i słuchaczy. Temu miał służyć mój artykuł opublikowany w dniu posiedzenia szefów dyplomacji Piętnastki przed szczytem UE w Nicei w grudniu 2000 r. Zatytułowałam go „Szok dla Polski”. Szok — bo właśnie tego dnia miało stać się jasne, że nie ma najmniejszych szans na członkostwo w 2003 r. Według moich informacji podczas tego spotkania Francja i Niemcy miały odrzucić propozycję, by Unia zobowiązała się do zakończenia negocjacji z krajami kandydującymi do końca 2002 r. Podjęłam duże ryzyko, bo pisanie o tym, co ma się dopiero wydarzyć, zawsze jest ryzykowne. Zaufałam jednak moim informatorom.

O dziewiątej rano, przed posiedzeniem unijnych ministrów, wszyscy polscy korespondenci przyszli na śniadanie prasowe z nowym szefem UKiE, Jackiem Saryusz-Wolskim. W naszym przedstawicielstwie dawało się wyczuć napiętą atmosferę. Saryusz-Wolski był jednym z najgorętszych zwolenników podtrzymywania przez rząd terminu 2003 r. Chyba pokrzyżowałam mu szyki.

Minister powitał mnie z kamienną twarzą. Powiało chłodem. Nie zarzucał mi, że kłamię, jednak jego zdaniem „nie należało tego pisać”.

Dodatkowym wstrząsem było wymienienie przez mnie nie tylko Francji, ale i Niemiec jako kraju niechętnego wyznaczeniu wczesnej daty

poszerzenia. W Polsce starano się utrzymać przekonanie, że Berlin wręcz marzy o szybkim powiększeniu Unii. Tymczasem jeden z zaprzyjaźnionych niemieckich dyplomatów powiedział mi wyraźnie, że jest zgoła inaczej, gdyż rząd Schrödera nie chce zobowiązywać się do zakończenia rokowań w 2002 r. ze względu na mające się odbyć jesienią wybory do Bundestagu.

Inne przeszkody to wybory we Francji, możliwość przedłużenia się reformy unijnych instytucji oraz Wspólnej Polityki Rolnej (WPR). Do tego dochodziły obawy, że Polska nie zdąży przygotować się do członkostwa. Niemcy byli przekonani, że negocjacje skończą się najwcześniej w pierwszej połowie 2003 r., głównie ze względu na reformę WPR. Berlin chciał za wszelką cenę uzyskać obietnicę zmniejszania dopłat bezpośrednich dla rolników, a to było niemożliwe bez długiej batalii wewnątrz Piętnastki. Jeżeli ten scenariusz miałby się sprawdzić, do Unii moglibyśmy wejść dopiero 1 stycznia 2005 r. Nieoficjalnie o tym terminie mówili szef niemieckiej dyplomacji Joschka Fischer i sam kanclerz Schröder.

Tak jak przepowiadałam, rok 2002 został przez ministrów odrzucony. Kilka dni później termin ten wykluczył również przebywający z wizytą w Brukseli Gerhard Schröder. Paryż i Berlin nie chciały sobie wiązać rąk, wyznaczając datę zakończenia negocjacji, którą uważały za bardziej zobowiązującą niż obłożona licznymi warunkami data członkostwa. Dlatego bez większych oporów zgodziły się pierwszego dnia szczytu w Nicei, by Unia wyraziła nadzieję, że najlepiej przygotowane kraje kandydujące będą mogły uczestniczyć w wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2004 r. Takie sformułowanie wpisano do końcowego komunikatu na wniosek Wielkiej Brytanii i Włoch. Ponieważ premier Tony Blair wspomniał podczas wizyty w Warszawie o członkostwie Polski w Unii w 2004 r., od tej pory Londyn przypisywał sobie autorstwo tego terminu. Tymczasem palma pierwszeństwa należy się Verheugenowi i eurodeputowanym. To właśnie Parlament Europejski jako pierwsza unijna instytucja opowiedział się przed szczytem w Nicei za przyjęciem kandydatów w 2004 roku, czyli w terminie, który umożliwi im uczestnictwo w kolejnych wyborach do europarlamentu.

Daty podanej w Nicei nie traktowano zobowiązująco, ale też sformułowano ją warunkowo i niejednoznacznie. Ci sami przywódcy na tym samym szczycie, tyle że dzień później, kiedy rozważali sprawę zmian w unijnych instytucjach, mówili o przyjęciu nowych państw dopiero w 2005 r.

Reforma Komisji, ograniczająca liczbę komisarzy do jednego dla każdego państwa (obecnie duże kraje mają po dwóch, a małe po jednym), miałyby wejść w życie dopiero 1 stycznia 2005 r.

A więc nadal były powody do niepokoju, gdyż deklaracja zawarta w końcowym komunikacie niczego nam nie gwarantowała. Już kilka dni po szczycie w Nicei spotkałam się z taką jej interpretacją, według której mielibyśmy uczestniczyć w wyborach do PE w 2004 r. tylko jako obserwatorzy, wejść zaś do UE nieco później.

Sprawa daty ruszyła jednak z miejsca. Po Nicei zaczęła funkcjonować przyjęta tam przez Piętnastkę „mapa drogowa” Verheugena. Jego kalendarz uzgadniania przez kraje UE ostatecznych stanowisk negocjacyjnych zakładał pierwszy znaczący postęp w rokowaniach na czerwiec 2001 r. Do tego czasu należało uporać się z tak trudnymi kwestiami, jak sprawa zatrudnienia w krajach Unii oraz sprzedaż ziemi cudzoziemcom.

Zaraz po objęciu w styczniu 2001 r. przewodnictwa w Unii Szwedzi ogłosili zamiar podania daty przystąpienia „najlepiej przygotowanych krajów”. Sugerowali tym sformułowaniem, że może to nie dotyczyć Polski, jeżeli nie nadrobi negocjacyjnych zaległości. Potem, przez kolejne pół roku, Szwedzi o dacie raczej nie wspominali. Wydawało się nawet, że ulegli presji Paryża i Berlina.

Tymczasem rząd Jerzego Buzka uparcie obstawał przy 2003 roku, budząc irytację nawet w Komisji. Dopiero w maju 2001 r., na krótko przed szczytem w Göteborgu, Saryusz-Wolski podjął próbę urealnienia daty naszego wejścia do UE. Na dzień przed przyjazdem premiera Buzka do stolicy Belgii powiedział, że zgadza się na członkostwo Polski w 2004 r. Zasugerował, że polski premier przyzna w rozmowie z Romano Prodim, iż termin wcześniejszy o rok jest nierealny. Było to zagranie taktyczne — gdyby w Göteborgu ogłoszono, że rozszerzenie nastąpi faktycznie w 2004 r., mielibyśmy uchodzić za zwycięzców. W kraju wybuchła jednak burza. Buzek przestraszył się oskarżeń o opóźnianie wejścia do Unii i podtrzymał w Brukseli datę 1 stycznia 2003 r. Upomniął także Saryusz-Wolskiego (spekulowano nawet o jego dymisji). W ten sposób polski rząd stracił okazję, by ogłosić w Goeteborgu sukces.

Zresztą niewiele oznak świadczyło o tym, że Piętnastka zdecyduje się podać datę zakończenia negocjacji. Tylko Verheugen był optymistą.

— Przekona się pani, że w Göteborgu będzie data — powiedział mi na kilka dni przed szczytem. Zlekceważyłam te słowa, bo miałam dość jego optymizmu na zawołanie. Po prostu nie wierzyłam już Verheugenowi.

Pierwszy dzień szczytu potwierdził mój sceptycyzm. Kanclerz Schröder oraz prezydent Chirac twardo opierali się przyjęciu zobowiązania, że negocjacje powinny zostać sfinalizowane do końca 2002 r. W pewnym momencie Schröder miał powiedzieć: „Sprzeciwiam się dacie 2002, bo trzeba oceniać kandydatów wyłącznie na podstawie ich osiągnięć, a wówczas byłby to problem dla Polski, która jest w przededniu wyborów”. Większość krajów nie miała jednak nic przeciwko wyznaczeniu terminu.

W tym czasie prezydent USA George Bush nakreślał w Warszawie swoją wizję bezpieczeństwa europejskiego i zapowiadał dalsze rozszerzenie NATO. W Göteborgu wyczuwało się pewną irytację z powodu takiej konkurencji.

— Poproście Busha o datę. On ją wam na pewno poda — ironizował w rozmowie ze mną jeden z niemieckich dyplomatów.

Wydawało się, że wszystko stracone, że Unia po raz kolejny się wymiga, a negocjacje będą się ciągnęły jeszcze latami.

Do Warszawy docierały z Göteborga niepokojące informacje. Otoczenie premiera Buzka chciało powtórzyć manewr z Nicei. (Wówczas dzięki telefonicznym interwencjom szefa rządu udało nam się wywalczyć taką samą liczbę głosów w Radzie Ministrów UE, ile przysługiwać będzie Hiszpanii). Padła więc propozycja, by premier zadzwonił do Schrödera. Miałby mu powiedzieć, żeby nie martwił się o Polskę i że jeżeli to jedyna przeszkoda w wyznaczeniu daty, to możemy zagwarantować, że będziemy gotowi na czas. Kolacja z prezydentem Bushem przedłużyła się jednak i Buzek do kanclerza nie zatelefonował.

Gdy drugiego dnia szczytu, w sobotę, zjawiłam się rano w sali prasowej, w projekcie dokumentu końcowego znalazłam obie daty — 2002 i 2004 r. Szwedzi zagrali *va banque* i mimo sprzeciwu dwóch najważniejszych stolic podtrzymali swoją propozycję. Teraz o wiele trudniej było powiedzieć „nie” bez narażenia się na odium „hamulcowego” poszerzenia.

Unijni przywódcy rozpoczęli obrady za zamkniętymi drzwiami. Zdawali sobie sprawę, że wykreślenie dat z dokumentu byłoby policzkiem dla krajów kandydujących. Wiedzieli, że jeszcze tego dnia wieczorem będą

musieli spojrzeć w oczy premierom tych państw, bo zostali oni zaproszeni na wspólną kolację. Trzeba było także zrobić coś dla Gorana Perssona, by mógł powiedzieć, że szczyt jest jego sukcesem. Szefowie rządów znali streszczenia artykułów ze szwedzkich gazet, które krytykowały szwedzkiego premiera za dopuszczenie do krwawych starć między policją a antyglobalistami.

O dziesiątej trzydziści Persson przeszedł do najtrudniejszego punktu rozmów — poszerzenia. Zgodę na wyznaczenie dat blokowali już tylko Chirac i Schröder. Persson zarządził rundę odpowiedzi. Pytał, czy obecni zgadzają się na kompromisowy zapis w sprawie dat. Każdy wyrażał zgodę. Gdy przyszła kolej na Chiraca, ten nieoczekiwanie powiedział: „Tak”. Schröder został więc sam. Przez zaciśnięte zęby wysyczał: „Nieraz trudno zrozumieć naszych przyjaciół Francuzów”. Był wściekły, bo wyszło na to, że największym przeciwnikiem szybkiego poszerzenia jest Berlin. Kanclerz nie miał wyboru. Musiał się zgodzić.

Od Andersa, szwedzkiego dyplomaty, dowiedziałam się, że zgoda zapadła. W tak ważnej sprawie nie mogłam jednak opierać się tylko na jednym źródle informacji. Zadzwoiłam do znajomego niemieckiego dyplomaty. Potwierdził.

— Co się stało, że nagle zmieniliście zdanie? — zapytałam.

— W zasadzie do niczego się nie zobowiązaliśmy — odrzekł. — Jeżeli z waszej strony nie będzie odpowiednich postępów, to nie jesteśmy zobligowani dotrzymać terminu...

Przerwałam ten wywód. To nie było takie ważne. Popędziłam do mojego stanowiska, gdzie czekał na mnie sprzęt umożliwiający wejście na żywo na antenę RMF-u, i jako pierwsza, nawet przed Agencją Reutera, nadałam, że Unia wyznaczyła daty rozszerzenia: kończymy negocjacje w grudniu 2002, wchodzimy do Unii w 2004 r. Jesteśmy już jedną nogą w Unii!

Francuzi i Niemcy, jakby przestraszeni własną zgodą, robili wszystko, aby pomniejszyć wagę przyjętych postanowień. Przy każdej okazji podkreślali warunkowość dat, na które dopiero co przystali. Na konferencji prasowej Schröder mówił o konieczności zawarcia przed rozszerzeniem porozumienia w sprawie reformy WPR wewnątrz Piętnastki. Ostrzegał także Polskę, że nie może liczyć na ulgowe traktowanie ze względów politycznych. „Wcale na to nie liczymy. Chcemy wejść do Unii w dobrym stylu”

— odpowiedział z godnością premier Buzek. W naszej delegacji nie było jednak widać oznak triumfu. Jeden z polskich dyplomatów wyjaśnił: „Trudno się dziwić — jeszcze niedawno premier Buzek myślał o zdymisjonowaniu Jacka Saryusz-Wolskiego, gdy ten wspominał o roku 2004”.

Zadowolenie wyczuwało się natomiast wśród Węgrów i Czechów. Premier Persson dziękował im, bo to właśnie przyśpieszenie rokowań z Budapesztem i Pragą umożliwiło, jego zdaniem, podanie dat. Czesi i Węgrzy byli więc przekonani, że te zostały wyznaczone dzięki ich wysiłkom. Trochę mnie to irytowało, bo pamiętałam pełne politowania spojrzenia i ironiczne uwagi naszych sąsiadów i bratanków, gdy przedstawiciele polskiego rządu domagali się od Unii podania terminu przyjęcia naszych państw.



Wreszcie uzyskaliśmy datę członkostwa w UE. Końcowa konferencja prasowa na szczycie w Göteborgu. Od lewej przewodniczący KE Romano Prodi, premier Szwecji Göran Persson, wysoki przedstawiciel UE ds. polityki zagranicznej Javier Solana.

15 czerwca 2001 roku.

W niedzielę spacerowałam z Jackiem Safutą po słonecznym, kolorowym, lecz nieco prowincjonalnym Göteborgu. Rzadko odczuwaliśmy taką satysfakcję. Szczyt okazał się nadspodziewanie ciekawy. Byliśmy przekonani, że nic się nie wydarzy, a tymczasem nastąpił przełom.

Wyznaczenie daty zakończenia negocjacji oznaczało także i dla Polski pewne zobowiązania. Nasza ekipa negocjacyjna musiała sobie z tego zdawać sprawę, stąd też zapewne powściągliwa reakcja polskich delegatów w Göteborgu.

Wtedy mieliśmy zamkniętych zaledwie szesnaście działów negocjacji na trzydzieści istniejących, podczas gdy na przykład Węgrzy uporali się aż z dwudziestoma dwoma. Oczekiwano od nas przyspieszenia, tymczasem zbliżały się wybory parlamentarne. Rząd Buzka nie mógł zgodzić się w tych okolicznościach na siedmioletnie restrykcje na pracę Polaków w krajach Piętnastki. Lepiej było także nie rozpoczynać w okresie kampanii wyborczej niesłychanie emocjonalnej debaty o sprzedaży ziemi cudzoziemcom. Nie mogliśmy więc raczej nadrobić zaległości.

Paradoksalnie, podanie daty nie wprowadziło uspokojenia w stosunki polsko-unijne — przeciwnie, powstało dodatkowe napięcie. Niektórzy zaczęli wspominać o możliwości „małego poszerzenia” — bez Polski.

Uspokojenie przyszło po wyborach. Rząd Leszka Millera szybko poszedł na ustępstwa. Zaczął także oficjalnie mówić o 1 stycznia 2004 r. jako dacie wejścia Polski do Unii. Wielu uznało zatem, że sprawa jest zamknięta i kłamka zapadła.

Cisza panowała aż do momentu mojej rozmowy z dyrektorem generalnym do spraw poszerzenia w Komisji Europejskiej, Eneko Landaburu. Gdy 23 maja 2002 r. podałam jej treść na antenie RMF FM, w Polsce rozpadła się burza.

Landaburu to jeden z najinteligentniejszych i najbardziej błyskotliwych eurokratów. Często mówiono, że z Verheugenem podzielili się rolami — Landaburu miał stosować wobec kandydatów kij, a Verheugen marchewkę. Nie wiem, czy tak było faktycznie. Landaburu na pewno jest realistą, nigdy nie owijał w bawełnę i często mówił rzeczy przykre, ale prawdziwe. Tak było i tym razem.

— Zdradzę pani mój sekret — zaczął tajemniczo. — Moją osobistą ambicją jest, aby doszło do rozszerzenia Unii w czerwcu 2004 r. Jeżeli będzie to czerwiec, to będę bardzo zadowolony. Zawsze mówiłem, że nie należy uważać daty 1 stycznia 2004 r. za uświęconą.

To była bomba! Oczywiście, słyszałam już wcześniej tu i ówdzie, że poszerzenie może nastąpić dopiero w czerwcu lub lipcu. Jednak tym razem

mówił to oficjalnie najważniejszy po Verheugenie urzędnik odpowiedzialny za negocjacje.

Jako główną przyczynę Landaburu podał długie procedury ratyfikacyjne.

— Traktaty członkowskie zostaną podpisane, powiedzmy, w kwietniu 2003 r. Na przykład w Belgii zgodę na rozszerzenie musi wydać siedem parlamentów regionalnych. Staje się wobec tego jasne, że siedem, osiem miesięcy może nie starczyć na tę procedurę.

W kraju natychmiast znaleźli się tacy, którzy — jak Antoni Macierewicz — żądali, by rząd Millera podał się do dymisji. Próbowali politycznie wykorzystać moje informacje, co spowodowało nadzwyczajną nerwowość przedstawicieli rządu. Ministrowie od integracji zachowywali się tak, jakby po raz pierwszy usłyszeli o możliwości przesunięcia o kilka miesięcy terminu naszego wejścia do UE. Wydawali komunikaty, zaprzeczali. Przedstawiciele MSZ-u wydzwaniali do Brukseli, by sprawdzić, jakie są zamiary Unii. Nasz ambasador przy UE, Marek Grela, umówił się nawet na specjalny lunch z najbliższymi współpracownikami przewodniczącego Prodiego, by spytać, czy data 1 stycznia jest rzeczywiście zagrożona. Niektórzy nie wytrzymywali napięcia i ulegali emocjom, a może i strachowi. Maciej Popowski, najważniejszy po ambasadorze dyplomata w polskim przedstawicielstwie przy UE, gdy spotkałam go na korytarzu w Parlamencie Europejskim, po prostu mnie skrzyczał: „Wszystko, co pani podała, jest kłamstwem! Wszystko, co pani pisze, jest zawsze kłamstwem!”

Bruksela jednak nie zaprzeczała. Polscy korespondenci już od rana zadawali dziesiątki pytań — najpierw rzecznikowi Verheugena, a potem samemu komisarzowi. Rzecznik tłumaczył, że nikt nigdy nie obiecywał, że przystąpimy do UE akurat 1 stycznia. Miał rację — od szczytu w Nicei obowiązywała formuła mówiąca, że trzeba zorganizować poszerzenie tak, aby umożliwić nowym państwom członkowskim udział w wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2004 r. Tylko tyle. Verheugen podczas konferencji prasowej odmówił podania szczegółowej daty przyjęcia nowych członków. „O tym będziemy dyskutować na samym końcu” — powiedział, dając do zrozumienia, że możliwy jest kilkumiesięczny poślizg.

W tej wrzawie mało kto zwracał uwagę na konsekwencje finansowe późniejszego wejścia do Unii. Każdy miesiąc opóźnienia oznaczał stratę kil-

kuset milionów euro z brukselskiej kasy! Nie podejrzewałam wówczas, że może być całkiem odwrotnie.

Batalia o datę naszego członkostwa znalazła swój finał pół roku później, w listopadzie 2002 r. Decyzja państw członkowskich zapadła szybko, bez większych emocji i kłótni. Prawie obojętnie. Wybrano 1 maja. Rozważano także 1 kwietnia, ale zrezygnowano ze względu na prima aprilis. „Już widzę czołówki gazet!” — wyjaśniał jeden z dyplomatów.

Teraz chodziło już tylko o to, aby data przypadła do gustu kandydatom. Verheugen znalazł sposób — dzięki manipulacjom rachunkowym. Okazało się, że późniejsze o cztery miesiące członkostwo może być korzystne finansowo. Trwały właśnie negocjacje w sprawach budżetowych. Nie była możliwa redukcja naszej składki do unijnego budżetu. Członkostwo od 1 maja oznaczało jednak zaoszczędzenie przez Polskę w 2004 r. czterech miesięcznych rat obowiązkowej wpłaty do kasy Unii, czyli około 800 mln euro. Natomiast fundusze strukturalne (na budowę autostrad, mostów, ochronę środowiska) i dopłaty dla rolników miały, zgodnie z pomysłem Verheugena, wpłynąć za pełne 12 miesięcy. Innymi słowy, czysty zysk!

Mimo to trochę szkoda, że data naszego przystąpienia do Unii, o którą tak zabiegaliśmy przez ponad dziesięć lat, została przesunięta. Ale w takich momentach zawsze sobie powtarzam, że wymierne korzyści są najważniejsze. Trzeba być realistą.

Nic(ea) o nas bez nas

Już po wszystkim. Jest niedziela, 10 grudnia 2000 r. Czwarty dzień grudniowego szczytu Unii Europejskiej w Nicei. Zmęczenie, stres, nieprzespane noce. Nadawałam dla RMF-u, teraz muszę jeszcze opisać dla „Życia”, co się wydarzyło.

Nie czuję się najlepiej, bo znalazłam się w nie swojej roli. Całą sobotę w pewnym sensie zastępowaliśmy z Jackiem Safutą z PAP-u polskich dyplomatów, których w Nicei zabrakło. A zdecydowano tu o jednej z najważniejszych spraw dla przyszłości Polski: podziale władzy w poszerzonej UE.

W czwartek, 7 grudnia, w pierwszym dniu szczytu, nic jeszcze nie zapowiadało dramatu. Do Nicei zjechało pół rządu Jerzego Buzka. Polska delegacja została zaproszona na Konferencję Europejską, grupującą kandydatów do Unii i kraje już stowarzyszone. Piętnastka musiała podjąć trudne decyzje. Przywódcy państw UE mieli uzgodnić zmiany w funkcjonowaniu unijnych instytucji, by po poszerzeniu nie doszło do decyzyjnego paraliżu.

Najtrudniejszą kwestią był podział głosów w przyszłej Radzie Ministrów UE. Od tego zależy wpływ każdego kraju Unii na podejmowane przez nią decyzje. Małe państwa, takie jak Portugalia czy Belgia, obawiały się dominacji dużych. Berlin zapowiadał, że chce mieć więcej głosów niż Paryż, bo Niemcy mają więcej mieszkańców. Do tej pory, od początku istnienia Unii, Francja i Niemcy dysponowały taką samą liczbą głosów.

Trzeba było także zmniejszyć liczbę komisarzy w przyszłej Komisji Europejskiej oraz zwiększyć zakres decyzji podejmowanych w głosowaniu większościowym (czyli ograniczyć prawo weta).

Nikt z polskich urzędników nie niepokoił się decyzjami w sprawie Polski. Sądono — dość naiwnie, jak się okazało — że bez problemu otrzymamy takie same prawa (identyczną liczbę głosów w Radzie Ministrów i deputowanych w Parlamencie Europejskim), jak licząca mniej więcej tyle samo mieszkańców Hiszpania. Jacek Safuta jednak jakby coś przeczuwał, bo zapytał głównego negocjatora, Jana Kułakowskiego, co będzie, gdyby mimo wszystko potraktowano nas inaczej. Kułakowski zbagatelizował tę możliwość.

— Będzie można jeszcze negocjować w dziale instytucje — odpowiedział. Dominowało zatem przekonanie, że decyzje z Nicei nie będą ostateczne, a zresztą i tak będą korzystne dla Polski.

Jeszcze tego samego dnia, we czwartek, cała delegacja wróciła do Warszawy. Na miejscu pozostała garstka polskich dziennikarzy; większość udała się do kraju z ekipą rządową.

Tymczasem stało się to, czego nikt nie przewidział. Pierwsza francuska propozycja, przedstawiona 9 grudnia w sobotę, przewidywała dla nas mniej głosów niż dla Hiszpanów.

Jak opisać błyskawiczny rozwój wypadków i emocje, którym ulegli niemal wszyscy? Zaprzyjaźnieni unijni dyplomaci udawali, że mnie nie poznają, kiedy Francja wystąpiła ze swoją krzywdzącą koncepcją. Niektórzy nawet krzyczeli na mnie, gdy pytałam o przyczyny takiej niesprawiedliwości. Pokłóciłam się z dwoma najlepszymi kolegami z niemieckiej prasy, bo podejrzewałam, że Berlinowi jest na rękę francuska propozycja. A przecież przed chwilą rzuciliśmy się sobie w objęcia. Albo te dziesiątki udzielonych przeze mnie i przez Jacka wywiadów, w których krytykowaliśmy propozycję Paryża, nie znając nawet oficjalnego stanowiska Polski. A mój dramatyczny telefon do szefa UKiE Jacka Saryusz-Wolskiego?

— *Panie ministrze, trzeba coś zrobić! Tu dzieje się wielka niesprawiedliwość! Trzeba wydać oświadczenie!*

I jego telefon do mnie:

— Pani Kasiu, czy sądzi pani, że powinienem natychmiast przylecieć do Nicei?

— Niech pan zaczeka, zobaczymy, jaki będzie wynik rozmowy premiera Buzka ze Schröderem.

Czułam ogromne zażenowanie, prawie wstyd. Wcale nie byłam z siebie dumna. Nie po to przyjechałam do Nicei. Wolałabym pozostać we własnej roli. Nie chciałabym, aby inni dziennikarze dowiedzieli się, że niespodziewanie dla mnie samej zostałam zmuszona do porzucenia dziennikarskiego obiektywizmu i zaangażowania się w wydarzenia. Przecież nie jestem dyplomatką, ale reporterką!

A jak opisać olbrzymią ulgę, gdy Warszawa wzięła w końcu sprawy w swoje ręce? Polski premier zatelefonował do unijnych przywódców i sytuacja radykalnie się zmieniła — z przegranych staliśmy się zwycięzcami nicejskiego szczytu. Czułam satysfakcję, gdy jeden z unijnych dyplomatów żartował: „Jeszcze nie siedzicie z nami przy stole, a już wpływacie na nasze decyzje. Wolę nie myśleć, co będzie, gdy będziecie w Unii”.

Czy mam opisywać, jak pomagali nam dyplomaci z małych krajów, sami — jak twierdzą — zmieszani z błotem przez duże państwa?

Przecież nikt nie uwierzy. Powiedzą, że zmyślam, histeryzuję, że to mitomania. Że nie tak wygląda Unia Europejska. Niestety, tak właśnie było. A może jeszcze gorzej.

Więc jak to wszystko opisać? Najlepiej jak najprościej — godzina po godzinie.

Nic(ea) o nas bez nas

Mało brakowało, a Polska w przyszłości byłaby w Unii Europejskiej państwem drugiej kategorii

Korespondencja ze szczytu UE w Nicei

Francja próbowała zepchnąć nasz kraj do drugiej ligi Unii Europejskiej. W projekcie podziału głosów w Radzie Ministrów UE przyznała nam o dwa głosy mniej niż Hiszpanii, mimo że mamy tyle samo mieszkańców. Przyjęcie tej propozycji oznaczałoby, że Polak znaczy mniej niż Hiszpan. Udało się tego uniknąć w ostatniej chwili.

Dzięki ofensywie dyplomatycznej premiera Jerzego Buzka i szefa Komitetu Integracji Jacka Saryusz-Wolskiego liczba polskich i hiszpańskich głosów w kluczowym organie UE ma być jednak równa. Ujawniamy kulisy najbardziej dramatycznego dnia w stosunkach Polski z Unią.

Sobota

9.00

Zdrada

Francja, która przewodniczy obradom szczytu Unii Europejskiej, przedstawia pierwszą propozycję podziału głosów w Radzie Ministrów UE: Hiszpania — 28 głosów, licząca tyle samo mieszkańców Polska — 26. Duże kraje — Wielka Brytania, Francja, Włochy, Niemcy — mają po 30 głosów. Przyjęcie takiego podziału oznaczałoby krzyżującą niesprawiedliwość dla Polski. Nasz kraj nie mógłby na takich samych prawach co Hiszpania blokować w przyszłości niekorzystnych dla siebie decyzji Unii. Wszyscy zadają sobie pytanie: kto jest autorem tej propozycji i kto ją popiera?

9.30

Portugalska odsiecz

Portugalscy dyplomaci, którzy próbowali wykorzystać spodziewane niezadowolenie Polski, szukają polskich dziennikarzy.

— To zamach dużych krajów na poszerzenie Unii — mówi jeden z nich. — To podział głosów, który najbardziej urzędują Francję i Niemcy.

Dyplomaci z małych krajów cytują polskim dziennikarzom słowa kanclerza Niemiec Gerharda Schrödera z wywiadu dla „Der Spiegla” z 4 grudnia. Kanclerz wskazał w nim na ważny jego zdaniem argument bogactwa kraju. Zastosowanie takiej miary oznaczałoby, że Polak jest gorszy od nieco bogatszego Hiszpana. Zdaniem jednego z francuskich dyptomatów Schröder podczas rozmowy w cztery oczy miał prosić prezydenta Francji Jacquesa Chiraca, by różnica głosów między Polską a Niemcami była większa. Miał powiedzieć, że trudno by mu było wytłumaczyć u siebie w kraju małą różnicę.

Podobnie wypowiada się jeden z przedstawicieli Komisji Europejskiej.

Duże kraje nie chciały dopuścić, by Polska miała taką samą możliwość blokowania unijnych decyzji, co one i Hiszpania.

Chodzi oczywiście o przyszłe decyzje dotyczące np. podziału pieniędzy.

10.30

Berlin: to nie my

Niemcy również szukają polskiej prasy. Stanowczo zaprzeczają, jakoby mieli coś wspólnego z francuską propozycją.

— Czy choćby jeden niemiecki rzecznik powiedział pani, że popieramy tę propozycję? — mówił „Ż” podniesionym głosem niemiecki dyplomata. — Tak samo jak pani, dziś rano zobaczyliśmy różnicę między Polską a Hiszpanią i byliśmy niemiłe zaskoczeni.

Niemcy nie chcą jednak zapewnić, że Berlin będzie walczyć o Polskę.

11.00

Francuska logika

Konferencja prasowa ministra spraw zagranicznych Francji, Huberta Vedrine'a.

Jak wytłumaczyć różnicę między Polską a Hiszpanią? — pytamy. Odpowiada minister do spraw europejskich Pierre Moscovici. — Polska i tak wypada dobrze ze swoimi 26 głosami w porównaniu z dużymi krajami, które mają po 30 głosów.

Dodaje, że obowiązuje „inna logika niż tylko demograficzna”. Francuzi zaczynają się czuć zażenowani sytuacją. Krytyka narasta. Tłumaczą, że propozycja wzięła się stąd, że kilka lat temu obiecano Hiszpanii, iż będzie mogła zrekompensować utratę swojego przedstawiciela w Komisji Europejskiej większą liczbą głosów w Radzie Ministrów.

11.30

Angielski chłód

Konferencja prasowa portugalskiego szefa dyplomacji Jaime Da Gama. Jest niezadowolony z propozycji francuskiej, przedstawia jej modyfikację. — Czy liczba głosów dla Polski i Hiszpanii jest równa? — pytamy pierwsi. — Na razie dyskutujemy o podziale głosów między Piętnastką. Potem dokonamy ekstrapolacji — odpowiada Gama.

Sala prasowa wrze. Głównym tematem rozmów jest dyskryminacja Polski. Większość dziennikarzy uważa, że to cynizm i niesprawiedliwość. Brytyjscy dyplomaci, którzy do tej pory zapewniali o wielkim poparciu dla poszerzenia Unii, mówią wprost: „Jesteśmy tutaj tylko po to, by bronić interesów Wielkiej Brytanii”.

Powiało chłodem. Nastroje są pesymistyczne. Coraz więcej dziennikarzy pyta o oficjalną reakcję polskiego rządu. Na sali nie ma ani jednego polskiego dyplomaty. Są czescy i węgierscy. Polscy dziennikarze reprezentujący „Życie” i RMF FM oraz Polską Agencję Prasową dzwonią do Warszawy. Ta dopiero się budzi.

13.00

Niemiecki zwrot

Rośnie liczba krajów popierających Polskę. W debacie przeciwko różnicy głosów między Polską a Hiszpanią wypowiadają się Niemcy, Finlandia, Portugalia, Szwecja i Dania. Duński premier Poul Nyrup Rasmussen jako pierwszy publicznie mówi: — Nie podoba mi się to, nie widzę w tym żadnej logiki.

Szef niemieckiej dyplomacji Joschka Fischer odrzuca jako bzdurne pomówienia, że Berlinowi na rękę jest mniejsza liczba głosów Polski.

— Nie wiem, jak tę różnicę można by było uzasadnić.

16.00

Budzi się Polska

Będzie jednak polska reakcja. Warszawa przesyła dziennikarzom protest podpisany przez szefa Urzędu Komitetu Integracji Europejskiej Jacka Saryusz-Wolskiego w imieniu premiera Jerzego Buzka. „Biorąc pod uwagę równy potencjał demograficzny, zróżnicowanie między Hiszpanią a Polską jest nie do przyjęcia dla Polski”. Mocne słowa robią wrażenie. Otoczenie premiera twierdzi, że w UKiE powstał sztab kryzysowy. Samolot rządowy gotowy jest do startu. Saryusz-Wolski w każdej chwili może polecieć do Nicei.

Przechodzimy do ofensywy. Buzek w dramatycznym tonie telefonuje do premiera José Marii Aznara. Hiszpan zapewnia, że Madryt nie ma nic przeciwko temu, by Polska miała tyle samo głosów co Hiszpania. Najważniejszy był jednak telefon do Schrödera. Ten mówi, że Niemcy nie zgodzą się na francuską propozycję.

Akcja nabiera tempa. Jeszcze jeden telefon. Buzek dzwoni na komórkę do premiera Szwecji Gorana Perssona. Wywołuje go z obrad. Następny jest premier Danii i delegacja francuska. Wszędzie uzyskuje zapewnienia, że następna propozycja uwzględni równą liczbę głosów Hiszpanii i Polski.

23.00

Paryż padł

Konferencja prasowa Moscovici. Mówi, że „to nie Francja była inspiratorką różnicowania Polski i Hiszpanii”. Rzuca więc cień na Niemców. W odczuciu komentatorów jego zachowanie jest niesmaczne. Nie potrafi dźwignąć odpowiedzialności za własną propozycję.

— Okazuje się małym człowiekiem — komentuje jeden z dyplomatów. Zaczyna krążyć informacja, że Francuzi zaproponują równą liczbę głosów dla Polski i Hiszpanii.

1.00

Nasza niedziela

Minister Jacek Saryusz-Wolski rezygnuje z lotu do Nicei. Polska odnosi sukces. W ostatniej chwili.

Francja składa ostateczną propozycję: Polska ma 27 głosów, tyle co Hiszpania.

W południe premier Buzek wysłał list z podziękowaniem do przywódców krajów, które wstawiły się za Polską.

[„Życie”, poniedziałek, 11 grudnia 2000 r.]

Szczyt w Nicei skończył się jednak dopiero o wpół do piątej nad ranem w poniedziałek. Każdy kraj walczył zaciśniętymi pięściami do końca tylko i wyłącznie o własny interes. Do ostatniej chwili porozumienie unijnych przywódców w sprawie reformy instytucji blokowała Belgia, niezadowolona, że Holandii, wbrew dotychczasowej tradycji, przyznano w Radzie Ministrów więcej głosów. W końcu jednak ustąpiła.

Około piątej spotkałam na korytarzu szefa belgijskiej dyplomacji, Louisa Michela. Miał z niewyspania sine cienie pod oczyma i twarz spuchniętą jeszcze bardziej niż zwykle.

— Akceptujemy niedobre dla nas warunki, by nie hamować poszerzenia, bo wierzymy w Europę. Ktoś musi zachować resztki odpowiedzialności — powiedział mi. — Tutaj nikt nie stosował się do żadnych reguł i praw, bo chodziło o stworzenie nowych. Tak wyglądałaby Europa na co dzień, gdyby nie było Unii. Teraz wszystko wróci na swoje miejsce. Znowu te same reguły zaczną obowiązywać silniejszych i słabszych, większych i mniejszych.

Mówił to z przekonaniem, choć Belgię można by uznać za przegranego tego szczytu. Gdybym wówczas nie spotkała belgijskiego ministra, straciłabym chyba wiarę, że Unia Europejska to coś więcej niż tylko bezpardonowa walka o własny interes.



Unijni przywódcy w Nicei z uśmiechem pozują do zdjęć, jednak nikomu do śmiechu nie było. Toczyła się brutalna walka o wpływy. Od lewej przewodniczący KE Romano Prodi, prezydent Francji Jacques Chirac, premier Lionel Jospin.

7 grudnia 2000 roku, Nicea

Piętnastka nie miała być jednak z czego dumna. Cała unijna prasa okrzyknęła wyniki szczytu w Nicei „zgniłym minimalistycznym kompromisem”. Przede wszystkim nie udało się rozszerzyć zakresu stosowania zasady głosowania większościowego. Widmo paraliżu poszerzonej Unii wcale się nie oddaliło, chociaż znikła formalna przeszkoda dla przyjęcia nowych krajów.

W tej sytuacji Piętnastka uchwyciła się zapowiedzi nowej reformy Unii w 2004 r. Skutkiem słabości decyzji szczytu w Nicei stał się plan powołania Konwentu Europejskiego. Tym razem wszystko miało być inaczej, bardziej

demokratycznie, bardziej ideowo. Miały w nim bowiem uczestniczyć także kraje kandydujące. Mogliśmy być pewni, że nikt nie będzie decydować o nas bez nas.

Nicea wystawiła polsko-francuskie stosunki na ciężką próbę. Kilka dni po szczycie prezydent Jacques Chirac tłumaczył się w Strasburgu europejskim deputowanym z niefortunnej propozycji w sprawie głosów dla Polski. Twierdził, że wszystkiemu winien był „błąd maszynistki przy przepisywaniu”. Deputowani wybuchnęli głośnym śmiechem. Takiego wyjaśnienia nie wymyśliłby nawet Mrożek.



Prezydent Francji Jacques Chirac twierdził, że nie chciał dyskryminować Polski, a błąd w Nicei popełniła maszynistka przy przepisywaniu.

W poniedziałek po szczycie, na specjalnej konferencji prasowej, polski premier cieszył się z wywalzonego podziału głosów, dziękował dziennikarzom. Podczas tej samej konferencji mnie osobiście zaatakował ówczesny szef polskiej dyplomacji Władysław Bartoszewski. Powiedział,

że mój opis sytuacji nie miał nic wspólnego z rzeczywistością, bo w Nicei przez cały czas była obecna „wysoko wykwalifikowana pani Strząska”. Miał rację. Podobno była. Jednak ani ja, ani żaden z moich kolegów dziennikarzy nie spotkał jej, gdy była potrzebna. Nie miał z nią kontaktu także minister Saryusz-Wolski. Jeden z kolegów dziennikarzy natknął się na nią dopiero w niedzielę, gdy było już po wszystkim. Odbijała na ksero jakieś stare teksty z „Financial Times”. Od tej pory, gdy nawala nasza dyplomacja, polscy dziennikarze w Brukseli mówią: „Spoko! Pani Strząska czuwa!”.

Do dziś niektórzy urzędnicy polskiego MSZ-u — zwłaszcza ci, którzy wówczas odpowiadali za sprawy europejskie — nie zgadzają się z moją wersją wydarzeń. Twierdzą, że mieli wszystko pod kontrolą.

Dokładnie rok później, gdy już prawie zapomniałam o wydarzeniach w Nicei, mój artykuł „Nic(ea) o nas bez nas” otrzymał nagrodę Grand Press dla najlepszego newsa 2001 r.

Irlandzki stres

Nie wytrzymałam napięcia panującego w Brukseli tydzień przed irlandzkim referendum, zaplanowanym na 19 października 2002 r. Postanowiłam polecić do Dublina.

Takiej nerwowości w belgijskiej stolicy nie widziałam dawno. Urzędnicy siedzieli jak na beczce prochu. Warszawa także wstrzymywała oddech. Podczas kolacji z dziennikarzami w restauracji Colmar nasz główny negocjator, Jan Truszczyński, był wyraźnie zmartwiony.

— Jeśli Irlandczycy odrzucą traktat z Nicei, poszerzenie opóźni się, nawet gdyby Unia od razu zapewniła, że proces będzie kontynuowany — mówił. — Piętnastka nie będzie po prostu w stanie zajmować się negocjacjami w sprawie pieniędzy dla nowych członków.

Zbliżał się koniec rokowań. Komisja Europejska wymieniła Polskę wśród dziesięciu krajów, które mają być gotowe do członkostwa w 2004 r. Tymczasem komisarz Günter Verheugen sprawił, że mój niepokój wzrósł, nie dawał bowiem żadnych gwarancji, że w razie irlandzkiego „nie” poszerzenie UE będzie kontynuowane. Wręcz przeciwnie.

— Nie wiem, czy w ogóle będzie mogło do niego dojść — powiedział.

Było to najmocniejsze ostrzeżenie, jakie padło w Brukseli.

Traktat z Nicei, uzgodniony przez unijnych przywódców w grudniu 2000 r. w atmosferze zacieklej walki o wpływy, ustala liczbę głosów państw członkowskich w Radzie UE, liczbę deputowanych w Parlamencie Europejskim i komisarzy w przyszłej, powiększonej Komisji Europejskiej. Uznano, że jego wejście w życie jest warunkiem poszerzenia Unii, bo tak przekształca jej instytucje, by mogły funkcjonować po przyjęciu nawet dwunastu nowych krajów. W październiku 2002 r. traktat był już ratyfikowany przez wszystkie kraje Piętnastki z wyjątkiem Irlandii. Tylko tam musiał być poddany powszechnemu głosowaniu — w innych państwach ratyfikacji dokonały parlamenty.

Znajomi Irlandczycy w Brukseli także żyli w napięciu. Connor Sweeney, korespondent „Irish Independent”, dwoił się i troił, zbierając reakcje i komentarze.



Connor Sweeney z „Irish Independent”.

Irlandzcy dyplomaci obawiali się, że w razie negatywnego wyniku referendum ich kraj zostanie obłożony nieformalnymi sankcjami przez europejskich partnerów.

— Wszyscy nazwą nas niewdzięcznikami i skąpcami — martwiła się Sinead Ryan, sympatyczna dyplomatka o wyglądzie kilkunastoletniej dziewczynki. Jej zdaniem Irlandia straciłaby wpływy w Unii i znacznie trudniej byłoby jej zawierać koalicje z europejskimi partnerami w konkretnych sprawach. Mogłoby także dojść do odpływu inwestycji zagranicznych.

Nikt w Brukseli nie był pewny wyniku głosowania. Poczucie niepewności powiększały oświadczenia rzeczników Komisji Europejskiej, którzy dzień w dzień podczas południowych briefingów zapewniali, że nie ma żadnego „planu B”, czyli zapasowego rozwiązania, które umożliwiłoby poszerzenie Unii mimo irlandzkiego „nie”. Z jednej strony chodziło o to, aby Irlandczycy nie mieli poczucia, że Unia nie liczy się z ich zdaniem. Mogłoby to wręcz sprowokować ich do protestu. Z drugiej — by nie czuli, że mogą spokojnie odrzucić traktat, bo Bruksela i tak poradzi sobie z poszerzeniem. Po cichu jednak wszyscy mówili, że taki plan ratunkowy istnieje.

Eneko Landaburu, oznajmił mi z kamienną twarzą, że jest bardzo zaniepokojony. Przyznał, że jeśli Irlandia powie „nie”, poszerzenie opóźni się na pewno o kilka miesięcy, a może i o lata.

— O ile lat? — dopytywałam się.

— Tego nikt nie wie — odrzekł Landaburu. Wyraźnie ucieszył się natomiast na wieść o planowanej przeze mnie wyprawie do Dublinu. — Bardzo dobrze, że pani tam jedzie — powiedział. — Ciekawe, czy mówiąc „nie”, będą patrzeć pani w oczy.

Chciałam zrozumieć ten nieduży naród, od którego miała zależeć przyszłość mojego kraju i prawie siedemdziesięciu milionów obywateli państw kandydujących. Czy po tym, jak Irlandczycy skorzystali z pomocy Unii i stali się jednym z najzamożniejszych państw, będą chcieli się z nami podzielić swoim bogactwem?

Po przylocie do Dublinu pierwsze kroki skierowałam do naszej ambasady przy Ailesbury Road, położonej w pięknej, willowej dzielnicy. Ambasada okazała się mała, skromna, by nie powiedzieć biedna. Hol pełnił zarazem funkcję poczekalni i salonu, gdzie odbywają się przyjęcia i koktajle.

Na dodatek stała tam olbrzymia kserokopiarka. Na piętrze znajdowały się prywatne mieszkania dyplomatów. Radca Cezary Lusiński pracował w jednym pokoju ze swoją żoną i w trakcie rozmowy ze mną przygadywał jej co jakiś czas: — Nie wtrącaj się, nie przerywaj. — Atmosfera była więc bardzo rodzinna.

Dyplomatyczne małżeństwo bardzo przejmowało się referendum. Państwo Lusińscy wspólnie wydali książeczkę „Polska w oczach Irlandczyków”, a z ich opowieści wynikało, że przemierzili Zieloną Wyspę wzdłuż i wszerz. Milczeli jednak, gdy spytałam, czy przed tak ważnym wydarzeniem ambasada została wzmocniona przez MSZ specjalnymi środkami finansowymi i dodatkowym personelem.

Zdziwiło mnie tak nikłe zaangażowanie Warszawy w lobbowanie na rzecz korzystnego wyniku głosowania. Dublin przed referendum odwiedziła jedynie minister do spraw europejskich Danuta Hübner. Był też podobno Adam Michnik z wykładem i na tym koniec.

Lusiński nie był wielkim optymistą. Twierdził, że data referendum została wybrana jak najgorzej, ponieważ od czasu zdecydowanego zwycięstwa wyborczego w maju popularność rządu premiera Bertie Aherna w ostatnich tygodniach znacznie zmalała.

Jowialny Ahern, który jeszcze niedawno jawił się Irlandczykom jako mistrz kompromisu, teraz postrzegany jest jako słaby i ulegający wpływowi. To, co niedawno było zaletą, stało się wadą. Prasa wypomina mu, że bronił byłego ministra spraw zagranicznych, któremu specjalny trybunał do spraw zwalczania korupcji zarzucił branie łapówek od developerów w Dublinie w zamian za przyznanie korzystnych miejsc pod zabudowę. Premierowi zarzucano także, że przed majowymi wyborami parlamentarnymi ukrywał dane o pogarszającej się sytuacji gospodarczej. Dopiero niedawno Irlandczycy zorientowali się, że w dobie globalnej recesji także celtyski tygrys zaczyna opadać z sił. Bezrobocie wzrosło z 3,9 do 4,2 procenta, obniżył się wzrost gospodarczy, a rząd podjął decyzję o cięciach budżetowych. Wprowadzono czesne na uczelniach, podniesiono opłaty ubezpieczeniowe, zamrożono wydatki na służbę zdrowia — wyliczał Lusiński. Obawiał się, że niektórzy zechcą ukarać rząd, głosując przeciwko Nicei. Gabinet Aherna był świadom tego niebezpieczeństwa. Ministrowie apelowali, aby oddzielić ocenę rządu od głosowania.



Ahern i Cox zaangażowali się w swoim kraju w kampanię na rzecz ratyfikacji traktatu z Nicei. Od lewej premier Irlandii Bertie Ahern, przewodniczący Parlamentu Europejskiego Pat Cox, komisarz ds. polityki zagranicznej Chris Patten.

Radca przydzielił mi samochód z szoferem, żebym nie spóźniła się na spotkanie w irlandzkim parlamencie, zwanym Dail. Ciekawa byłam zwłaszcza argumentów przeciwników traktatu. Byłam umówiona z Johnem Gormleyem, szefem partii Zielonych, która, obok nacjonalistycznej Sinn Fein i ruchu No2Nice, należała do najbardziej zacieklej przeciwników Nicei.

Padał ulewny deszcz. Gdy strażnicy przy wejściu do parlamentu dowiedzieli się, że jestem polską dziennikarką, zapewnili, że będą głosować na „tak”.

Idąc na spotkanie z Gormleyem, spodziewałam się pewnego siebie, ostrego polityka. Tymczasem przyjął mnie szczupły mężczyzna o wyglądzie intelektualisty. Szybko znalazł się w defensywie:

— Nie jesteśmy przeciwko poszerzeniu Unii Europejskiej. Jesteśmy przeciwko złemu traktatowi, który jest niedobry dla Irlandii, dla Europy i dla kandydatów.

— To hipokryzja — ripostowałam. — Jeżeli namawiacie do głosowania przeciw Nicei, to tym samym utrudniacie poszerzenie.

— Poszerzenie Unii to kwestia woli politycznej — odpowiadał Gormley. — Jeżeli zostanie opóźnione, to nie z powodu Irlandii, ale dlatego, że są tacy, co będą chcieli wykorzystać wynik referendum jako pretekst. Dobrze pani wie, że Bruksela ma plan ratunkowy i będzie mogła poszerzyć Unię nawet w razie naszego „nie”.

— Przez trzydzieści lat w UE sami się wzbogaciliście, a teraz nie pozwalacie na to innym — drążyłam. — Czy to nie egoizm?

— Odrzucam ten argument. Referendum nie dotyczy poszerzenia, ale traktatu z Nicei. My naprawdę chcemy, aby Polacy mogli tu pracować. Nie mamy nic przeciwko imigrantom.

— Ale jesteście w tym samym obozie co nacjonaliści z Sinn Fein.

— Bo traktat zagraża naszej neutralności i wzmacnia rolę dużych krajów, takich jak Niemcy, Francja i Wielka Brytania. Nie będziemy mogli automatycznie mianować naszego komisarza w europejskiej egzekutywie.

— Co pan opowiada?! — nie wytrzymałam. — Malutka Irlandia będzie miała jednego komisarza, czyli dokładnie tyle samo co olbrzymie Niemcy!

— Ale stracimy na znaczeniu w Radzie UE.

I tak dyskutowaliśmy, aż w końcu Gormley zaczął mnie uspokajać.

— Niech się pani nie martwi — powiedział. — Sądzę, że „tak” jednak zwycięży. Rząd przeprowadził olbrzymią kampanię, a my jesteśmy niewielką partią i mamy bardzo skromne środki.

Zdziwiłam się. Rzadko spotykam polityków, którzy przepowiadają własną klęskę.

Gormley rzeczywiście mnie uspokoił. Nim rozstaliśmy się w przyjaźni, szef Zielonych poznał mnie jeszcze z Aengusem O’Snodaighiem, rzecznikiem Sinn Fein — politycznego ramienia IRA — do spraw europejskich. Okazało się, że O’Snodaigh zajmuje biuro naprzeciwko. Nie mogłam darować sobie jednak wsadzenia Gormleyowi szpilki:

— A nie mówiłam, że blisko wam do Sinn Fein?

O’Snodaigh miał czarne, krótko obcięte włosy, lekko nalaną twarz i wpatrywał się we mnie nieruchomo oczami prawie bez wyrazu. Mówił to-

nem charakterystycznym dla nacjonalistów i populistów — dobitnym i nie znoszącym sprzeciwu.

— Jak to jest — pytałam — że partia, która kojarzy się z walką zbrojną, opowiada się za neutralnością?

— Faktycznie, Sinn Fein i republikanie w Irlandii są w konflikcie z Wielką Brytanią — odparł O’Snodaigh. — Irlandia była skolonizowana. Jesteśmy jedynym krajem w Unii Europejskiej, który był kolonią. Inni byli zawsze imperialistami. Tym się od nich różnimy. Dlatego nie chcemy być zmuszani do uczestnictwa w sojuszach wojskowych. Konflikty można rozwiązywać w inny sposób niż poprzez inwazję.

O’Snodaigha nie zadowalały gwarancje neutralności, które uzyskał premier Ahern na szczycie UE w Sewilli. Jego zdaniem zapowiedź stworzenia europejskich sił szybkiego reagowania to początek euroarmii i militaryzacji UE.

— Dlaczego jesteście przeciwni poszerzeniu? — pytałam.

— Nie jesteśmy przeciwko — zapewniał mnie O’Snodaigh, podobnie jak wcześniej Gromley. — Ale czy sądzi pani, że gdyby Francuzi, Brytyjczycy lub Niemcy powiedzieli „nie” w referendum, to rok później ogłoszono by kolejne, by wymusić zmianę zdania?

W kampanię na rzecz poparcia traktatu zaangażował się natomiast Irlandczyk Pat Cox, przewodniczący Parlamentu Europejskiego. Jeździł po kraju specjalnym autobusem, zatrzymywał się w małych miejscowościach i przekonywał ludzi. Przypominał, że to rolnicy najczęściej skorzystali na członkostwie w UE. Irlandzcy farmerzy otrzymują największe w UE dotacje w przeliczeniu na głowę mieszkańca: 444 euro. Teraz obawiali się, że będą musieli się nimi podzielić z Polakami i Litwinami. Cox namawiał ich do solidarności i zapowiadał, że poszerzenie UE oznacza dla nich otwarcie nowych rynków zbytu.

Gdy Irlandzycy głosowali po raz pierwszy w czerwcu 2001 r., przeciw traktatowi z Nicei opowiedziało się 54 procent wyborców. Frekwencja była bardzo niska — zaledwie 34 procent. Przeciwnicy wymyślili wówczas chwytliwy slogan: *If you don't know vote no* (Jeżeli nie wiesz, głosuj na „nie”). Centroprawicowy rząd Aherna przyznał po porażce, że kampania informacyjna była wówczas anemiczna. Tym razem premier osobiście przekonywał, by głosować na „tak”. Aktywiści z jego

ugrupowania, Fianna Fail, roznosili ulotki. Sama widziałam, jak pukali do drzwi domów.

Znałam już argumenty polityków. Następnego dnia wyruszyłam w miasto, by porozmawiać ze zwykłymi ludźmi.

Na ulicach Dublina trwała wojna plakatowa. Nie było słupa czy latar ni, na której nie wisiałby plakat zwolenników lub przeciwników nicejskiego traktatu. Najbardziej kontrowersyjny był ten przedstawiający twarz przerażonego mężczyzny z przystawionym do głowy pistoletem i napisem: *Don't be bullied* (Nie daj się zastraszyć). Była to aluzja do powtórnego głosowania, które przeciwnicy traktatu uznają za niedemokratyczne. Według nich rząd, ogłaszając ponowne referendum w tej samej sprawie, zmusza Irlandczyków, by tym razem powiedzieli „tak”. Z mikrofonem w ręku zaczęłam pytać przechodniów, co myślą o plakacie. „Zbyt dramatyczny”, „U nas w Irlandii pistolet źle się kojarzy”, „Niedobry ze względu na dzieci”, „Obrzydliwy” — oceniali dublińscy.

Dotarłam na Grafton Street, główną handlową ulicę w centrum miasta. Wreszcie wyszło słońce. Rozbrzmiewała tradycyjna irlandzka muzyka. Co kilkanaście metrów spotykałam grajków. Zatrzymałam się przy grupie, którą nazwałam w myślach „Kelly Family” — ojciec, mama i chyba pięćoro dzieci. Każdy grał na jakimś instrumencie: flecie, tamburynie, gitarze, akordeonie. Zaczęłam uliczną sondę. „Ja będą głosować za”. „A ja przeciw”. Dlaczego? „Tego nie powiem”.

— Ja zagłosuję za — oświadczył ojciec z „Kelly Family”. — My, Irlandczycy, bardzo skorzystaliśmy na unijnej pomocy. Nie ma powodów, by kraje, które pukają teraz do drzwi Unii, miały nie skorzystać z tej samej możliwości. One przecież tyle straciły podczas ostatniej wojny. Zwłaszcza Polacy. Nie mam nic przeciwko temu, aby Unia stawała się coraz większa.

Poczułam jakby lekkie wzruszenie. Gdy powiedziałam, że pracuję dla radia RMF FM, polskiej rozgłośni, zaczęło podchodzić coraz więcej ludzi, zapewniając o sympatii dla naszego kraju.

Ktoś spytał, czy poszerzenie Unii naprawdę się opóźni, jeżeli wynik referendum będzie negatywny. Wyjaśniałam, jak umiałam. „To jednak pójdę głosować” — obiecał jeden z przechodniów. Inni wyjaśniali, że obawy Irlandczyków dotyczą neutralności kraju, a nie poszerzenia Unii. Nazwa



„Kelly family”, autorka robi wywiad na ulicach Dublinia.

naszego kraju padała wiele razy nawet z ust tych, którzy nie wiedzieli, że przyjechałam z Polski.

Do hoteliku na Talbot Street wracałam w dobrym humorze. Nabrałam ufności, że Irlandczycy — tak sympatyczni, weseli, otwarci i przyjaźnie nastawieni do Polaków — nie zamkną nam drogi do unijnych dobrodziejstw.

Wieczorem, jak każdy turysta, udałam się do jednego z pubów w dzielnicy zwanej Tempel Bar. Mimo gwaru usłyszałam grupę młodych ludzi rozmawiających po polsku. Wyciągnęłam mikrofon. Maciek pracował w Dublinie w firmie transportowej. Wyglądał nieco ekstrawagancko — ogolony na zero, z kolczykiem w uchu.

— Mam tutaj, dobrą, legalną pracę — powiedział. Byłam zaskoczona, bo w Belgii kilka tysięcy naszych rodaków pracuje, ale wyłącznie na czarno. — Irlandczycy zaostrzyli ostatnio wydawanie zezwoleń, bo wzrosło bezrobocie, ale wciąż jeszcze można się gdzieś zahaczyć — wyjaśniał.

Dopiero teraz przypominałam sobie, że Irlandia jest jednym z państw, które podczas negocjacji w sprawie dostępu Polaków do unijnych rynków pracy od razu zapowiedziały, że nie będą stosować żadnych ograniczeń.

Maciek był dumny, bo dwa lata temu zaczynał w Dublinie od zera, a teraz był już zastępcą szefa firmy.

— Czy Irlandczycy są naprawdę tacy sympatyczni, także po bliższym poznaniu? — próbowałam zweryfikować moje pierwsze wrażenia.

— Gdy po raz pierwszy wylądowałam w Dublinie i jechałam taksówką ponad dziesięć mil, taksówkarz powiedział na koniec: „Jesteś z Polski, więc dla ciebie za darmo”. Oni tacy są — zachwalał Irlandczyków Maciek. — A Polacy mają tutaj bardzo dobrą opinię.

Maciek zaprosił mnie do siebie do domu, gdzie mieszkał razem z przyjaciółmi — Polakiem i Rumunem. Znowu byłam zaskoczona. W Brukseli Polacy mieszkają bez zameldowania, zazwyczaj w dość kiepskich warunkach, w starych, nieodnawianych kamienicach, a za wynajem muszą drogo płacić właścicielom. Moi nowi znajomi wynajmowali natomiast pod miastem miłą jednorodzinny domek z ogrodem. Moja sympatia do Irlandczyków jeszcze bardziej wzrosła. Dają szansę innym — myślałam.

Właściciel hoteliku przy Talbot Street, gdzie się zatrzymałam, miał także pub, do którego zaprosił mnie wieczorem ostatniego dnia mojego pobytu w irlandzkiej stolicy. W pubie tłum był tak wielki, że nie udało mi się precyzyjnie do baru. Nie był to lokal dla turystów, jak te z Tempel Bar. Tutaj przychodzili sami swoi. Grał zespół złożony z dwóch kobiet i dwóch mężczyzn. Muzykowali tak świetnie, że usiadłam zasłuchana. Atmosfera była wspaniała. Ktoś puścił się w tany, ktoś inny wtórował zachrypniętym głosem. Właściciel przyniósł mi pintę guinnessa.

— Tu wszyscy będą głosować na „nie” — powiedział nieco zaczepnie.

Spijałam gęstą piankę z drugiej pinty. Nie miałam już siły dyskutować. Koło północy piosenkarka zapowiedziała ostatni utwór. Gdy zaczęła śpiewać, wszyscy podnieśli się i stanęli prawie na baczność. Gwar ucichł całkowicie. Prawdopodobnie była to jakaś patriotyczna, niepodległościowa pieśń.

Tego wieczora znowu nie byłam już tak pewna pozytywnego wyniku referendum. Nie czułam jednak również niechęci do tych, którzy zamierzali głosować przeciwko traktatowi — bardzo polubiłam muzykalnych mieszkańców Zielonej Wyspy. Gdy wracałam do Brukseli, kołatało mną więcej sprzecznych uczuć, niż gdy wyjeżdżałam do Dublina.

Tydzień później, w sobotę 19 października, nie mogłam znaleźć sobie miejsca. Tym bardziej że wyniki głosowania spływały bardzo powoli.

Poszłam więc na imprezę do francuskiej koleżanki. W ten sposób przestałam odliczać godziny. Po północy otrzymałam SMS od Conora z „Irish Independent”: *Looks like landslide yes!* (Zdaje się, że przytłaczające tak!). Odpisałam: *I love Ireland!*

Pierwsze sondaże się potwierdziły. 63 procent Irlandczyków powiedziało „tak” naszemu członkostwu w Unii Europejskiej i naszej lepszej przyszłości.

Limuzyną w przyszłość

To był jedyny wywiad, który przeprowadziłam w samochodzie. Obok mnie, na tylnym siedzeniu srebrzystego mercedesa, siedział Jean Luc Dehaene, były premier Belgii, a obecnie jeden z dwóch wiceprzewodni-



Wiceprzewodniczący Konwentu Jean-Luc Dehaene chce silnej Komisji Europejskiej.

czących Konwentu Europejskiego. Kierowca rozwijał zawrotną prędkość. W samochodzie znalazłam się z powodu braku czasu, na który cierpią politycy, zwłaszcza pokroju Dehaene, którzy sprawiają wrażenie, jakby uczestniczyli w nieustającej kampanii wyborczej.

Z Belgiem byłam umówiona na wywiad o Konwencie i przyszłości Europy. Dehaene kazał mi czekać ponad godzinę, po czym wypadł ze swojego gabinetu i zawołał:

— Niech pani jedzie ze mną do Liège mam tam wygłosić wykład. Zjemy razem kolację, a porozmawiamy w aucie.

Nie miałam wyboru. Najwyraźniej była to jedyna szansa na dłuższą rozmowę.

Był marzec 2002 roku. Konwent dopiero co się narodził. Jego przyjście na świat niezmiernie mnie ucieszyło. Dzięki niemu Unia miała stać się bardziej zrozumiała, prostsza, przejrzystsza. Także dla mnie. A więc koniec z niejasnymi procedurami decyzyjnymi, których nigdy nie potrafiłam przełożyć na język artykułu prasowego czy relacji radiowej. Koniec z tajnymi dokumentami i poufnymi posiedzeniami ministrów, z których w końcu i tak prawie wszystko przeciekało. Koniec arogancji niektórych urzędników Komisji, którym się wydaje, że są bezkarni, bo nikt nie sprawuje nad nimi kontroli. Podniecała mnie wizja powstawania na moich oczach konstytucji wspólnej dla kilkuset milionów mieszkańców naszego kontynentu. Cieszyłam się, że wreszcie unijny traktat będzie pisany przez zgromadzenie obradujące przy odsłoniętej kurtynie, a nie przez unijnych przywódców za zamkniętymi drzwiami, na którymś z kolejnych szczytów.

W liczącym 105 delegatów Konwencie zasiadać mieli przedstawiciele parlamentów narodowych i rządów, Parlamentu Europejskiego i Komisji Europejskiej, no i państw kandydujących — nareszcie i my mieliśmy szansę współtworzyć Unię. Mogliśmy odcisnąć piętno na kształcie nowej Europy. W żadnej unijnej instytucji nie mieliśmy takich praw, jak tutaj. Od początku byłam przekonana, że tylko od nas samych zależy, czy z tej szansy skorzystamy.

Byłam jednak również trochę rozczarowana. Noworodek okazał się nie aż tak piękny i idealny, jak sobie wymarzyłam.

Nie bardzo podobał mi się przewodniczący Konwentu, Valéry Giscard d'Estaing. „O Europie dzisiejszych nastolatków ma decydować siedemdziesięcioletni starzec!” — zżymał się jeden z belgijskich dziennikarzy.

Mnie wiek przewodniczącego w zasadzie nie przeszkadzał. Trudniej było mi zaakceptować jego specyficzną arogancję, poza byłego prezydenta Francji. Zresztą d'Estaing już na wstępie zraził do siebie wiele osób, żądając niebotycznego wynagrodzenia i luksusów w najdroższym brukselskim hotelu. Spotykał się z wybranymi dziennikarzami, prawie wyłącznie francuskimi i niemieckimi, jakby poza tymi dwoma krajami inne nie istniały.

Wsiadając do samochodu z Dehaene myślałam, jak różne to osobowości i jak różny sposób sprawowania władzy. Giscard — szczupły i ascetyczny, Dehaene — jowialny grubasek. Tamten nie rusza się bez obstawy należącej prezydentowi Francji, a ten wozi mnie swoim samochodem. Jeden



Valéry Giscard d'Estaing, przewodniczący Konwentu Europejskiego ma 77 lat.

W przerwach słuchał moich obaw co do d'Estaing i jego stosunku do poszerzenia.

— Giscard nie jest sam, nie on sam będzie decydować — uciął moje jeremiady.

W innym tonie uspokajał mnie kilka tygodni później jeden z politycznych przyjaciół d'Estaing, eurodeputowany Jean-Louis Bourlanges.

— Jeżeli Giscard nawet myślał w ten sposób, to zmienił zdanie w chwili nominacji — przekonywał. — Po prostu, gdyby obstawał przy swojej koncepcji „małej Europy”, straciłby poparcie Niemiec. Giscard napisał nawet sentymentalną powieść o pewnej Natalii, inspirowaną swoim pobylem w Polsce — opowiadał Bourlanges.

Miał to być, jego zdaniem, dowód sympatii przewodniczącego Konwentu do naszego kraju. Innym tego świadectwem miały być polowania

szczyli się tytułem arystokratycznym, który kupił jego snobistyczny ojciec, drugi chwali się, że lubi piwo i piłkę nożną.

Lecz przede wszystkim nie dało mi spokoju pytanie o to, jaki będzie stosunek przewodniczącego do krajów kandydujących. Pamiętałam, że niecałe dwa lata wcześniej d'Estaing pisał, że skoro nie można uniknąć poszerzenia Unii, to „trzeba ratować, co się da”. Opowiadał się za stworzeniem wewnątrz powiększonej UE pierwszej i drugiej klasy członkostwa, czyli grup krajów bardziej i mniej zintegrowanych. Oczywiście nowi członkowie UE, w tym Polska, znalazłby się w drugiej klasie.

Dehaene, odkąd wsiedliśmy do samochodu wykonał co najmniej cztery telefony przez komórkę.

na grubą zwierzynę w polskich borach, w których d'Estaing brał udział jeszcze w czasach PRL-u.

Przysłuchując się później, jak Giscard prowadził obrady Konwentu, widziałam jednak, że nie wyzbył się dystansu wobec poszerzenia Unii. Owszem — pogodził się z nim, ale wyczuwałam u niego nostalgię za Unią z czasów jej początków. Często używał sformułowania „kraje założycielskie” dla określenia sześciu państw, które utworzyły Wspólnotę, tak jakby należały one do jakiejś innej, lepszej kategorii. Ale z czasem przestało to mieć dla mnie znaczenie.

Szczególnie tutaj, w Konwencie, czułam, że praktycznie jesteśmy już członkiem Unii. Przedstawiciele Polski i innych krajów kandydujących także mieli takie poczucie. Po raz pierwszy zaczęli myśleć nie w kategoriach kandydatów, ale członków klubu. Interesy sprawiły, że zniknął podział na będących już w środku i starających się o członkostwo, a powstawały nowe — na kraje duże i małe czy zwolenników silnej Komisji i silnej Rady UE.

Pod koniec negocjacji, w grudniu 2002 roku, Giscard d'Estaing wywołał burzę, oświadczając wprost, że nie widzi dla Turcji miejsca w Unii. Wówczas jeden z bliskich współpracowników komisarza Verheugena potwierdził moje wcześniejsze obawy.

— Giscard nie lubi poszerzenia — powiedział mi. — Wspominając o Turcji, utrudnia ratyfikację waszego członkostwa w parlamentach narodowych Piętnastki. Wszystkim będzie się wydawało, że Unia już teraz poszerza się również o Turcję, a to może wywołać niechęć wobec poszerzenia w ogóle.

Nie bardzo chciało mi się wierzyć, aby d'Estaing był aż tak perfidny. W każdym razie — myślałam — on sam nie zmieni już biegu historii.

Mój niepokój budziła nie tylko postać przewodniczącego. Konwent miał przybliżyć Unię Europejską zwykłym obywatelom, gwarantując respektowanie ojczystych kultur, a tymczasem reprezentantom krajów kandydujących odmówiono prawa wypowiedzenia się w ich własnych językach. Mieliliśmy współtworzyć przyszłą Unię, a tu wykluczono nas z prezydium, które miało przygotować projekt przyszłej konstytucji UE i przedłożyć go Konwentowi.

W grudniu 2001 r. na szczycie Unii w Laeken, gdzie powołano Konwent, zdawało się, że kandydaci definitywnie stracili szansę na zdobycie miejsca w jego kierownictwie. Kandydaturę profesora Bronisława Geremka spalił premier Belgii, mówiąc, że „mocno rekomenduje” go rządowi Leszka Millera. Belg chciał w ten sposób okazać uznanie dla wkładu Geremka w prace „grupy mędrców”, która przygotowała decyzje z Laeken. Tymczasem Miller od razu odrzucił tę propozycję, wskazując, że Geremek nie wszedł do polskiego parlamentu w ostatnich wyborach, co wcale nie było formalnym wymogiem. Zwyciężyły więc priorytety partyjne.

Dehaene, który w końcu schował do kieszeni telefon komórkowy, nie bronił „swoich”. Przyznał, że ze strony belgijskiego premiera była to co najmniej niezręczność.

— Takich propozycji nie zgłasza się na konferencji prasowej — powiedział.

Wiedziałam, że wiceprzewodniczący kilka dni wcześniej był w Polsce. Spotkał się z naszymi przedstawicielami do Konwentu: Danutą Hübner, reprezentującą rząd, Józefem Oleksym z SLD oraz Edmundem Wittbrodtem z opozycyjnego Bloku Senat 2000 — reprezentantami parlamentu.

— Jakie ma pan wrażenia z Polski? — spytałam.

— Szkoda, że wasz rząd nie wykorzystuje takich osób jak Geremek czy Kułakowski — odparł Dehaene. — Te nazwiska liczą się w Europie.

Sam Dehaene, choć chadek, był lansowany na stanowisko przewodniczącego, a potem wiceprzewodniczącego Konwentu przez liberalnego premiera Belgii. Tuż przed spotkaniem z Dehaene dowiedziałam się, że właśnie zniweczono kolejną szansę na umieszczenie w prezydium Konwentu przedstawiciela krajów kandydujących. Hiszpania, która przewodniczyła wtedy Unii, po prostu nie zaprosiła kandydatów na spotkanie, na którym wyłaniano dwóch przedstawicieli parlamentów narodowych, mających zasiąść w tym gremium. Byłam oburzona. W dodatku jeden z zagranicznych kolegów podsycił moją złość, mówiąc, że przypomina mu to szczyt w Nicei, gdzie również próbowano ograniczyć nasz wpływ w poszerzonej Unii, podejmując decyzje za naszymi plecami. Marszałek Sejmu Marek Borowski wysłał nawet do Giscarda d'Estaing list z wyrazami zaniepokojenia i prośbą o rozważenie możliwości zapraszania do prezydium przedstawiciela kraju kandydującego. Przewodniczący Konwentu nie dał jednak żadnej odpowiedzi.

Teraz, jadąc samochodem z jego zastępcą, miałam szansę uzyskać pierwszą oficjalną reakcję. Zaczęłam więc od wyrzutów. Ku mojemu zaskoczeniu były premier Belgii przyznał mi rację.

— To rzeczywiście gafa ze strony Hiszpanów — powiedział. Zapewnił, że prezydium zajmie się tą sprawą. Wyjawił także, że w sekretariacie przewodniczącego pracować ma jeden lub dwóch urzędników z krajów kandydujących. Jego zdaniem jednym z nich będzie na pewno Polak.

— A języki? — pytałam. — To też przecież jawna dyskryminacja!

— Znajdzie się jakieś praktyczne, przejściowe rozwiązanie — odpowiedział Dehaene.

Miał rację. Dostyc szybko prezydium rozwiązało oba problemy. Przedstawiciele krajów kandydujących mogli podczas plenarnych obrad Konwentu wypowiadać się we własnych językach, musieli jedynie sami sprowadzić tłumacza. Prezydium postanowiło w końcu także przyjąć do swojego składu kogoś z krajów kandydujących. Formalnie miał on być zapraszany w charakterze „gościa”. Dlaczego? „Bo gość przynosi kwiaty, pije kawę i zachowuje się grzecznie” — ironizował jeden z dyplomatów z otoczenia Giscarda d’Estaing.

Okazało się wkrótce, że sami kandydaci mają kłopoty z wyłonieniem swego przedstawiciela. W kularach mówiło się wówczas o Józefie Oleksym.

Na jednej z pierwszych konferencji prasowej naszych delegatów do Konwentu senator Wittbrodt zapowiedział zgłoszenie jego kandydatury. Ten nie zaprotestował. Natomiast Danuta Hübner oświadczyła:

— Nie wyobrażam sobie, aby którykolwiek z panów miał wystarczająco wiele czasu, żeby być co tydzień w Brukseli.

— Po co więc zgłaszać kandydaturę Oleksego? — pytałam.

— Nie zawsze zgłasza się kandydaturę po to, aby zostać wybranym — wypaliła pani minister.

Tego samego dnia, gdy w przerwie prac Konwentu nasi dyplomaci snuli się beczynn timer po korytarzach Parlamentu Europejskiego, słoweński dyplomaci zdobyli poparcie europejskich chadeków dla swojego byłego premiera, Alojza Peterle. Oleksy wyczuł niekorzystną atmosferę i nagle z Brukseli wyjechał.



W przerwie obrad Konwentu Józef Oleksy rozmawia z korespondentami polskich mediów, od lewej autorka, Jędrzej Bielecki z „Rzeczpospolitej”.

Dlaczego MSZ nic nie robi i czemu oddajemy miejsce w prezydium walkowerem? — pytałam naszych urzędników. Byłam zdziwiona, bo przecież to dzięki staraniom Polski, a zwłaszcza marszałka Sejmu, prezydium Konwentu zgodziło się na delegata kandydatów.

„Jeżeli napiszesz, że MSZ nic nie robi, to wyślę oficjalne sprostowanie” — straszył mnie jeden z polskich dyplomatów. Inny próbował mnie nawet nie wpuścić na otwarte dla prasy spotkanie wyborcze. Gdyby doszło na nim do głosowania, Oleksy przepadłby z kretesem i nastąpiłaby kompromitacja. Na szczęście wyznaczono odległy termin ostatecznego zgłaszania kandydatów. Dało to byłemu premierowi możliwość wycofania się z twarzą. W podjęciu tej decyzji pomogli mu chadecy z Parlamentu Europejskiego, którzy zagrozili, że jeśli zgłosimy kandydaturę Oleksego, oni zapytają, czy wyjaśniono jego powiązania z KGB. „To nie byłoby korzystne ani dla Polski, ani dla waszego rządu” — wyjaśniał mi jeden z parlamentarzystów.

Stało się jasne, że Oleksy nie ma szans. Wybrano Słoweńca. Jeden z polskich dyplomatów tłumaczył mi potem, że „wierchuszka SLD od początku nie popierała Oleksego”.

Kilka dni później znajomy Francuz mówił, że z tych perypetii powinniśmy wyciągnąć naukę na przyszłość, jak zabiegać o ważne stanowiska w unijnych strukturach.

— Po pierwsze, musicie dobrze wiedzieć, czego chcecie — twierdził. — Kandydat musi mieć poparcie wszystkich ośrodków władzy w kraju. Nie może być tak, że kogoś popiera prezydent, ale MSZ już nie. Trzeba prowadzić intensywny lobbing, na przykład wśród europejskich międzynarodówek. Trzeba umieć — zwłaszcza tego będziecie się musieli nauczyć jako duży kraj — zabiegać o poparcie krajów małych. Wbrew temu, co się powszechnie sądzi, duży kraj często przegrywa w walce o stanowiska z małym. Musicie umieć znajdować sojuszników, obiecać coś atrakcyjnego w zamian za poparcie kandydata, mieć kogoś, kto go wystawi.

— Czy jednak Oleksy nie był od razu stracony z powodu swojej przeszłości? — spytałam.

— Jeżeli ma się kandydata z jakimś felerem, to wszystko, co powiedziałem, trzeba pomnożyć przez cztery — odpowiedział Francuz. — Nasz Giscard d'Estaing nie jest przecież najmłodszy, a jednak go przepchnęliśmy.

Dehaene nie wydawał się zdziwiony moimi dosyć agresywnymi pytaniami o języki i miejsce w prezydium.

— Przez kilka miesięcy wokół Konwentu będzie panował chaos — mówił. — Pani pytania są całkowicie uprawnione.

Chciałam już porzucić tę dyskusję o procedurach funkcjonowania Konwentu i przejść w końcu do jego istoty, gdy Dehaene nieoczekiwanie spytał:

— Nie zadzwoni pani do męża, że nie wróci pani na kolację?

Do męża dzwonić nie musiałam, ale Dehaene wyciągnął już swoją komórkę, chociaż miałam własną.

— Rozmawiacie po francusku? — zagadnął, gdy skończyłam. — W tej rodzinie to chyba nie przeszło bez problemów?

A więc rozszyfrował drugi człon mojego nazwiska. Nie było to zresztą takie trudne. Nazwisko Borginon wiele mówi flamandzkim politykom. Jedni pamiętają dziadka senatora, który walczył w Belgii o równo-

uprawnienie Flamandów i uznanie ich języka, inni znają kogoś z młodych polityków.

— Faktycznie, wprowadziłam trochę zamieszania — odpowiedziałam. — Synowa Polka, która mówi po francusku, to niekoniecznie było to... A jakie są pańskie ambicje jako członka prezydium Konwentu? — zmieniałam temat, bo zawilości problematyki językowej wspólnot flamandzkiej i francuskojęzycznej nie należą do moich najmocniejszych stron. — Co musi zostać zrobione, aby uznał pan, że to forum odniosło sukces?

— Jeżeli Konwent wypracuje katalog dziesięciu, piętnastu, dwudziestu możliwych rozwiązań, to ten spis znajdzie się z pewnością w bibliotece, ale nie będzie miał wpływu na przyszłość Unii — odpowiedział Dehaene. — Jeżeli jednak — ale to może utopia — Konwent doprowadzi do konsensu w sprawie traktatu dla Unii Europejskiej dwudziestego pierwszego wieku, nikt nie będzie mógł tego zignorować. Im rezultat prac Konwentu będzie bliższy tej utopii, tym bardziej będziemy mogli mówić o sukcesie.

Rok później, gdy znowu przyjrzałam się bliżej pracom Konwentu, które w ostatnim czasie zeszyły nieco na drugi plan moich zainteresowań dziennikarskich ze względu na finał negocjacji członkowskich, stwierdziłam, że to, co Dehaene nazywał utopią, jest właśnie realizowane. Miałam przed sobą ramy traktatu konstytucyjnego, które wypełniały się treścią. Wszystko wskazywało na to, że w drugiej połowie 2003 r. Konwent zaproponuje unijnym przywódcom dokument, który stanie się konstytucją poszerzonej Unii. A więc odwaga i wizjonerstwo zaczęły zwyciężać. Było to najpoważniejsze przedsięwzięcie od czasów, gdy ojcowie założyciele Wspólnot Europejskich pisali w 1957 r. Traktat Rzymski. Teraz powstawał nowoczesny dokument, z którym z pewnością łatwiej będzie się utożsamiać moim rówieśnikom, a także młodszymi ode mnie. Tym bardziej, że od początku obecni byli przy tym nasi przedstawiciele.

Jednak już w czasie rozmowy z Dehaene zastanawiałam się, czy nasi delegaci będą mieć wystarczająco wiele odwagi, by przedstawiać własne koncepcje. Negocjacje zbliżały się akurat do końca. Łatwo było nadepnąć komuś na odcisk.

„Niedobrze by było, gdybyście przyjęli asekurancką postawę” — ocenił Dehaene.

Od dawna obserwowałam wysiłki kolejnych polskich rządów, by wypracować w miarę spójną wizję Unii, do jakiej chcielibyśmy przystąpić. Zbyt często jednak wygrywali ci, którzy przestrzegali, aby nie pchać palca między drzwi i popierając jednych, nie narazić się innym.

Teraz, gdy dyskusja na temat przyszłości UE przestała być wyłącznie wewnętrzną sprawą Piętnastki, powstała szansa, że będziemy wreszcie mówić pełnym i własnym głosem. Debata w kraju rozpoczęła się dosyć dynamicznie. Prezydent Kwaśniewski mówił o „Europie ojczyzn”, szef MSZ Włodzimierz Cimoszewicz widział w dalszej perspektywie Europę federalną. Z zapałem do pracy w Konwencji przystąpił zwłaszcza Józef Oleksy. Na sesjach plenarnych wygłaszał dynamiczne przemówienia — czasem wprowadzie wewnętrznie sprzeczne, na przykład gdy jednocześnie lansował koncepcję Prezydenta Europy i domagał się silnej Komisji — ale zawsze pełne szczerego zaangażowania. Senator Wittbrodt dopiero uczył się poruszać w świecie unijnych instytucji i sprawiał wrażenie nieco przytłoczonego



Senator Edmund Wittbrodt przedstawiciel polskiego parlamentu w Konwencji Europejskim rozmawia w kuluarach z autorką.

spoczywającą na nim odpowiedzialnością, wytrwale jednak lansował polską ideę wprowadzenia do preambuły traktatu odwołania do Boga czy, ogólniej, wartości chrześcijańskich.

Danuty Hübner natomiast wszyscy zawsze słuchali z dużą uwagą, gdyż pani minister mówiła w imieniu rządu Polski, największego kraju spośród kandydatów. Pewna ostrożność w przemówieniach wszystkich naszych przedstawicieli w Konwencji pozostała. „No cóż — tłumaczyli mi polscy dyplomaci — musisz zrozumieć, że najważniejsze są teraz negocjacje, nie możemy narażać się krajom, które za kilka miesięcy będą decydować o naszym członkostwie”.



Wystąpienia Danuty Hübner, przedstawicielki polskiego rządu w Konwencji ceni jego przewodniczący Valéry Giscard d'Estaing.

Po zakończeniu negocjacji widzę jednak nowe ryzyko. Finał debaty w Konwencji, przewidziany na czerwiec 2003 r., zbiega się z polskim referendum w sprawie przystąpienia do UE. A więc w kraju dyskutować będziemy o Unii, która odchodzi w przeszłość, podczas gdy inni debatować będą o tej, która dopiero powstanie. My będziemy toczyć wewnętrzne boje na

temat warunków członkostwa, a pozostałe kraje będą starały się dopasowywać Unię do własnego o niej wyobrażenia. Będą przykrawać ją do własnych interesów i roli, jaką zamierzają w niej odgrywać. A czy my wiemy, jakiej chcemy Unii, jaki jej kształt byłby dla nas najkorzystniejszy? — zastanawiałam się na początku 2003 roku.

Dehaene nie miał natomiast najmniejszych wątpliwości.

— Przyszła Unia powinna być bardziej zintegrowana i opierać się na metodzie wspólnotowej, ponadnarodowej, która oznacza uwzględnienie interesów wszystkich, także tych najmniejszych i najsłabszych — oznajmił.

Wątpliwości nigdy nie były specjalnością Dehaene. Zastąpił powiedzeniem: „Nie rozwiązuję problemów, które jeszcze się nie pojawiły”. Złośliwi dodają, że temu właśnie zawdzięcza przegraną swojego chadecko-socjalistycznego rządu w wyborach w maju 1999 r.

— Nie jestem zwolennikiem Stanów Zjednoczonych Europy — ciągnął Dehaene. — Ale sukces naszego kontynentu będzie zależał od tego, czy nauczymy się posługiwać metodą wspólnotową. Bo razem znaczymy więcej niż pojedynczo. Czy Belgia utraciła suwerenność, przyjmując euro? — pytał — Przedtem frank belgijski był podłączony do niemieckiej marki, a nasza suwerenność trwała kilka minut między decyzją podejmowaną w Niemczech a decyzją, którą musieliśmy podejmować w Belgii, idąc jej śladem. Teraz decyzje też zapadają we Frankfurcie, w Europejskim Banku Centralnym, ale mamy tam już własnego przedstawiciela. Są to decyzje wspólne. A więc raczej zyskaliśmy, niż straciliśmy na suwerenności, integrując się bardziej.

Dehaene obrócił się w moją stronę i patrząc mi prosto w oczy, powiedział brutalnie:

— Przekona się pani, że czekają was podobne doświadczenia, jak spotkały nas, małe kraje. Wam się wydaje, że jesteście duzi, ważni. Tymczasem macie tak niski PKB, jesteście tak ubodzy, że nie od razu znajdziecie miejsce w koncercie wielkich. Tylko Komisja Europejska i wzmocnienie metody wspólnotowej umożliwią utrzymanie zasady solidarności, czyli wspierania krajów uboższych przez bogatsze. Bez metody wspólnotowej natkniecie się na egoizm silnych państw, którego nie przewyciężycie, bo jesteście za słabi.

Kilka miesięcy później przypomniałam sobie tę rozmowę, gdy spotkałam się z dyplomatą jednego z największych krajów Piętnastki. „Musicie zacząć myśleć w kategoriach roli, jaką możecie odegrać w Unii. Jesteście

przecież dużym krajem, macie czterdzieści milionów mieszkańców — mówić. — Jeśli Unia ma być demokratyczną Europą narodów, to skład Rady UE czy Parlamentu Europejskiego musi odzwierciedlać liczbę obywateli państw członkowskich. Czy wyobraża sobie pani, żeby mikroskopijna Estonia lub Malta przewodniczyła w przyszłości całej Unii? Przecież oni nie mają nawet tyłu urzędników”. — Dyplomata najwyraźniej sugerował, że miejsce Polski w europejskim układzie jest w gronie dużych krajów, takich jak Francja, Niemcy, Włochy, Wielka Brytania, Hiszpania. Kusił metodą „międzyrządową”, a więc wzmocnieniem roli państw członkowskich Unii kosztem Komisji.

Nie mogłam nie spytać Dehaene, jak wyobraża sobie przyszłość unijnych instytucji. To jedno z tych pytań naszego brukselskiego światka, które nie zawsze interesują szerszą publiczność. Jednak dotyczy ono wpływu, jaki będą miały kraje członkowskie, w tym Polska, w poszerzonej Unii.

— Komisja Europejska powinna zostać wzmocniona — odpowiedział. — Nie każde państwo musi mieć w niej swojego przedstawiciela. Trzeba skończyć z takim myśleniem, bo komisarze to przecież nie ambasadorowie swoich krajów! — zapalał się. — Trzeba także zreformować Radę UE, bo gdy za stołem zasiądzie dwudziestu pięciu ministrów, grozi nam kompletny paraliż. I trzeba zrezygnować z rotacyjnego przewodnictwa, trwającego pół roku. Teraz każde państwo przedstawia własne priorytety na sześć miesięcy, a następny kraj ich nie kontynuuje. Trzeba również jak najbardziej rozszerzyć zakres spraw rozstrzyganych w głosowaniu większościowym oraz do minimum ograniczyć prawo weta.

Trzeba... trzeba... trzeba... Wówczas wydawało mi się, że pogodzenie ze sobą idei wzmocnienia Rady Europejskiej i wzmocnienia Komisji albo metody międzyrządowej i wspólnotowej jest niemożliwe. Ale w styczniu 2003 r. porozumiały się w tej sprawie Francja i Niemcy. Pogodziły „wodę z ogniem”. Kompromis polegał na pomysłe podwójnej prezydentury: jeden prezydent, wybierany przez Parlament Europejski, ma stać na czele Komisji Europejskiej; drugi, wyłaniany przez unijnych przywódców, na czele Rady Europejskiej. W przyszłej Unii polityką zagraniczną miałby kierować jeden człowiek, szef europejskiej dyplomacji. Z przedstawionego kompromisu wynika, że poszerzona Unia nie będzie albo wspólnotowa, albo międzyrządowa, lecz nadal opierać się ma na obu tych filarach, z tym że bardziej

demokratycznie. Wybierani prezydenci będą gwarantem większej kontroli społecznej nad Komisją i Radą.

Dojeżdżaliśmy do Liège. Dehaene umilkł. Pewnie chciał pozbierać myśli przed wykładem, który go jeszcze czekał. Osobiście mogłabym tak rozmawiać jeszcze długo. Fascynuje mnie stawanie się na moich oczach przyszłości.

Przymknęłam oczy, by sobie wyobrazić, jak to będzie. A więc, jako duży kraj, z pewnością będziemy mieć własnego komisarza, nawet jeżeli ich liczba będzie mniejsza niż liczba członków Unii. W Radzie Ministrów Unii Europejskiej dysponować będziemy taką samą liczbą głosów co Hiszpania. W Parlamencie Europejskim — nawet jeśli liczba deputowanych miałyby być kiedyś całkowicie proporcjonalna do liczby mieszkańców — mamy zapewnić solidną reprezentację. Natomiast Unia Europejska przejdzie jeszcze przez niejednego kryzys. W końcu jednak wspólna polityka zagraniczna Europy będzie bardziej spójna niż obecnie. Powstanie także załączek prawdziwej europejskiej obrony. Polska przez najbliższe lata będzie zajęta doganianiem obecnych członków UE oraz uczeniem się wykorzystywania funduszy z brukselskiej kasy. Jako duży kraj będzie jednak miała o wiele większą wagę polityczną niż gospodarczą. Czy nasi politycy, zajęci wewnętrznymi sprawami, będą umieli wyobrazić sobie Polskę na miarę nowej Europy?

Dziennik finału

04.11.2002

Dziś rozpoczyna się negocjacyjny maraton. Meta: 13 grudnia. Czekałam na to od dawna. Nieraz próbowałam sobie wyobrazić, jak to będzie wyglądać. Miałam przed oczami zaciekle boje, a zwłaszcza nieodzwonne trzaskanie drzwiami. Na wszelki wypadek będę od teraz notować każdy dzień, bo to jednak Historia przez duże „H”. Nie chcę niczego z tego uronić.

Najpierw jest konfesjonał, bo mamy się wypowiadać ze wszystkich prośb i życzeń. Unia powinna natomiast powiedzieć, które z nich są realne, a o których lepiej zapomnieć. Tak właśnie unijni dyplomaci nazwali spotkanie sam na sam przedstawicieli Unii Europejskiej i kraju kandydującego, w tym wypadku Polski. Nasi negocjatorzy także mieli ochotę wreszcie naprawdę ponegocjować. Polski ambasador przy UE, Marek Grela, przed wakacjami radził dziennikarzom, żeby w sierpniu nie wyjeżdżali z Brukseli, bo będzie tam trwał „maraton negocjacyjny non-stop”. Maraton nie wystartował jednak ani w sierpniu, ani we wrześniu, ani w październiku. Miał się zacząć dopiero teraz, po uzgodnieniu przez Piętnastkę oferty finansowej.

Przy owalnym stole w budynku Rady UE zasiedli Jan Truszczyński, Eneko Landaburu, ambasador Danii przy UE Skytte Christoffersen, Françoise Gaudenzi i kilkunastu ekspertów. Wyłączono mikrofony. Nie było tłumaczy. Zapanowała atmosfera tajemniczości. Polski negocjator przedstawiał nasze wnioski rozdział po rozdziale, a Christoffersen i Landaburu mó-

wili, czy ich zdaniem państwa Unii zaakceptują je czy odrzuca. Zakreślano granice wzajemnych ustępstw.

Minęło trzy i pół godziny. Wreszcie Truszczyński schodzi do grupy polskich i zagranicznych dziennikarzy. Z wyrazem zmęczenia na twarzy i lekką zadyszka mówi:

— Nie będzie konferencji prasowej, wygłoszę jedynie oświadczenie.

No cóż — myślę — nowy etap negocjacji, nowa polityka informacyjna. Albo raczej jej brak.

Mam wrażenie, że Truszczyński sili się na optymizm. Zapewnia, że Unia rozumie, iż dochody polskich rolników nie mogą ucierpieć w wyniku członkostwa. A więc nie walczymy, aby było im lepiej, tylko żeby nie było gorzej!

Z zawilego wywodu naszego negocjatora rozumiem również, że są jakieś szanse na podwyższenie dopłat dzięki przeznaczeniu na nie części pieniędzy przewidzianych na rozwój obszarów wiejskich.

Minister uspokaja także tych, którzy zamierzają remontować mieszkania. Mówi, że Unia zgodzi się na utrzymanie do końca 2008 roku niższego, siedmioprocentowego VAT-u na materiały budowlane oraz nowe mieszkania.

Kilka godzin później spotykam w Parlamencie Europejskim Françoise Gaudenzi.

— Jak było w konfesjonale? — pytam.

— Tajemnica powieści — odpowiada Gaudenzi z uśmiechem.

— Podobno długo rozmawialiście o przenoszeniu funduszy z obszarów wiejskich na dopłaty. Czy to znaczy, że jest szansa na ich zwiększenie? — drązę.

— Zbyt pochopnie wyciąga pani wnioski. Byłoby to sprzeczne z aktualnym trendem polityki rolnej Unii. Ale zgadzamy się, żebyście wyrównali różnicę w dopłatach z własnego budżetu.

— Ależ jesteście hojni — ironizuję. — To znaczy, że nie dostaniemy żadnego prezentu?

— Dostaniecie, ale dopiero na Mikołaja.

Dziwię się.

— Mikołaj jest szóstego grudnia, a my powinniśmy wszystko ustalić do dziewiątego, czyli do ostatniego spotkania ministrów spraw zagranicznych przed szczytem w Kopenhadze — wyjaśnia Gaudenzi.

— A więc w Kopenhadze będzie nudno, bo wszystko zostanie ustalone wcześniej? — pytam.

— Niech się pani nie martwi, nudno nie będzie. Będzie sprawa Kaliningradu, Turcji... Tematów nie zbraknie.

Gdy usiadłam, by przysłuchiwać się debacie parlamentarnej, napotkałam wzrok Petry Erler, „szarej eminencji” do spraw Polski w gabinecie komisarza Verheugena. Pokazała mi uniesiony kciuk, jakby chciała powiedzieć, że wszystko będzie OK.

11.11.2002

A więc jest porozumienie z Rosją w sprawie Kaliningradu. Kolejna przeszkoda pokonana. Nie będzie eksterytorialnych, bezwizowych korytarzy ani przez Polskę, ani przez Litwę. Specjalny dokument tranzytowy dla Rosjan z Kaliningradu nie przeszkodzi nam w przyszłości dołączyć do układu z Schengen, dzięki któremu będziemy mogli bez żadnych kontroli podróżować po całej Unii. Prezydent Rosji Władimir Putin wyraźnie się zdenerwował, gdy Laurent Zecchini z „Le Monde” zapytał na konferencji prasowej o Czeczenię.

12.11.2002

Dopiero za sprawą dziennikarzy rosyjskich wyszła na jaw afera z „obrzezaniem”. Jedna z rosyjskich gazet napisała na czołówce: „Putin radzi Europie obrzezać się”. Okazuje się, że myśmy na konferencji prasowej nie zrozumieli odpowiedzi Putina na pytanie Laurenta, bo tłumacz zacukał się i nie przetłumaczył wszystkiego. Albo nie chciał przetłumaczyć, żeby nie było skandalu. A okazuje się, że Putin poradził Zecchiniemu, żeby... obrzezał się „tak, aby panu już nic nie odrosło” (a więc chyba doradził kastrację, ale nie jestem specjalistką). Putinowi chodziło o to, że tylko w ten sposób może uniknąć zagłady, którą zapowiedzieli wszystkim niewiernym islamscy ekstremiści. Laurent twierdzi, że będzie odpowiedź gazety.

Włoski dziennikarz powiedział mi, że cieszy się z wejścia Polski do Unii między innymi dlatego, że wniesie ona nową wrażliwość i nowe postrzeganie Rosji. Jego zdaniem Zachód wciąż jest w tej mierze bardzo naiwny. Wydarzenia takie, jak ordynarna wypowiedź prezydenta Putina mają swoją dobrą stronę: Zachód przekonuje się, z kim ma do czynienia.

Podczas kolejnej rundy negocjacji raczej ogólniki. Truszczyński informuje, że przedstawiliśmy listę 82 mleczarni, które ubiegać się będą o okres przejściowy (w tym czasie mogą wytwarzać na jednej linii produkty z mleka niedostosowanego i dostosowanego do unijnych standardów). Pytany o szczegóły, zasłania się poufnością. Tymczasem rano mój znajomy z Komisji, odpowiedzialny za sprawy weterynaryjne, zdradził mi założenia naszego stanowiska. Wynikało z nich, że do 2006 r. lista tych mleczarni zmniejszy się kilkakrotnie. Przekazuję te informacje kolegom. Nie żebym była taka koleżeńska, ale żeby pokazać naszym negocjatorom, że niewiele się przed nami ukryje, więc lepiej być z nami szczerym.

Druga runda negocjacyjna nie przynosi żadnego newsa, więc jadę na przyjęcie w naszym przedstawicielstwie przy UE z okazji 11 listopada. Tam jest okazja porozmawiać z negocjatorami w bardziej prywatnych okolicznościach.



Polski ambasador przy UE, Marek Grela składa listy uwierzytelniające Romano Prodiemu. Po wejściu Polski do UE Grela będzie pierwszym polskim ambasadorem, który zasiądzie w COREPER, na cotygodniowych spotkaniach ambasadorów UE.

Ambasador Grela jest pesymistą. Narzeka, że rozmowy z Polską odbywały się na samym końcu, przez co duński ambasador przy UE, Skytte Christoffersen, był podobno wykończony.

— To nie są jeszcze prawdziwe rokowania. W takich warunkach nie da się negocjować — mówi Grela.

Czarno widzi sprawy także wiceminister Jarosław Pietras.

— To tak, jakbyśmy mieli przejść przez bardzo wąskie ucho igielne. W końcu przejdziemy, spadniemy po drugiej stronie, ale wszystko będzie nas boleć — twierdzi. Szybko jednak dodaje: — Ale wydobrzejemy dosyć szybko.

Wielkim optymistą jest natomiast wiceminister rolnictwa Jerzy Plewa.

— Jeżeli tak dalej pójdzie, jeżeli będą dalsze ustępstwa Unii w kwotach produkcyjnych, to nasi rolnicy będą bardzo zadowoleni — mówi wyraźnie uradowany, trzymając kieliszek wina. Jego zachwyt postawą Komisji tak bardzo kontrastuje z tonem wypowiedzi ambasadora, że zastanawiam się, który kieliszek wina pije.

Wszyscy powtarzają, że w ostatniej chwili w Kopenhadze negocjowana będzie kwota mleczna oraz tzw. plony referencyjne, czyli średnia plonów z hektara, służąca do wyliczania wysokości dopłat dla rolników. O samych dopłatach nikt już prawie nie wspomina. „Kilka procent”, „między 25 a 30 procent”, „niewiele” — powtarzają moi rozmówcy.

14.11.2002

W południe na briefingu dowiaduję się od niemieckiego dyplomaty, że poszerzenie nastąpi 1 maja 2004 r. Z 1 kwietnia zrezygnowano ze względu na prima aprilis. Po południu spotykam się z moim ulubionym szwedzkim dyplomatą. Jest bardzo młody, prawie chłopiący. Od razu krytykuje przesunięcie daty. Jego zdaniem ma to być niby korzystne finansowo, ale przecież to trochę małostkowe. Wyraźnie przywiązał się do myśli, że poszerzenie nastąpi 1 stycznia. No cóż, w końcu daty zakończenia rokowań i rozszerzenia mamy dzięki Szwedom. To oni przepchnęli je na szczycie UE w Göteborgu. Wieczorem dyplomatka z Rady UE mówi mi, że najtrudniejsze w negocjacjach są Malta i Węgry. Czyżby Polska wymiękała?

15.11.2002

9.00

Francuscy dyplomaci dają do zrozumienia, że dla Paryża „odzyskanie” przez kandydatów 2,5 mld. euro obciętych z funduszy strukturalnych nie stanowi problemu. Podczas październikowego szczytu UE w Brukseli unijni przywódcy obcięli te pieniądze, twierdząc, że chcą zaoszczędzić. Już wówczas w kuluarach mówiono jednak, że zrobili to, aby mieć z czego zrobić „prezent” w Kopenhadze. Francuzi twierdzą, że najsilniej sprzeciwiają się temu Niemcy i kraje korzystające najwięcej z funduszy spójności, bo obawiają się, by przesuwanie funduszy strukturalnych na inne cele nie stworzyło precedensu. Innymi słowy, Francja jest hojna kosztem niemieckiej kieszeni. Z drugiej jednak strony polska dyplomacja powinna wykorzystać to pozytywne nastawienie Paryża.

Francuzi nie wykluczają także dopełniania dopłat bezpośrednich dla rolników środkami przeznaczonymi na rozwój obszarów wiejskich. Wspominają, że w poniedziałek Piętnastka ogłosi zakaz wydawania wiz dla prezydenta Łukaszenki i jego świty.

10.30

Spotkanie z ambasadorem Grelą. Miał nam przedstawić polskie stanowisko przed poniedziałkowym posiedzeniem szefów dyplomacji Piętnastki. Tymczasem zamiast informacji o negocjacjach słyszymy obszerny wywód na temat szóstego programu ramowego dla naukowców, posiedzenia Komitetu Ekonomiczno-Społecznego Rady Ministrów i wyjazdowej sesji jakiegoś tam RELEX-u...

18.11.2002

Piętnastka oficjalnie proponuje, aby nowe kraje zostały członkami Unii 1 maja 2004 r. Każda ze stron nakreśla granice swoich ustępstw. Mam nadzieję, że zasugeruje również, aby kandydaci mogli odzyskać część obciętych z funduszy strukturalnych 2,5 mld euro. Będzie chciała je przeznaczyć na poprawę bezpieczeństwa żywności oraz uszczelnienie granicy wschodniej. Niewykluczone, że zaproponuje jakąś formę rekompensat budżetowych tym krajom, które — tak jak Polska — obawiają się załamania finansów publicznych w pierwszym roku członkostwa. Przedstawi także swoje propozy-

cje limitów na produkcję rolną. Polsce zależy zwłaszcza na wysokiej kwocie produkcji mleka. To moje spekulacje.

Okazuje się, że unijni ministrowie są bardzo twardzi. Najważniejsze jednak, że komisarz Verheugen nie wymienił wysokości dopłat wśród spraw, które są już „nienegocjowalne”. Czyżby to oznaczało, że dopłaty będzie można podwyższyć? Dzwonię do jednej z osób z otoczenia komisarza. Ta nie zaprzecza. A więc powiało nadzieję.

Mam wrażenie, że minister Cimoszewicz też tak rozumiał Verheugena. Komentuje także nową datę członkostwa:

— Jeżeli będziemy mieć zapewnione uczestnictwo w Konferencji Międzrządowej jako pełnoprawny członek i jeżeli będzie zagwarantowane, że przesunięcie daty to z jednej strony redukcja naszej składki, a z drugiej zachowanie w całości unijnej oferty wobec Polski, nie będziemy protestowali. Chociaż wolelibyśmy, aby w ostatniej chwili tego typu zmiany nie następowały.

Wieczorem wyjazd do Strasburga. Jestem na miejscu o drugiej w nocy, kompletnie wykończona. Kładę się spać około trzeciej nad ranem.

19.11.2001, Strasburg

Konferencja prasowa premiera Rasmussena. Duńczyk straszy, że niektóre kraje sprawiają problemy i że nikt na nikogo nie będzie czekał. Oczywiście wszyscy to odebrali jako przytyk do Polski.

Słowacki dziennikarz pyta komisarza Verheugena o możliwość negocjowania wysokości dopłat bezpośrednich. Verheugen poznaje mnie i spogląda z porozumiewawczym uśmiechem. Przypomina, że na poniedziałkowym spotkaniu szefów dyplomacji specjalnie nie mówił, że wysokość dopłat nie może się zmienić. Rozumiem to jako pośrednie zapewnienie, że jednak będzie można je podwyższyć!

Komisarz udziela wywiadu niemieckiej telewizji. Proszę o kilka słów.

— Dla pani owszem, ale nie do mikrofonu — odpowiada Verheugen, spoglądając na moją żółto-niebieską kostkę RMF-u. — Proszę go wyłączyć, to pani powiem — mówi po niemiecku.

— Panie komisarzu, proszę po angielsku, bo mój niemiecki nie jest najlepszy — odpowiadam łamaną niemieczyną.

— Powiem pani tyle, a z reszty niech pani wyciąga wnioski. — Verheugen przechodzi na angielski. — Pułap dopłat został zamrożony od 2006 roku. Do tego czasu mamy pewną elastyczność.

— A więc będzie możliwe zwiększenie dopłat? — naciskam.

— To pani wniosek — odpowiada komisarz.

— Ale słuszny czy fałszywy?

— Jest pani inteligentną osobą — mówi Verheugen i pozostawia mnie z całą masą pytań. Rozumiem jednak, że Verheugen spodziewa się, iż uda się podwyższyć, do tej pory zdawałoby się nienaruszalną, podstawę tych dopłat. Mamy więc szanse na więcej niż 25 procent, 30 procent i 35 procent w latach 2004, 2005, 2006. To jednak sensacja!

21.11.2002

Budzę się niewyspana po wczorajszym wyczerpującym powrocie ze Strasburga. W Brukseli byłam o trzeciej nad ranem.

Dopiero tuż przed południem, gdy wychodzę na briefing do Komisji, zauważam, że dostałam faks. Rzucam okiem. To napisany po angielsku list ambasadora Greli do ambasadora Danii Skytte Christoffersena i dołączony do niego list Truszczyńskiego, zapowiadający zakończenie rokowań w dziedzinie polityki konkurencji, a także polska deklaracja w sprawie Specjalnych Stref Ekonomicznych. Rzucam faks na stertę papierów. Decyzja rządu w sprawie zakończenia tych trudnych rokowań zapadła wczoraj, gdy wracałam ze Strasburga. To pewnie jakieś spóźnione wyjaśnienia, wyproszone przez moich kolegów u Małgosi Alterman — myślę.

Na wszelki wypadek już z samochodu dzwonię do Jacka Safuty. Okazuje się, że żadnego faksu nie dostał ani on, ani nikt inny z moich kolegów. Kto przesłał mi poufne dokumenty?

Po powrocie z Komisji wczytuję się w papiery. To jednak interesujące! Rząd zgadza się na unijne warunki, ale wyraźnie obawia się, że inwestorzy będą dochodzić swoich praw w sądach poza granicami Polski, a nawet poza granicami Unii Europejskiej.

Spór dotyczył około sześćdziesięciu firm, które w 2000 r. zainwestowały w Specjalne Strefy Ekonomiczne. Pomoc publiczna dla przedsiębiorstw — a ulgi podatkowe w strefach są jedną z jej form — jest w UE ściśle ograniczona i dozwolona tylko w określonych przypadkach. Unia zgodziła się,

aby skorzystały z niej duże firmy, które inwestowały w SSE do 1999 r. Rząd chciał, żeby przywilej ten objął również przedsiębiorstwa, które inwestowały w 2000 r., przed wejściem w życie 1 stycznia 2001 r. nowej ustawy o SSE, zgodnej z normami UE. Unia jednak twierdzi, że inwestorzy wiedzieli o przygotowywanych nowych przepisach i inwestowali „w ostatniej chwili w złej wierze”. Truszczyński odpowiadał, że takie stanowisko UE to dyskryminacja. Jeszcze kilka dni temu mówił mi w zaufaniu, że dopóki „trzymają się Węgrzy (którzy mają podobny problem), nie musimy ustępować”. Wydawało się więc, że będziemy walczyć do końca.

Jednak wczoraj, wobec nieugiętej postawy Piętnastki, rząd zgodził się ograniczyć przywileje nabyte w 2000 r. przez dużych inwestorów do 50 procent inwestycji wobec 75 procent, których się domagaliśmy. Ale z dokumentów, które trzymam w ręce, wynika, że Warszawa po wejściu do UE nie chce zostać sama z firmami, które będą chciały egzekwować prawo do ulg podatkowych w sądzie. A taka możliwość istnieje i może z niej skorzystać wielu inwestorów.

Ktokolwiek przekazał mi te dokumenty, zachował wszelkie środki ostrożności. Przeszły mnie ciarki, gdy wyobraziłam sobie falę procesów przeciwko Polsce — na przykład proces przed amerykańskim sądem, w wyniku którego musielibyśmy zapłacić miliardowe odszkodowanie. My oczywiście nie mamy pieniędzy, więc Amerykanie zajmują nasz majątek, który znalazł się na ich terytorium — samoloty, może nawet ambasadę.

Deklaracja sprawiała wrażenie rozpaczliwego wołania o pomoc. „Jeżeli pojawią się takie przypadki [tj. procesy sądowe przeciwko Polsce — K.S.), niezbędna będzie współpraca między rządem Polski a właściwymi instytucjami UE” — czytam w dokumencie. Dzwonię do specjalisty od polityki konkurencji w Komisji. Mówi, że deklarację dostał dopiero kilka godzin temu. Urzędnicy właśnie ją studiują.

— Czy w razie procesów Polska może liczyć na rekompensaty ze strony Brukseli? — pytam.

W słuchawce zapada cisza.

— Najważniejsze, że Polska wreszcie, po tylu latach, kończy rokowania w polityce konkurencji — słyszę po chwili.

A więc nie ma żadnej gwarancji pomocy. Deklaracja jest wyłącznie jednostronna.

— Kto daje i odbiera, ten się w sądach poniewiera — skomentował mój materiał Bogdan Zalewski na antenie RMF-u.

22.11.2002

W Brukseli aż huczy od spekulacji. Duńczycy mają przedstawić propozycję końcowego kompromisu: w poniedziałek krajom Piętnastki, we wtorek kandydatom. Każdy z nas zastanawia się, co przygotowują dla Polski. Dzwonię do francuskiego dyplomaty.

— Nie wykluczam oryginalnej konstrukcji w pierwszym roku. — W głosie Francuza wyczuwam ironię.

— To stać was jeszcze na oryginalność? — pytam.

— Tak, ale nie większą, niż pięć punktów procentowych.

A więc potwierdza się! W 2004 roku zamiast pierwotnie oferowanych 25 procent tego, co dostaje rolnik unijny, mamy szansę otrzymać 30 procent Szybko przeliczam. Dla Polski oznaczałoby to 120 mln euro więcej na dopłaty. Ironia Francuza wynika stąd, że doskonale wie, że nie jest to rezultat nagłej szczodrości Piętnastki, ale skutek mechanicznego przeniesienia pieniędzy zaoszczędzonych wskutek przesunięcia daty poszerzenia z 1 stycznia na 1 maja 2004 r.

Ten buchalteryjny manewr kandydaci mogliby jednak sprzedać swojej opinii publicznej jako negocjacyjny sukces. A więc 30, a może nawet 35 procent mamy w kieszeni — podsumowuję.

Dzwonię do jeszcze innego dyplomaty, który opowiada mi o wczorajszym spotkaniu ambasadorów. Według jego relacji francuski ambasador skrytykował komisarza Verheugena za jego wypowiedź w Strasburgu, że „wysokość dopłat można negocjować”.

— Jak to? — niepokoję się. — Przecież przed chwilą Francuzi zapewniali mnie, że jest to możliwe.

— Wciąż nie wyczuwasz walki o wpływy między instytucjami? — dziwi się znajomy. — Francuski ambasador krytykuje Verheugena nie dlatego, że się z nim nie zgadza, ale dlatego, że nie chce, aby to Komisja ogłaszała tę możliwość, zanim uzyska ona aprobatę państw członkowskich UE.

Wydaje mi się to tak małostkowe, że nie podejmuję tematu. Tymczasem dowiaduję się jeszcze, że Niemcy, Austria, Szwecja i Holandia nie są zbyt zadowolone, że dostały mało czasu na wewnętrzną dyskusję

przed przekazaniem duńskiej propozycji końcowego kompromisu kandydatom. Niektórzy mówią nawet o „duńskim zamach stanu”. Dania nie ma bowiem dążyć do uzyskania zgody całej Piętnastki na oferty skierowane do poszczególnych kandydatów. Ma to uniemożliwić przedłużanie rokowań przez państwa członkowskie. Końcowe porozumienie ma, według Duńczyków, nastąpić na spotkaniu szefów dyplomacji 9 grudnia. Szczyt UE w Kopenhadze miałby więc być już tylko uroczystym, formalnym zakończeniem rokowań.

Co jeszcze znajdzie się w ofercie dla nas, poza ewentualną niewielką podwyżką dopłat? Nikt tego nie wie; nawet duńscy dziennikarze nie zdołali dotrzeć do dokumentów. Spekuluję. Wróci do nas także część z 2,5 mld euro na fundusze strukturalne, obciążonych w październiku na szczycie w Brukseli. Z tej odzyskanej puli możemy otrzymać kilkadziesiąt milionów na wzmocnienie granicy wschodniej oraz poprawę bezpieczeństwa żywności. Dania proponuje także zwiększenie limitu na produkcję mleka w Polsce. Będzie to ponad 9 mln ton (chcieliśmy 11–13 mln.). Obniżona zostanie nieco (o około 100 mln euro) nasza roczna składka do budżetu UE, a w związku z naszym późniejszym członkostwem w 2004 roku wpłacimy o 800 mln euro mniej.

25.11.2002

Siedzimy w budynku Rady Ministrów UE. Próbujemy dowiedzieć się czegoś o „duńskim pakiecie”. Gdy tylko widzę unijnego dyplomata, podbiegam i staram się coś wycisnąć. W południe — rozczarowująca informacja: Duńczycy nie podnieśli podstawowego poziomu dopłat. A więc wciąż obowiązuje 25, 30 i 35 proc! A przecież jeszcze w Strasburgu Verheugen obiecywał — no może nie obiecywał, ale sugerował elastyczność do 2006 r.

— Niech pani spyta Verheugena, może wam coś doda, skoro obiecywał — śmieje się francuski dyplomata.

— On już nic nie powie, bo mu zabroniliście — odpowiadam.

Także Brytyjczycy są wściekli na Verheugena.

— Jak mógł opowiadać takie rzeczy?! To zupełnie nieodpowiedzialne, tylko rozbudza nadzieje — gorączkuje się jeden z nich.

Polska dyplomata, której opowiadam, czego się dowiedziałam, zmienia się na twarzy. — Niemożliwe! — szepcze.

Z początku urzędnicy się wiją. Mój podstęp jednak działa. Pytam „na rybkę” jednego z Duńczyków:

— Dlaczego nie podnieśliście dopłat?

— A skąd wiesz? — odpowiada zaskoczony i tym samym potwierdza, że poziom dopłat faktycznie pozostaje niezmienny. Później dowiaduję się, że w piątek wieczorem Dania zaproponowała niewielki jego wzrost, jednak wycofała się z tego pomysłu pod ogniem bardzo intensywnej krytyki ze strony innych państw.

Niemcy są zirytowani.

— Pani rzeczywiście myślała, że podniesiemy dopłaty? — mówią. — Nasza oferta jest i tak bardzo hojna. Zresztą nie będziecie w stanie wykorzystać wszystkich pieniędzy.

Ale chwilę później jeden z nich puszcza farbę.

— Będziecie jednak mogli osiągnąć do czterdziestu procent unijnych dopłat — powiada. — Duńczycy proponują, żebyście mogli dopełniać do tego pułapu z funduszy na rozwój wsi i z własnego budżetu.

To jednak częściowe uwzględnienie naszych żądań. W najnowszym stanowisku w sprawie rolnictwa domagaliśmy się właśnie możliwości przenoszenia pieniędzy. A więc możemy podwyższyć poziom dopłat, ale własnym kosztem lub manewrując funduszami.

26.11.2002

Posiedzenie przewodniczących parlamentów krajów kandydujących. Spotkanie z Verheugenem. Marszałek Sejmu Marek Borowski stwierdza, że nie ma sensu przedłużać negocjacji poza Kopenhagę. Zwraca uwagę wyłącznie na kwestie budżetu państwa w pierwszych latach członkostwa. Nie wspomina nic o rolnictwie czy o dopłatach. Verheugen zapowiada, że czekają nas jeszcze dramaty i kryzysy, ale nic nie stanie na drodze nowej przyszłości Europy.

Truszczyński po kolejnych rozmowach z Duńczykami jest wyraźnie zmęczony. Na jego twarzy widać jednak odprężenie, jakby z naszego negocjatora opadł ogromny stres. Od jednego z uczestników spotkania dowiaduję się, że duński ambasador Skyttee Christoffersen bardzo się zirytował. Powiedział Truszczyńskiemu, że nie zamierza ustosunkowywać się do nowych polskich wniosków, bo tematem jest pakiet duński, a nie polski.



Marszałek Sejmu Marek Borowski przekonuje do polskiego stanowiska członków Parlamentu Europejskiego, od lewej przewodniczący PE, Pat Cox.

„Jeżeli chcecie nadal przedstawiać nierealistyczne żądania, to będziecie sami negocjować jeszcze miesiącami” — powiedział, a następnie wyszedł, trzaskając drzwiami.

Nareszcie — myślę. W końcu zaczyna się ostrzejsza walka. Przewiduję, że wszyscy kandydaci zgodzą się na unijną ofertę do 9 grudnia. Wszyscy — prócz nas, my przeciągniemy rokowania do Kopenhagi.

Truszczyński zapowiada walkę o polepszenie warunków, chociaż przyznaje, że nie dostrzega szans na większą elastyczność Unii w sprawach budżetowych i rolnych.

Nie chcę stracić spotkania z nowym ambasadorem Finlandii. Jestem już spóźniona. Gdy docieram na miejsce, ambasador, przemawiając na przywitanie, stwierdza, że lepiej nie zgłaszać kolejnych żądań, bo państwa Unii mogą stracić cierpliwość i odłożyć zakończenie negocjacji na kilka lat.

Od Finów wracam przed dziesiątą. Mam jeszcze wejście w RMF-ie na żywo. Padam ze zmęczenia.



Ambasador Danii przy UE, Skytte Christoffersen nie podarował sobie teatralnych gestów w ostatniej fazie negocjacji.

27.11.2002

Rano z trudem zwlekam się z łóżka, by zdążyć na ósmą na śniadanie prasowe z przewodniczącym belgijskiego parlamentu Hermanem De Croo i marszałkiem Borowskim. Docieram lekko spóźniona. Śniadanie odbywa się w głównym gmachu parlamentu. Na stole croissanty i świeże bułeczki. Palą się kandelabry. Nastrój bardziej wieczorowy niż poranny.

Pytam, ile belgijskich parlamentów i kiedy będzie ratyfikować nasz traktat członkowski. Przypominam, że to przez Belgię i jej problemy z ratyfikacją przesunięto datę naszego przystąpienia na 1 maja 2004 r. De Croo przyznaje, że ratyfikować muszą wszystkie parlamenty: federalny i sześć regionalnych, a z powodu wyborów nic nie będzie się działo do sierpnia 2003 r. Belg bardzo się jednak stara przekonać nas, że nie będzie problemów z ratyfikacją naszego członkostwa, a poszerzenie nie stanie się tematem kampanii wyborczej. Nie rozwiewa to jednak naszego sceptycyzmu.

— A jednak flamandzcy socjaliści, którzy są w koalicji rządzącej, wypowiedzieli się krytycznie o przyjęciu Polski — zauważam.



Od lewej: Herman De Croo przewodniczący izby niższej belgijskiego parlamentu. De Croo uważa, że w Belgii będzie poważna debata podczas ratyfikacji rozszerzenia, ale wynik głosowania będzie pozytywny.

— W Izraelu mówią: „Przed wyborami mur mówi do ciebie, a po wyborach ty mówisz do muru” — odpowiada De Croo.

— A nacjonaliści z Bloku Flamandzkiego? — pyta jeden z moich kolegów.

— Nie będą mieli wpływu. A gdyby nawet byli przeciw poszerzeniu, to tym bardziej nastąpi mobilizacja, żeby głosować za.

— Nie obawia się pan, że po rozszerzeniu UE nie będzie możliwa dalsza integracja, bo trzeba będzie się skupić na konsolidacji struktur? — przytaczam belgijskie argumenty, by sprowokować przewodniczącego do większej szczerości.

— Uczyła się pani jeździć na rowerze? — odpowiada pytaniem De Croo. — Na początku rodzice trzymają za siodełko, a puszczają dopiero po pewnym czasie. My będziemy przez pewien czas trzymać siodełko.

Włącza się do rozmowy Borowski:

— Ale trzeba pilnować, żeby dziecko się nie przewróciło, bo może się poturbować i potem w ogóle nie będzie chciało wsiąść na rower.

Inny z kolegów próbuje znowu:

— Czy to znaczy, że poszerzenie odbywa się bez żadnego ryzyka dla Belgii? Wy nie poniesiecie żadnych kosztów i cały wysiłek będzie spoczywać na nowych krajach?

— Ależ skąd! My także poniesiemy koszty. Proszę sobie nie wyobrażać, że jesteśmy naiwni. Poszerzenia obawiają się nasi rolnicy, przedsiębiorstwa transportowe lękają się taniej siły roboczej z Polski, pracownicy boją się, że duże firmy zaczną przenosić inwestycje do waszych krajów. Niepokoi nas też możliwość osłabienia unijnych instytucji. Ale wolę podjąć ryzyko, jakie niesie pospieszne rozszerzenie, niż ryzykować, że z powodu opóźnienia nie nastąpi ono nigdy.

Po śniadaniu udaje mi się namówić Borowskiego na rozmowę na osobności.

— Jaki ma pani piękny zegarek. — Marszałek ogląda mojego plastikowego swatcha w złotym kolorze. Atmosfera staje się luźniejsza. Marszałek wyraźnie daje do zrozumienia, że w końcowej fazie negocjacji najważniejsze będą sprawy budżetowe.

— W najgorszym razie zaciągniemy długoterminową pożyczkę na niski procent lub zwiększymy deficyt — mówi jedna z osób z otoczenia marszałka. Wyczuwam determinację, aby zakończyć negocjacje w terminie.

Dociera do mnie wiadomość, że w Warszawie trwa burza po wyliczeniach Kalinowskiego, z których wynika, że unijnych funduszy na rozwój wsi nie starczy na dopełnienie dopłat do 40 procent. Zabraknie 8 punktów procentowych. Unijni dyplomaci mówią, że nigdy nie twierdzili, iż całe pieniądze mają pochodzić z brukselskiej kasy.

28.11.2002

14.00

Biegnę do hotelu Eurovillage, gdzie odbywa się spotkanie Komisji Episkopatów Wspólnoty Europejskiej (COMECE). Czekamy na metropolitę gnieźnieńskiego, abp. Henryka Muszyńskiego, który reprezentuje Episkopat Polski. Trwa jeszcze spotkanie biskupów z piętnastu krajów Unii i państw kandydujących z przewodniczącym Komisji Europejskiej Romano Prodim.

Wreszcie wychodzi do nas ksiądz arcybiskup. Przyzwyczaiałam się, że zadając odpowiednio pytanie mogę wydobyć z polityka jasną, jednoznaczną odpowiedź. Abp Muszyński natomiast używa języka wieloznacznego.

— Jestem biblistą, pasterzem, a nie politykiem — mówi.

Rozmawiamy o referendum w sprawie członkostwa w Unii. Abp Muszyński twierdzi, że Kościół „nie jest stroną”, nie będzie więc agitować ani „za”, ani „przeciw”.

— Dla mnie ważne jest pytanie, czy zagłosuje dość osób, by referendum było wiążące — mówi.

— A więc Kościół będzie namawiać do uczestnictwa? — pytamy.

— To jest obowiązek obywatelski. Jeżeli ktoś nie bierze udziału w wyborach, nie ma moralnego prawa do krytyki — odpowiada ksiądz arcybiskup.

16.30

Dzwoni Mira Skórka, która zajmuje się w RMF-ie w Warszawie sprawami Unii Europejskiej z informacją, że rząd złagodził swoje stanowisko negocjacyjne. Proponowany przez Danię czterdziestoprocentowy poziom dopłat jest „prawie zadowolający” — powiedział Jan Truszczyński na konferencji prasowej w Warszawie.

Czytam depezę PAP-u, z której wynika, że właściwie zgadzamy się na owe 40 procent. Dzwonię po reakcję do rzecznika komisarza Verheugena, Jeana Christophe`a Filoriego. Z jego wypowiedzi wynika, że są szanse na zakończenie negocjacji w sprawach technicznych do 9 grudnia. W Kopenhadze do negocjacji zostałyby kwestie budżetowe.

Chwilę później w serwisie PAP pojawia się sprostowanie: „Opisanie oceny sformułowanej przez negocjatora jednym przymiotnikiem, jako »zadowolająca«, jest istotnym nadużyciem”. Nie wierzę własnym oczom. Rząd musi mieć nerwy jak postronki, skoro już się wycofuje. Znam Truszczyńskiego i wiem, że mówi w ten sposób, aby dać określony sygnał. Skoro powiedział, że propozycja Duńczyków jest „prawie zadowolająca”, to znaczy, że się praktycznie na nią zgadza. A sprostowanie? Chodzi o to, aby podtrzymać wrażenie, że nadal walczymy.

W poniedziałek może dojść do negocjacyjnego starcia, bo duńscy dyplomaci są twardsi niż rzecznik Komisji i wciąż utrzymują, że ich stanowisko

jest „ostateczne”. Wzrośnie więc presja na Polskę, bo nasz kraj w ostatniej fazie rozmów jest najbardziej nieprzejednany. Większość kandydatów czeka na to, co nam uda się jeszcze wytargować. Dlatego Dania próbuje rozbić solidarność państw kandydujących. Przestrzega, że pójdzie w ślady Polski może spowodować odłożenie rozszerzenia UE. Przewiduję, że do kryzysu dojdzie 9 grudnia, podczas posiedzenia szefów dyplomacji Unii i kandydatów. Sądzę jednak, że na szczycie w Kopenhadze uda się porozumieć.

— Obecna histeria jest konieczna, by pokazać opinii publicznej, że negocjacje są twarde — mówi mi jeden z dyplomatów w Brukseli.

02.12.2002

Ostatnia runda negocjacji na szczeblu głównego negocjatora. Truszczyński spotyka się z nami rano. Rozmowa przy wyłączonych mikrofonach. Czy i tym razem będzie trzaskanie drzwiami? Truszczyński przyznaje, że ostatnim razem było gorąco.

— Ale nie żał mi Duńczyka — mówi z lekką satysfakcją w głosie nasz negocjator. — Duńczycy są teraz w niewygodnym szpagacie, tak jak ja od roku. Muszą lawirować między państwami członkowskimi, które chcą zaoszczędzić na poszerzeniu, a roszczeniami kandydatów, którzy wciąż domagają się więcej.

Czeski negocjator Pavel Teliczka jest „piękny, silny i inteligentny” — jak wyliczał szyderczo jeden z unijnych negocjatorów. Teliczka znany jest też ze swojej nieustraszczości.

— Ale co z tego, skoro nikt nie traktuje go zbyt poważnie? — pyta inny unijny dyplomata.

O Teliczce w Komisji Europejskiej mówi się, że to taki czeski Saryusz-Wolski. Dzisiaj Czech przedstawił stanowisko twardsze nawet od polskiego. Nadal żąda podwyższenia pułapu dopłat i możliwości dopłacania z własnego budżetu tyle, aby czescy rolnicy otrzymali połowę tego, co unijni farmerzy. Skąd taka zawziętość? Jeden z czeskich dziennikarzy wyjaśnia z ironicznym uśmiechem, że na pojutrze ich rolnicy zapowiedzieli dziesięciotysięczną manifestację.

Polska natomiast chce możliwości przesunięcia nie 20 — jak proponują Duńczycy — ale 25 procent z funduszy na rozwój obszarów wiejskich na dopłaty. Z wyliczeń naszych negocjatorów wynika, że w ten sposób może-

my dojść do ponad 42 procent wysokości dopłat dla rolników w UE. Więcej nie będzie, bo w polskim budżecie nie ma pieniędzy na dobiecie do 50 procent A więc może się zdarzyć, że czescy chłopci będą otrzymywać więcej od naszych — myślę — i to oni, a nie na przykład Francuzi czy Niemcy, zaleją nas swoją produkcją.

Jest już jasne, że walka o wyższe dopłaty przestała być polskim priorytetem. A co nim jest? Rekompensata, która ma zapewnić utrzymanie płynności budżetowej w pierwszych latach członkostwa. Chcemy 1,2 mld euro dla wszystkich, co oznacza, że dla nas przypadłaby połowa.

19.10

Truszczyński wychodzi trochę bardziej zadowolony niż poprzednio.

— Tym razem nie trzaskały drzwi. To dobry znak, znaczy, że chcą rozmawiać na temat naszych postulatów — szepcze mi do ucha jeden z członków delegacji.

Truszczyński wygłasza oświadczenie. Gdy mówi, że nie będzie pytań, wśród dziennikarzy rozlega się pomruk niezadowolenia. Negocjator daje do zrozumienia, że UE nie zgodzi się na większy limit produkcji mleka i większy plon referencyjny. Zapowiada, że na szczycie w Kopenhadze Miller będzie walczyć o rekompensatę budżetową.

19.30

Spotykam Dimitrisa, cypryjskiego dyplomatę. Mówi, że Cypr jako pierwszy praktycznie zakończył negocjacje. Postanawiam poczekać na ich negocjatora, Georgesa Vassiliou.

— Dlaczego Cypr łamie solidarność kandydatów i tak prędko zgadza się na unijne warunki? — pytam.

— Na samym początku ustalono, że każdy negocjuje osobo, dla siebie. Nie ma związku zawodowego krajów kandydujących. Życzę Polsce wszystkiego dobrego. Jest między nami solidarność. Na pewno nie chcemy wywierać na was presji — deklaruje Vassiliou.

— Kończycie rozmowy, ale chcecie dostać to, co ewentualnie nam uda się jeszcze wynegocjować — mówię.

— Tak. Unia nie może zaoferować jednemu państwu większych dopłat dla rolników, nie oferując tego samego pozostałym.

- A więc Polska negocjuje w imieniu wszystkich?
- Możliwe — odpowiada Cypryjczyk.

04.12.2002

Niemców najwyraźniej bardziej ekscytuje poszerzenie Unii o Turcję niż o Polskę i inne kraje Europy Środkowej. W Parlamencie Europejskim trwa debata transmitowana przez niemiecką telewizję WDR. Na zaimprovizowanej scenie siedzą Oleksy, słowacki negocjator Jan Figel, komisarz Günter Verheugen oraz niemiecki eurodeputowany z CDU, Elmar Brok.

Trochę mi żal Oleksego i Figela, bo po dwóch pytaniach niemieckiej dziennikarki stracili całkowicie jej zainteresowanie. Rozmowa przeszła na Turcję — temat budzący u naszych sąsiadów z zachodu wielkie emocje. W Niemczech mieszka kilkumilionowa społeczność turecka. Zwyczajni ludzie po prostu boją się członkostwa Turcji. SPD natomiast Turcję popiera. Oczywiście innego zdania jest CDU. Na koniec Oleksy stwierdza, że dla Turcji nie ma miejsca w Unii, bo nie jest krajem chrześcijańskim. Z punktu widzenia Berlina to paskudna gafa.

Dziwię się, że Oleksy całkiem nieźle zna niemiecki. Tłumaczenie jest natomiast tak fatalne, że tarzamy się ze śmiechu. „Pompowy” zamiast „pompatyczny”, „cosik” zamiast „trochę”. Jeżeli tacy tłumacze wylądują w Brukseli na stałe, to będzie tragedia.

Po debacie dopadam z kolegami Verheugena. Przyznaje, że istnieje szansa na rekompensatę budżetową. Chodzi o możliwość wykorzystania dla wszystkich kandydatów nieco ponad 2 mld euro, które zapisano w unijnym budżecie zwanym Agendą 2000. Ale trzeba by działać tak, żeby Niemcy mieli wrażenie, że zaoszczędzili co najmniej miliard.

W Brukseli zaczyna się mówić o polskiej ofensywie dyplomatycznej. Miller i Kwaśniewski jeżdżą po unijnych stolicach. Duńczycy są oburzeni. Mają wrażenie, że Warszawa dogaduje się ponad ich głowami z pozostałymi krajami Piętnastki. Jednak inni unijni dyplomaci twierdzą, że to dobrze.

— Dania to taki mały kraj — powiedział mi jeden z nich.

Czesi są na nas potwornie wściekli, że przestaliśmy walczyć o podwyższenie dopłat dla rolników. Czeska agencja prasowa donosi dzisiaj, że Polska łamie w ten sposób umowę zawartą przez Grupę Wyszehradzką. To fakt, że nie domagamy się tych dopłat tak jak dawniej. Nieoficjalnie ze wszystkich

kątów słyszę, że z dopłatami daliśmy sobie spokój i że nastawiamy się na wsparcie budżetu.

Rzecznik czeskiego ministerstwa rolnictwa Pavel Kovarz jest rozjątrzony.

— Trzeba zadać sobie pytanie, czy zawieranie jakichkolwiek umów w ramach wyszehradzkiej czwórki ma w ogóle sens — mówi.

Wściekłość Czechów wzięła się stąd, że urzędnicy Komisji powiedzieli im, że jest szansa na podwyższenie podstawy do 30, 32,5 i 35 procent. Takie wysokości zaproponował podobno Verheugen. Dyplomaci państw członkowskich twierdzą, że to urojenia. Czyżby ktoś chciał nas skłócić z Pragą?

Rozmawiam na temat pretensji Czechów z jednym z unijnych komisarzy. Daje do zrozumienia, że Czesi się wygłupili.

— Polska latami walczyła o wyższe dopłaty, za co wszyscy ją krytykowali. A teraz chcieliby na waszym grzbiecie wjechać do Unii.

Niedobrze jednak, jeżeli do Kopenhagi pojedziemy podzieleni. Silny front kandydatów byłby naszym atutem. Było jednak do przewidzenia, że tak się nie stanie. Od początku nie wierzyłam w porozumienie w ramach Wyszehradu.

05.12.2002

Znowu muszę pędzić na ósmą rano przez zakorkowane miasto, tym razem na spotkanie z greckim ambasadorem przy UE, Aristidesem Agatoklesem. Zmuszam się do tego wysiłku, bo Grecja w pierwszej połowie 2003 r. będzie przewodniczyć Unii.

Śniadanie organizuje brukselskie Centrum Polityki Europejskiej. Siwiuteńki ambasador ma twarz dobrego wujka. Przyznaje całkiem oficjalnie, że Verheugen ma rację, mówiąc, że Unia ma jeszcze 2 mld euro w zapasie. W ten sposób daje do zrozumienia, że dostaniemy prezent pod choinkę. Mam nadzieję, że dla nas przypadnie z tej sumy co najmniej pół miliarda.

Jest okazja do rozmowy także z innymi dyplomatami. Jeden z bywalców unijnych szczytów mówi mi, żebyśmy wybili sobie z głowy, że w Kopenhadze ktokolwiek będzie chciał z nami negocjować. Jego zdaniem przed spotkaniem z kandydatami przywódcy Piętnastki ustalą ostateczną ofertę, a następnie przedstawią ją premierom państw kandydujących.

— To się odbędzie na zasadzie *take it or leave it* (bierz albo odrzuć)
— powiada mój rozmówca.

— Jak to? Przecież miały być negocjacje? — dziwię się, chociaż już od pewnego czasu podejrzewam, że zapowiadanego przez naszych dyplomatów negocjacyjnego maratonu wcale nie będzie. — A jeżeli premier Miller będzie chciał jednak w Kopenhadze negocjować?

— Miller będzie miał tylko tyle czasu, żeby podziękować — odpowiada dyplomata raczej mało dyplomatycznym tonem. — Polska nie może sobie pozwolić na strojenie fochów.

Rzeczywiście — w programie szczytu Duńczycy przewidzieli tylko godzinę na wspólne spotkanie przywódców UE i krajów kandydujących. Na Millera przypadają zatem teoretycznie... cztery minuty. Co może w tym czasie powiedzieć? W dodatku przy wspólnym stole nie są możliwe żadne negocjacje. Ciekawe, jak to przyjmą w Warszawie?

Rano przed wyjściem czytałam w serwisie PAP-u, że Truszczyński także zastanawia się, jak będzie wyglądać szczyt w Kopenhadze. Chyba ma nadzieję, że przewidziano jakieś osobne seanse dla poszczególnych krajów.

Dowiaduję się, że to Schröder pokrzyżował plany Duńczykom, którzy spodziewali się, że zakończą rokowania przed Kopenhagą. Kanclerz chciał natomiast, aby to się odbyło na szczeblu premierów. W ten sposób będzie mógł chodzić w glorii dobroczyńcy poszerzenia. Duński plan zakładał, że splendor spłynie wyłącznie na Duńczyków.

06.12.2002

Kolejne śniadanie poza domem. Tym razem w naszym przedstawicielstwie przy UE, z dziennikarzami z mediów katolickich z Polski. Rozmowa dotyczy nauki, wartości, przyszłości Unii, a więc spraw bardziej ponadczasowych niż kwota mleczna, plon referencyjny czy rekompensata budżetowa. Jest bardzo przyjemnie. Inaczej. Gdy już wydawało mi się, że oderwałam się od codziennej pogoni za newsem, zrywają się koledzy. No tak, zapomniałam: konferencja prasowa Danuty Hübner w Parlamencie Europejskim!

Znowu spóźniam się parę minut. Wpadam w momencie, gdy czeska dziennikarka pyta, dlaczego Polska zrezygnowała z walki o podwyższenie dopłat dla rolników.

— Mój Boże, kto pani naopowiadał takich rzeczy? — dramatycznym tonem odpowiada Hübner. — To nieprawda. Polska, tak jak inne kraje kandydujące, zabiega o jak najwyższe wsparcie.

Hübner zapewnia, że staramy się też o rekompensaty budżetowe. Nie chce powiedzieć, jak wysokie. Mówi, że odpuścimy sobie walkę o wyższy limit na mleko dopiero na szczycie, bo wtedy ważyć się będzie nasze członkostwo.

— Nastąpi moment decyzji, czy wchodzimy do Unii, czy też nie wchodzimy z powodu mleka — mówi.

Sama już nie wiem, czy my jeszcze w ogóle o coś walczymy. Zgadzam się, że ważniejsze są pieniądze na budżet. Ale mam wrażenie, że już nawet na to nie naciskamy. A przecież Verheugen i niektórzy dyplomaci mówią, że jest szansa na 300 do 500 mln euro!

Spotykamy się z duńskimi dyplomatami w Radzie UE. Ogłaszają, że sześć krajów kandydujących praktycznie skończyło już negocjacje — na zaproponowanych przez Kopenhagę warunkach. Polska i Malta wymieniane są jako dwa najbardziej nieprzejednane państwa. A jednak jeszcze nie odpuściliśmy!

Duńczycy mówią, że my i Maltańczycy staramy się wciąż o rekompensaty i wyższe kwoty produkcyjne. Duńczycy straszą, że jeżeli mamy nadzieję na dodatkowy miliard, to się przeliczymy. W ogóle ostatnio dużo straszą, próbując nas zmiękczyć. Najwyraźniej wypadki ich przerosły. Denerwują się o byle co i w dodatku to okazują. Rzecznik duńskiego przedstawicielstwa, Samuel Magid, krzyczy na mnie, gdy próbuję zadawać pytania:

— Nie mam nic do dodania!

Gdy Inga spytała o możliwość odzyskania 2 mld euro, tak się zdenerwował, że rzucił z trzaskiem teczką. Prawdopodobnie w Kopenhadze będą nas oskarżać, że nie ustępując, opóźnimy całe poszerzenie.

Francuzi wyjaśniają mi, że ich zdaniem Miller umówił się ze Schröderem, by zawrzeć ostateczny kompromis w Kopenhadze, a nie — jak chciała Dania — na tydzień przed szczytem, na szczeblu szefów dyplomacji. Malutka Dania po prostu nie rozumie, że taki duży kraj jak Polska nie może łatwo ustąpić. Premier musi odegrać przedstawienie choćby ze względu na trudną sytuację wewnętrzną (kłopotliwy koalicyjny partner) i opinię publiczną. Francuski dyplomata potwierdza jednak, że Polska

wycofała się ze starań o dopłaty. Mówi, że poinformował o tym dzisiaj duński ambasador. Dowiaduję się także, że istnieje w tej sprawie pismo Truszczyńskiego z 2 grudnia. Nasz negocjator pisze w nim, że zgadza się na podstawę 25 procent. Francuz zmraża mnie stwierdzeniem, że była jednak szansa na parę procent więcej. Ale w końcu przyznaje, że w Kopenhadze dla Millera „te parę procent na dopłaty nie byłoby sexy, a żywa gotówka — tak”. Jego zdaniem otrzymamy „bliżej 300 niż 500 mln euro” jako prezent gwiazdkowy.

Pod koniec dnia docieram na konferencję prasową premiera Belgii Guy Verhofstada, oraz premiera Danii, Andersa Fogh Rasmussena. Pytam Duńczyka, dlaczego zaplanował tylko godzinę na spotkanie z premierami z krajów kandydujących.

— Centrum kongresowe zarezerwowałem na cały weekend — odpowiada Duńczyk. — Ale jeżeli jacyś kandydaci nie zdążą zamknąć negocjacji, to nie będziemy na nich czekać.

Znowu straszą. Ja jednak myślę, że wszystko zostało już ustalone.

09.12.2002

A więc Polska walczy do końca. Tylko co będzie, jak Miller zacznie na szczycie w Kopenhadze mówić o obniżonym podatku VAT na mieszkania, płonie referencyjnym czy mleczarniach. Przecież żaden z unijnych przywódców na tym się nie zna i nie będzie chciał na ten temat rozmawiać. Mam wrażenie, że Miller jedzie z tak długą listą życzeń ze względu na PSL i opinię publiczną w kraju. Będzie chciał potem sprzedać te różne drobiazgi jako sukces. Najważniejsze jednak, ile uda się ugrać dodatkowych pieniędzy na wsparcie budżetu. Oczywiście Duńczycy znowu straszą. Po dzisiejszych rozmowach szefa duńskiej dyplomacji, Per Stig Moellera, jest jasne, że pozostaliśmy na placu boju sami. No, z Maltą. Nie najlepsza i nie najmocniejsza to kompania. Reszta w zasadzie zgadza się na unijne warunki. Moeller powiedział na konferencji prasowej, że jest zaskoczony tak długą polską listą, że trzeba było wyłonić kilka priorytetów. I dodał ostro: „Unia chce Polski, ale jeśli Polska nie chce, to muszę to zaakceptować”. Niby że jak nie chcecie do Unii to nie, wasza sprawa. Na to od razu zareagował Verheugen: „Nie ma powodu do nerwowości, Polska jest po wygrywającej stronie”. Jak zawsze, komisarz przyszedł nam z odsieczą.

Założyłam się z niemieckim dyplomata, że na szczycie ugramy co najmniej 300 mln. euro więcej niż proponują obecnie Duńczycy. On twierdził, że nie ugramy tyle, bo w Niemczech jest kryzys i Schröder nie może sobie pozwolić na dodatkowe wydatki.

12.12.2002, Kopenhaga

W Kopenhadze zimno. Poszłam do Tivoli, słynnego wesołego miasteczka w centrum miasta nagrać zwykłych mieszkańców Kopenhagi i porozmawiać trochę o tym, jak oni widzą to całe poszerzenie. Na jednym ze świątecznych kiermaszy kupiłam sobie czapkę i sweter. Myślałam, że to skandynawski wzór, dopiero w hotelu zobaczyłam metkę „Made in Ecuador”. Ale w Tivoli było super. Tutaj życie tętni nawet zimą. A ludzie rzeczywiście są za poszerzeniem. Nie spotkałam ani jednego Duńczyka, który byłby przeciwny. A więc potwierdzają się publikowane w Brukseli sondaże, z których wynika, że 60 procent Duńczyków — a więc rekordowo dużo w porównaniu z innymi krajami Piętnastki

— popiera nasze członkostwo w Unii. Kilku mówiło jednak, że boi się, aby nie przelała się do nich korupcja od nas. To chyba największy związek z poszerzeniem lęk tego uczciwego, spokojnego i pracowitego społeczeństwa. O duńskiej uczciwości opowiadała mi pani Jadwiga, zasiedziała od lat w Kopenhadze Polka, która pracuje tutaj jako tłumacz. Kiedyś, na samym początku swojego pobytu w Danii, zaniósła policjantowi w podziękowaniu za pomoc bukiet kwiatów. Ten zrobił się czerwony na twarzy i powiedział: „Jeszcze nikt tak mnie nie obraził. To, co zrobiłem, było moim obowiązkiem”. Kwiatów nie przyjął. W pierwszej chwili — opowiadała — nawet nie zrozumiała, o co mu chodzi.



Kopenhaga będzie się kojarzyć Polakom nie tylko z syrenką.

W Polsce policjant sam wyciągnąłby rękę, i to nie tylko po kwiaty... A więc ta nadzwyczajna uczciwość mi się u Duńczyków bardzo podoba, nawet jeżeli czasami jest przesadna.

Konrad Piasecki i Mira Skórka z RMF-u także już dotarli. Będziemy więc silną ekipą.

Kilka osób dzwoniło do mnie z Polski nieco podenerwowanych. Podobno atmosfera w kraju bardzo podgrzana, prawie jakby Miller wyruszał na wojnę. Słownictwo też takie: na tarczy czy z tarczą. A ja sobie myślę — i wszystkim to mówię — że to trochę teatr, że nie ma się czym przejmować. Nasi się zgodzą, bo nie mają innego wyjścia. Chodzi tylko o to, aby wyszli z honorem. A tradycją unijnych szczytów jest, że nikogo się nie poniża. A więc kompromis. Trochę szokuję tym, bo tu przyjechali nabuzowani dziennikarze z Warszawy i wydaje im się, że Miller będzie negocjować do świtu w sobotę. A ja im mówię, że wieczorem, najdalej do północy, będzie po wszystkim. Dzwonił także Łukasz Warzecha z „Unia & Polska”. Ten też przestraszony. A ja w kółko swoje: wszystko jest pod kontrolą, a reszta to teatr.

13.12.2002

8.00

Konrad Piasecki wita mnie w sali prasowej opowieściami o spotkaniach z naszymi negocjatorami. Musiał zerwać się o piątej rano, by dotrzeć do hotelu Radisson, gdzie nocuje polska delegacja. Chodziło o poranną rozmowę dla RMF-u z Truszczyńskim. Gdy Konrad wchodził do hotelu, równocześnie wbiegał „spocony człowieczek w czapeczce i dresie”. Oczywiście zatrzymała go policja.

— To hotel dla VIP-ów — powiedział jeden z policjantów.

— Ależ ja jestem VIP-em! — odpowiedział na to mężczyzna, biegnąc w miejscu. — Jestem wicepremierem Polski!

Dopiero wtedy Konrad rozpoznał Kołodkę.

— Proszę pokazać dokumenty — nie ustępował policjant. Kołodko nie miał ich jednak przy sobie. I gdy Konrad chciał już potweirdzić tożsamość polskiego wicepremiera, sprawa wyjaśniła się na recepcji.

Konrad opowiada, że nasza delegacja nie spała zbyt długo. Narada trwała do trzeciej nad ranem.



W kuluarach szczytu w Kopenhadze premier Kołodko rozmawia z przewodniczącym KE Romano Prodim.

8.30

Rozmowy premiera Danii Rasmussena z polską delegacją pod przewodnictwem premiera Leszka Millera rozpoczynają się z półgodzinnym opóźnieniem. Jeden z unijnych dyplomatów mówi mi, że Miller zażądał dodatkowo 1,1 mld euro na rekompensatę budżetową, obniżonej stawki VAT na mieszkania oraz wyższej kwoty mlecznej.

— To normalne, że rozmowy zaczyna się z górnego pułapu — mówi unijny dyplomata. — Oczekiwania, że Polska zadowolili się tym, co jest na stole, byłyby niepoważne.

Kilkaście minut później telefonuje na moją komórkę i błagalnym tonem prosi:

— Tylko nie mów, że to ja powiedziałem.

Najwyraźniej robi się gorąco.

W kularach spotykam ministra do spraw europejskich Danii, Bertela Haardera.

— Jeżeli Polska będzie się upierać, to wejdzie do Unii w 2007 r. razem z Bułgarią i Rumunią — mówi przez zaciśnięte zęby.

Znam brutalną szczerość Haardera, podejrzewam go nawet o brak sympatii dla naszego kraju. Odpowiadam więc:

— Sądzi pan, że Niemcy zaakceptują rozszerzenie bez Polski?

To jeszcze bardziej go rozwściecza.

— Niemcy zaakceptowały to już w momencie, gdy zgodziły się kilka lat temu, że każdy kraj wchodzi do Unii na podstawie własnych zasług i stanu przygotowania. A jak się teraz okazuje, Polska nie jest przygotowana!

Rzecznik Millera Michał Tober informuje, że zarządzono przerwę i rozmowy zostaną wznowione w południe. PAP cytuje polskiego uczestnika negocjacji, który mówi, że „w pewnej chwili o mało nie doszło do zerwania rozmów”.

— Bzdura! — mówię przy Toberze, chociaż zdaję sobie sprawę, że to zapewne on jest źródłem tej informacji. Jest jasne, że Miller nie może wstać od stołu, powiedzieć „dziękuję” i wrócić do kraju. To byłaby całkowita klęska, coś takiego w ogóle nie wchodzi w grę. Chodzi o podgrzanie nastrojów i pokazanie, jak twardo walczymy. Nasi prawdopodobnie nie byli przygotowani na taką nieustępliwość Duńczyków.

W tym czasie dziennikarze z Francji, Włoch i Szwecji pytają mnie, co takiego wydarzyło się w Polsce 13 grudnia, że właśnie dzisiaj Warszawa chce zakończyć rozmowy. Opowiadam, dorzucam własne wspomnienia o czołgach na ulicach, wyłączonych telefonach i zamkniętych szkołach. Dziwią się, że sami osłabiamy swoją pozycję, ograniczając czasowo negocjacje.

— Jeżeli tak zależy wam na tej dacie, to wszystko skończy się przed północą. To nawet dobrze, bo myślałem, że będę tu musiał siedzieć do soboty — mówi uradowany Włoch.

Miller rozmawia z premierem Szwecji Goranem Perssonem i kancle rzem Schröderem, bo oni „wplacają więcej do unijnej kasy, niż z niej wyciągają”, jak wyjaśnia Tober. Rasmussen rozmawia z premierami Czech, Węgier, Słowenii i Malty. Stwierdza: „Mamy poważny problem z Polską”.

Niedługo potem spotykam w kulisach Perssona. Pędzi gdzieś w otoczeniu swoich dyplomatów.

— Rzeczywiście jest problem z Polską, ale ja jestem optymistą — mówi mi w biegu.

13.00

Także druga runda rozmów rozpoczyna się z opóźnieniem. Ze strony unijnej dołączają przewodniczący KE Romano Prodi, a z polskiej minister Danuta Hübner oraz szef MSZ Włodzimierz Cimoszewicz. Rozmowy szybko się kończą. Na 15.00 zapowiadane jest spotkanie Grupy Wyszehradzkiej. Tober ogłasza kolejną rundę. Powołano polsko-unijną grupę roboczą. To dobry sygnał, oznacza, że mowa jest już o konkretnych sprawach i porozumienie jest blisko.



Unijni przywódcy czekają w Kopenhadze na wyniki rozmów z polskim premierem.

14.45

Kanclerz Gerhard Schröder wychodzi z obrad do dziennikarzy i informuje, że znaleziono rozwiązanie. Polsce na wsparcie budżetu zostanie przyznany miliard euro w taki sposób, że nie zwiększy to obciążeń Piętnastki. Dla kilku kandydatów znalazło się też dodatkowe 300 mln euro.

Naradzamy się gorączkowo z Mirą Skórką. Jeśli dobrze rozumiemy — owszem, mamy miliard, ale przesunięty z jeden szuflady do drugiej! Miliard, który i tak nam się należał!

Dzwoni do mnie Stefan, niemiecki dziennikarz. Spotykamy się przy barze. Stefan wręcza mi kartkę papieru z wyliczeniami i komentarzem po niemiecku.

— Popatrz — pokazuje mi tabelę. — Tego miliarda i tak byście nie wykorzystali przed 2006 rokiem. A dzięki temu rozwiązaniu dostaniecie szybciej żywą gotówkę na budżet!

Stefan mówi, że to typowy unijny kompromis.

— Schröder jest zadowolony, bo nie musi na was wydać ani grosza więcej — wyjaśnia. — A tego nie wybaczyliby mu niemieccy podatnicy. Wy będziecie się cieszyć, bo rozwiążecie w ten sposób swoje problemy budżetowe.

Czy na tym poprzestaniemy? To byłoby jednak trochę mało, a właściwie bardzo mało — po prostu te same pieniądze, tylko inaczej wykorzystane. Dopiero teraz trzeba by wytargować jakieś 200–300 mln euro!

Zapalam się, tym bardziej że spotykam Czechów i Słowaków, którzy już wyliczają, ile procent otrzymają z tych dodatkowych 300 mln. Wracam na salę prasową. Inni polscy dziennikarze także tłumaczą niemiecki dokument. Niektórzy skarżą się, że dzwoniли do nich polscy dyplomaci z wyraźnymi sugestiami, by „dobrze sprzedać” ten miliard. To znaczy, że należy ogłosić sukces i nie wspominać, że te pieniądze pochodzą z i tak należących się nam funduszy strukturalnych, przeznaczonych na budowę autostrad czy mostów.

Kłóczę się z jednym z kolegów z mediów elektronicznych, który próbuje mnie przekonać, że otrzymujemy „dodatkowy miliard”, czyli to, czego chcieliśmy. Uważam, że trzeba nazywać rzeczy po imieniu. Niestety, niewielu dziennikarzy spośród tych, którzy przyjechali z kraju, rozmawia także z unijnymi dyplomatami. Tych trzeba dobrze znać i miesiącami zaskarbiać sobie ich zaufanie. Na antenie wyjaśniamy z Mirą, jak możemy, że to korzystna propozycja, ale przecież nie nadzwyczajna. Chcieliśmy dodatkowego miliarda, a dostajemy jedynie miliard „łatwiejszy”.

16.00

Początek trzeciej tury negocjacji. Miller sam na sam z Rasmussenem. Belgowie twierdzą, że Polska ma problemy z zaakceptowaniem niemieckiej propozycji. Jednak nie wszystko zostało tak do końca wyreżyserowane, jak sądziłam i jak mówili dyplomaci przed szczytem. Reuters podaje, że Polska odrzuca najnowszą propozycję. Napięcie wzrasta. Zjawia się Tober.

— Negocjacje trwają, a jeżeli trwają, to depesza Reutersa nie jest oparta na żadnych wiarygodnych podstawach — mówi.

Rozmawiam z Hiszpanami. Wychodzi na jaw, że w przyszłości, gdy ustalany będzie budżet na lata 2007–2013, możemy otrzymać mniej pieniędzy na fundusze strukturalne, bo zostaną one pomniejszone o ten miliard, który teraz ma wspomóc nasz budżet. Wysokość przyszłych funduszy ustala się bowiem na podstawie środków uprzednio wykorzystanych.

— Dzisiaj chleb, jutro głód — podsumowuje hiszpański dyplomata. — Ten rząd będzie miał w budżecie pieniądze, by wygrać referendum, a następnie dostanie mniej na autostrady.

Mam coraz silniejsze wrażenie, że Unia robi nas na szaro. Z takimi doświadczonymi wygami nasi nowicjusze nie mają szans. Z drugiej jednak strony przedłużające się negocjacje świadczą o tym, że o coś jeszcze walczymy. Pocięszam się tym, że przynajmniej ten miliard mamy już w kieszeni. Bo przecież gdyby pozostał w puli funduszy strukturalnych, dostalibyśmy go dopiero za kilka lat, po rozpoczęciu realizacji konkretnych, zatwierdzonych uprzednio przedsięwzięć.

Unijni dyplomaci twierdzą, że siedem krajów już zakończyło rokowania. Negocjują już tylko Polska, Czechy i Węgry. Przeszto mówić o spotkaniu Grupy Wyszehradzkiej, planowanym na 15. Na wielkich ekranach w sali prasowej pojawia się napis: „Oficjalny program jest opóźniony”.

18.50

Francuska agencja AFP podaje za anonimowymi źródłami, że jest zgoda obu stron! Marcin Grajewski z Reutera jako pierwszy potwierdza tę informację u Gorana Perssona i Grzegorza Kołodki. Pędzę do belgijskiej sali prasowej, bo w naszej jeszcze pusto. Jestem wściekła: nawet w takim momencie muszę zdobywać informacje od unijnych dyplomatów, a nie od

naszych, którzy jakby zapadli się pod ziemię. Tober, który cały czas powinien być na miejscu, wsiąkł jak kamfora.

Premier Belgii, Guy Verhofstad, mówi coś o historii, w dodatku po flamandzku. Nie wytrzymuję i pytam szeptem jednego z belgijskich dyplomatów:

— Co dostaliśmy poza przesuniętym miliardem?

— Tylko sto osiem milionów euro na Schengen — odpowiada.

— Żadnych dodatkowych pieniędzy na budżet? — dociekam.

— Nie. A co, nie jest pani zadowolona? — pyta z przekąsem — Jesteście już w Unii, a to najważniejsze!

— Co z mlekiem? — drązę.

— Kwoty mlecznej nie podnieśliśmy.

19.20

Wracam do polskiej sali. Robi się tłok. Na szczęście Mira zajęła mi miejsce w pierwszym rzędzie. Mówię Jackowi, czego dowiedziałam się od Belgów.

Zbliża się 19.30. Za stołem siadają Miller, Hübner, Pol, Kalinowski, Kołodko i Iwiński. Nie widzę Truszczyńskiego. Nieładnie. Do pokazania się przed kamerami zawsze jest tłum chętnych. Ale gdyby coś się nie udało, winien byłby oczywiście negocjator.

Miller siedzi za stołem i najwyraźniej czeka na rozpoczęcie „Wiadomości”.

— Kiedy wchodzimy, kiedy? — pyta nerwowo Tobera.

Premier zaczyna się niecierpliwie przedłużającym się oczekiwaniem. Tymczasem tłum fotoreporterów robi zdjęcia. Tłok jest tak ogromny, że wielu dziennikarzy nie mieści się w sali. Wreszcie Tober mówi do Millera: — Teraz, jest pan już na wizji.

— Szanowni państwo, wszystkie postulaty, z którymi przyjechaliśmy do Kopenhagi, zostały przyjęte — deklaruje szef polskiego rządu.

Nie wierzę własnym uszom: wszystkie?! Premier zapewnia, że w latach 2004–2006 bezpośrednio do budżetu trafi 1,5 mld euro. W myślach przeliczam: zsumował pół miliarda, które Duńczycy już dawno zaoferowali, w pierwszym pakiecie, i miliard z funduszy strukturalnych, który i tak nam się należał! Miller zaś ciągnie:

— Dopłaty wyniosą w całości tej sumy odpowiednio: w pierwszym roku pięćdziesiąt pięć procent, w drugim sześćdziesiąt procent i w trzecim sześćdziesiąt pięć procent

I ani słowa o tym, ile będziemy musieli dołożyć z własnego budżetu, żeby dobić do tych pułapów!

— Uzyskaliśmy obniżony VAT na mieszkania — kontynuuje Miller.
— W państwach Unii uznawane będą dyplomy pielęgniarzek.

A co z VAT-em na maszyny rolnicze i ciągniki? Ani słowa.

Wreszcie kwestia kwoty mlecznej.

— Uzyskaliśmy wzrost kwoty hurtowej o półtora miliona ton — informuje Miller.

A przecież walczyliśmy o większą kwotę globalną, a ta nie wzrosła ani o pół litra!

Okazuje się, że sukcesem jest również klauzula ochrony naszego rynku żywności, chociaż i tak nam się ona należała i otrzymywał ją każdy kraj podczas poprzednich rozszerzeń UE.

Miller mówi jeszcze o Ojcu Świętym i o Solidarności, którą porównuje do „prawdziwej solidarności europejskiej”.

Wreszcie koniec. Gdy szykuję się do zadawania pytań, okazuje się, że pytań nie będzie. Miller wychodzi pośpiesznie. Prawie ucieka. I ja zrywam się z krzesła. Przecież ktoś musi to wyjaśnić — te dopłaty, ten miliard! Nie można nas tak zostawić i poprzestać na tej propagandzie sukcesu!

Muszę się śpieszyć. O 20.00 mam wejście na żywo w RMFie. Jaka jest prawda? Co oznaczają liczby podane przez premiera? Wraz z innymi dziennikarzami dopadam Kołodkę. Wicepremier przyznaje, że Unia sfinansuje ze swoich środków w ciągu trzech lat dopłaty do wysokości 36, 39 i 42 procent poziomu unijnego, a resztę będziemy mogli uzupełnić z naszego budżetu.

— O ile pozwoli na to sytuacja finansowa państwa. Nie będzie to automatyczne — zastrzega. O tym Miller jakoś nie wspominał.

Udaje mi się jeszcze zamienić kilka zdań z wiceministrem rolnictwa Jerzym Plewą. Przyznaje, że ogólna kwota mleczna nie została zwiększona, ale przekonuje, że jej nowy podział jest bardzo korzystny.

— O to toczyła się najzacieklejsza walka w ostatnich godzinach — ujawnia. Mówi, że nie udało się uzyskać obniżonego VAT-u na ciągniki i maszyny rolnicze. Obowiązywać więc będzie stawka 22 procent

Wracamy z Mirą do naszego stanowiska, gdzie za parę minut musimy podsumować zakończenie negocjacji. Słyszę, że koledzy z innych polskich mediów mają problemy z wytłumaczeniem wydawcom w swoich redakcjach, że ogłoszony przed chwilą w „Wiadomościach” sukces jest dość względny. Niektórzy nawet mówią podniesionym głosem. Jest ogromna presja, by przedstawiać rezultat rozmów jako wielkie zwycięstwo.

Prowadzący program w studiu RMF w Krakowie pyta mnie, czy moim zdaniem można mówić o sukcesie. Chwila gorączkowego namysłu. Mam wątpliwości. Może trzeba było bardziej naciskać, może byłoby inaczej, gdyby u władzy w Polsce był ktoś, z kim Zachód bardziej by się liczył, jakiś autorytet, Bartoszewski czy Mazowiecki, może byłoby łatwiej, gdyby nie było w Europie recesji, może nie należało ograniczać się datą 13 grudnia, może...



Kopenhaga 13 grudnia 2002 roku. Koniec negocjacji. Zdjęcie nowej, europejskiej rodziny: przywódcy krajów Piętnastki i krajów, które wejdą do Unii w 2004 roku. Od lewej w drugim rzędzie premier Leszek Miller.

Sukcesem jest sam koniec negocjacji, moment naprawdę historyczny. Jednak to, co uzyskaliśmy, to najwyżej przyzwoity kompromis. Na pewno nie wielka wygrana.

20.00

Wchodzę na antenę.

— Trzeba być realistą — mówię. — Negocjacje były bardzo trudne. Państwa Unii, a zwłaszcza Niemcy, są obecnie w nie najlepszej sytuacji finansowej. Liczyliśmy na więcej. Także Komisja Europejska sugerowała, że możemy dostać coś jeszcze. Komisarz Verheugen mamił nas możliwością uzyskania nawet dwóch miliardów euro, ale i on się przeliczył. Nie otrzymaliśmy dodatkowych pieniędzy na wsparcie budżetu. Piętnastka zgodziła się jedynie przesunąć z jednej szufladki do drugiej pieniądze, które i tak nam się należały. Dopłaty dla rolników będziemy mogli podnieść do pięćdziesięciu pięciu procent wysokości unijnej, ale z własnego budżetu. Trzeba jednak pamiętać, że w ciągu trzech pierwszych lat otrzymamy po odliczeniu naszej składki ponad sześć miliardów euro. W dodatku, gdy będziemy już w Unii, będziemy mogli poprawić warunki naszego członkostwa. Tylko będąc członkami UE mamy szansę na wchodzenie w sojusze, oferowanie komuś naszego poparcia w jakiejś sprawie, by w zamian uzyskać poparcie w innej. W 2006 roku Unia będzie decydować o swoim przyszłym budżecie. Będziemy mieć wówczas prawo weta. To szansa na wytargowanie większych pieniędzy na lata 2007–2013.

Mówię to, co myślę. Nie sądzę, żeby ukrywanie prawdy pomogło w namówieniu Polaków do głosowania w referendum na „tak” — jak argumentują niektórzy koledzy z polskich mediów. Z całego serca pragnę, żeby odpowiedź w głosowaniu była pozytywna, ale moja rola nie polega przecież na agitacji. Nie jestem politykiem, tylko dziennikarką. Moje spojrzenie musi być krytyczne. Nie można oszukiwać ludzi nawet w imię słusznego celu. Nie taka jest istota wolnych mediów.

Podchodzi do mnie włoski dziennikarz, pyta o konferencję prasową Millera. Mówię, że to nie była konferencja, ale przemówienie. W dodatku propagandowe. Czuję niesmak. Nie tak wyobrażałam sobie ten długo oczekiwany (w zasadzie od mojego przyjazdu do Brukseli w 1990 r.) finisz rokowań.

— Nie martw się — pociesza mnie Włoch. — To zupełnie jak u nas Berlusconi.

Podchodzą inni koledzy z zagranicznych mediów. Francuzi, Hiszpanie, Szwedzi, Austriacy.

— Witaj w Europie — mówią. — Witaj wśród nas!

To sprawia mi przyjemność. Właściwie mają rację. Jesteśmy już w Unii. To jest najważniejsze. Warunki członkostwa negocjowaliśmy przecież przez kilka lat, a nie przez te jedenaście godzin 13 grudnia.

Konrad skombinował skądś butelkę czerwonego wina. Jest z nami rzeczniczka przedstawicielstwa przy UE, Małgosia Alterman. Wznosimy toasty w plastikowych kubkach do kawy. Przy innych stołach jest podobnie. Toasty wznoszą Czesi, widzę także Słoweńców. Z monitorów słyszymy Rasmussena:

— Nowym członkom mówię: gorąco witam. Urodziła się nasza nowa Europa.

I to wszystko. Żadnego przyjęcia, żadnego święta. Bardzo ascetycznie, po protestancku. Praca wykonana. Czas na odpoczynek. Sala pustoszeje. Trzeba wychodzić.

Jest już głęboka noc. Postanawiamy sami uzupełnić braki w duńskim programie. Znajdujemy angielski pub ze świetną muzyką. Piję dżin i tańczę, tańczę, tańczę...

Spis treści

- 7 W piżamie do Europy
- 17 Unia w pigułce
- 29 Trudne początki
- 29 Zakrapiane negocjacje
- 32 Gołe baby w ambasadzie
- 36 Informacje pod nadzorem
- 40 Tajemnicze telefony
- 45 Nie tylko prezerwatywa
- 51 Dentysta pani komisarz
- 57 Dzielnica europejska
- 57 Wokół Ronda Schumana
- 62 Randka pod Justusem
- 71 Azbestowy symbol Europy
- 82 Kaprys bogów
- 92 Mundial czy Unia
- 100 Dobry Wujek i s-ka
- 109 Wreszcie doceniony

- 119 Praca bez granic
- 142 Holender i Niemiec przez miedzę
- 161 Zabawa w grabbelton
- 166 Na tropie daty
- 180 Nic(ea) o nas bez nas
- 189 Irlandzki stres
- 200 Limuzyną w przyszłość
- 214 Dziennik finału

BOSZ

38-622 Olszanica 311; Biuro: 38-600 Lesko, ul. Parkowa 5

tel. +48 (13) 4699000, 4699010

tel./fax +48 (13) 4696188

e-mail: biuro@bosz.com.pl

www.bosz.com.pl

cena: xx zł